cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #201 04/2023

Piotr Dmitrowicz
ODDAJMY JANA PAWŁA II MŁODYM!

Dariusz Jarosiński
MAKARENKO BYŁBY ZADOWOLONY

Piotr Lisiewicz
ZAWSZE BYŁEM WARIATEM. ANTYKOMUNISTA, NIEPOWTARZALNY PARYŻANIN Z WARSZAWY

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

WANTED

LUDOBÓJCA DZIECIOBÓJCA MORDERCA
TERRORYSTA ZBRODNIARZ WOJENNY

Vladimir Putin

OBYWATEL ROSJI

URODZONY 7 października 1952 / Leningrad /ZSRR

WZROST 165 cm

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI, FOTOWIKIPEDIA, ADOBE STOCK

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 97889736ca

TEMAT NUMERU 4–11



Ludobójca Putin / 4

KRAJ 12–24



Kolejne rządy w III RP zaniedbały demografię... / 12

KULTURA 64–72



Filip, Tyrmand i... Filip / 64

HISTORIA 26–59



Zawsze byłem wariatem. Antykomunista... / 26

ŚWIAT 74–97



W Azji pamięć o Janie Pawle II zawsze żywa / 74

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Ludobójca Putin /4

KRAJ

Z Barbarą Sochą
rozmawia Grzegorz Wszołek
Kolejne rządy w III RP zaniedbały demografię. Teraz zapobiegamy katastrofie /12

Z Piotrem Woyciechowskim
rozmawia Grzegorz Wierzchołowski
Moskwa chciała likwidacji ks. Blachnickiego /18

Ryszard Czarnecki
Desowietyzacja! /24

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Zawsze byłem wariatem. Antykomunista, niepowtarzalny paryżanin z Warszawy /26

Piotr Dmitrowicz
Oddajmy Jana Pawła II młodym! /32

Agnieszka Kowalczyk
Katyń. Ponad ludzką wiedzę i wyobraźnię /36

Dariusz Jarosiński
Makarenko byłby zadowolony /42

Ewa Polak-Pałkiewicz
O człowieku, który namalował cud /48

Tomasz Łysiak
Brama Niebios /54

Adolf Bocheński
Polska w polityce Stalina /58

KULTURA

Krzysztof Karnkowski
Filip, Tyrmand i... Filip /64

Jakub Augustyn Maciejewski
Rolnictwo jako zbrodnia przeciwko ludzkości /68

ŚWIAT

Hanna Shen
W Azji pamięć o Janie Pawle II zawsze żywa /74

Antoni Rybczyński
Rosyjskie intrygi nad Dniestrem /78

Stefan Czerniecki
Chłopcy z lauaretê zapomnieli marzyć /82

Olga Doleśniak-Harczuk
Co kryje „Die Moskau Connection” /89

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Koszmar rozpadu imperium prześladował wielu jego władców /96

eprasa.pl 97889736ca

Stałe rubryki


Katarzyna Gójska
Opcja niemiecka w każdej sylabie
NA POCZĄTEK 3


Małgorzata Matuszak
Czym jest... spotkanie
KATECHIZM INTELIGENTA 25


Krzysztof Wołodźko
Rosja jako plaga. Aktualność Krasińskiego
DZIENNIK LEKTUR 60


Marek Kalinowski
Wokół Chopina
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 67


Ryszard Czarnecki
Zapiski z Filipin
CZARNECKO TO WIDZĘ 73


Olga Doleśniak-Harczuk
Bałkańskie duchy 20 lat później
Z GLOBALNEGO TYGLA 94


Marcin Wolski
Studium tyranii
PAPKULTURA 98


Tomasz Sakiewicz
Uskok
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Opcja niemiecka w każdej sylabie

Wypowiedź Donalda Tuska w odpowiedzi na pytanie o reparacje dla Polski jest wręcz symboliczna. Widać, jak ten temat jest dalece obcy przewodniczącemu Platformy, wręcz niezrozumiały i irytujący. To z tego powodu mówiąc o nim, używa tak prostackiego języka – bo nie ma w nim kompletnie wrażliwości na dramat Polski i Polaków, którego sprawcami byli Niemcy.

Nie mówię, że Tusk nie dostrzega, iż III Rzesza była państwem zbrodniczym, twierdzę, iż w ocenie odpowiedzialności za jej zbrodnie Tusk najwyraźniej w pełni rozumie dzisiejsze niemieckie stanowisko. Nawet więcej – ewidentnie jest mu ono bliższe niż polskie. Słysząc opowiedziane łamiącym się głosem losy matki uczestnika jednego z jego spotkań wyborczych, reaguje agresją. Tymczasem ogromna większość Polaków taką historię przyjmuje ze zrozumieniem, mało tego – dodaje do niej opowieść o nieszczęściu swojej rodziny. Lider Platformy zaatakował i poniżył werbalnie – jakby był wychowany w zupełnie innej kulturze, innej wrażliwości. Ta odmienność Tuska – jego ogromny dystans do tego, co w naszym społeczeństwie budzi poczucie solidarności i jedności – aż bije po oczach.

Kilka lat temu na antenie Telewizji Republika rozmawiałam z pewnym korespondentem niemieckich mediów w Polsce. Został zaproszony do programu po tym, jak w jednej z publicznych wypowiedzi zadrwił z krzywdy Polaków podczas II wojny światowej. Przyznam, iż trudno było z nim rozmawiać – operowaliśmy na kompletnie innych poziomach wrażliwości. I nie chodziło o moje indywidualne emocje, lecz raczej o nasze społeczne wrażliwości, tak odmienne, iż trudno było nawiązać konstruktywny dialog. To, co dla Polaków było i jest wręcz święte – bo związane z męczeństwem tysięcy, wielkimi tragediami, utratą wszystkiego, co się kochało i co tworzyło dom, najbliższą okolicę, państwo – dla niego nie miało większego znaczenia. Było po prostu jakąś odległą i niekoniecznie istotną przeszłością. Trudno nie odnieść wrażenia, że „z jakiej paki chcesz pan odszkodowań" – jest tak obce polskiej wrażliwości, jak drwiny owego Niemca z krzywdy Polaków podczas okupacji dokonanej przez jego przodków. Tym bardziej, że w dalszej części tej skandalicznej wypowiedzi lider Platformy jako swój przedstawił argument, od miesięcy wysuwany w niemieckiej przestrzeni publicznej: odszkodowaniem za wojnę są wejście do Unii i fundusze. I znowu nie sposób zrozumieć, jak polski polityk może operować tym twierdzeniem. W nim bowiem nie ma nic poza pogardą dla Polski, poza bezczelnie kłamliwym przekonaniem, że nie jesteśmy dla Wspólnoty żadną wartością, a znaleźliśmy się w niej z czyjegoś dobrego serca, w geście jakiejś irracjonalnej łaski. Tusk powtarza tę do szpiku kości antypolską opowieść bez zażenowania. Najwyraźniej zupełnie przekonany o jej słuszności.

Ale jest też trzeci element owego wystąpienia wyborczego – pogarda dla polskich roszczeń wobec Niemiec. Można, rzecz jasna, spierać się o koncepcję działania, o to, jakich instrumentów używać w tej sprawie, kogo namawiać do kooperacji. Ale nazywanie ludzi reprezentujących – wobec organizacji międzynarodowych i innych państw – interes Rzeczypospolitej i jej obywateli frajerami, obnoszącymi się patriotyzmem, a mającymi puste kieszenie i pistolet przy pasku, wykracza poza wszelkie dopuszczalne standardy. Jaki sygnał w tej sprawie wysłał do świata ubiegający się o ponowne premierostwo lider PO? Prosty i brutalny: jeśli wygram wybory, skończę z frajerstwem, czyli skończę z polskimi roszczeniami. I to są prawdziwe i szczere poglądy Tuska w sprawie zadośćuczynienia za zbrodnie popełnione na Polakach i Polsce przez Niemcy. Mogą sobie posłowie Platformy dociśnięci do politycznego muru głosować za rezolucją w tej sprawie, ale potem zawsze wyjdzie Tusk i brutalnie wyszydzi polskie poczucie krzywdy. Bo jest mu ono z jakiegoś powodu całkowicie obce, bo się z nim nie utożsamia, nie czuje go. Niczym tak dobitnie nie potwierdza słuszności zarzutów o proniemieckość, jak właśnie pogardą i brakiem zrozumienia dla bolesnych losów Polaków i naszej ojczyzny, zgotowanych przez naszych zachodnich sąsiadów. ■

eprasa.pl 97889736ca

Piotr Grochmalski



17 marca Międzynarodowy Trybunał w Hadze wydał nakaz aresztowania Władimira Putina za nadzorowanie porwań ukraińskich dzieci. Panel sędziów MTK zdecydował się na krok, który pokazuje całemu światu, że Rosja jest dziś państwem-pariasem, którego przywódca ścigany jest za zbrodnie wojenne. Ale kwalifikacja zarzucanego Putinowi czynu otwiera też drogę do ścigania go za zbrodnie ludobójstwa. Artykuł

LUDOBÓJCA PUTIN

II Konwencji ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa stwierdza, iż czynem takim jest też „przymusowe przekazywanie dzieci członków grupy do innej grupy". Ta zbrodnia nie ulega przedawnieniu. Zostanie też sporządzona, ze wsparciem międzynarodowym, ogromna lista tysięcy mordów dokonanych z jego polecenia – w tym mord na elicie narodu polskiego w Smoleńsku.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT WIKIPEDIA, ADOBE STOCK

eprasa.pl 97889736ca



prasa.pl/189736ca

Ta scena przeszła już do historii jako symbol barbarzyństwa – morderca Putin, ścigany listem gończym przez Międzynarodowy Trybunał Karny od piątku 17 marca, wznosi toast w moskiewskiej Granowita Pałata za Xi Jinpinga, a lider komunistycznych Chin odwzajemnia gest. W tle toczy się ogromna wojna, w której Rosja jest agresorem. Tego dnia, 21 marca, w ukraińskiej Buczy premier Japonii Fumio Kishida u boku Wołodymyra Zełenskiego składa wieniec w miejscu masowej kaźni Ukraińców zamordowanych przez rosyjskich żołdaków. Stwierdza dobitnie: „Naprawdę czuję wielki gniew... Jestem oburzony okrucieństwem". Przybył na Ukrainę nagle, zaledwie kilka godzin po spotkaniu z premierem Indii Narendrą Modi w New Delhi i tydzień po przełomowym szczycie z prezydentem Korei Południowej Yoon Suk-yeolem.

Dwa bestialskie reżimy

Kontrast między tymi dwoma wizytami – Xi i Kishidy – był porażający. Premier Japonii ściskał dłoń Zełenskiego – człowieka, który miał być brutalnie zamordowany z rozkazu Putina, a Xi stał się pierwszym politykiem, który podał rękę zbrodniarzowi. Nikt tego faktu już nie zmieni.

Ale jest też jeszcze bardziej makabryczny wymiar tego wydarzenia. Tuż przed wybuchem wojny, w grudniu 2021 roku niezależny międzynarodowy trybunał ds. Ujgurów, pod przewodnictwem sir Geoffreya Nice orzekł, iż Chińska Republika Ludowa, rządzona przez Xi Jinpinga, dopuściła się zbrodni ludobójstwa na Ujgurach. Geoffrey Nice był głównym oskarżycielem w procesie Slobodana Miloševića przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym ds. byłej Jugosławii. Ten doświadczony sędzia stwierdził w wywiadzie dla BBC, iż udokumentowane fakty i zeznania złożone przez ponad 70 świadków przed kierowanym przez niego Trybunałem „pokazują, że jest wystarczająco dużo dowodów ponad wszelką wątpliwość, że istniał zamiar popełnienia ludobójstwa" przez ChRL. Tak naprawdę na Kremlu uścisnęło sobie ręce dwóch bezsprzecznie wielkich, licząc skalą dokonanych mordów, zbrodniarzy.

Ale owa scena ma dodatkowy, nieludzki, kontekst. W niedzielę 26 lutego „The Wall Street Journal" poinformował, że według Departamentu Energii USA, koronawirus SARS-CoV-2 wydostał się, z powodu nieszczelności instalacji, z chińskiego laboratorium w Wuhan. Wynika to z tajnego raportu dostarczonego niedawno do Białego Domu i do kluczowych członków Kongresu. Zakażonych wirusem zostało ponad 683 mln ludzi, z tego najwięcej, bo aż 248 mln, w Europie. Na COVID-19 zmarło ponad 6,8 mln osób. Jaka więc była rzeczywista rola komunistycznego Pekinu w owej pandemii? Xi jest kontynuatorem rządów Komunistycznej Partii Chin nad tym państwem. Tylko w wyniku wywołanej przez Mao klęski głodu w latach 1958–1962 partia wymordowała, w czasach pokoju i przy pełnych spichlerzach ziarna, ponad 45 mln ludzi. Ujawnił to Frank Dikötter w swojej książce „Wielki głód". Tragiczne skutki polityki Mao, 1958–1962". Ale komunistyczne mordy objęły miliony ludzi więcej. Od momentu, gdy Xi rozpoczął trzecią kadencję, a więc złamał mechanizm dwukadencyjny wprowadzony przez Deng Xiaopinga, ma on władzę nawet większą od Mao. Rządzi potężną, nieomal stumilionową KPCh, która działa jak wielki układ mafijny.

Putin, jako podpułkownik KGB, jest dumny z tradycji tej bandyckiej organizacji, która w swoich kolejnych wcieleniach, począwszy od Czeka poprzez NKWD, wymordowała ponad 20 mln ludzi. Zbigniew Brzeziński w „Out of Control: Global Turmoil on the Eve of the Twenty-first Century", opublikowanej w 1993 roku, ocenił, że komunistyczne reżimy zamordowały ponad 60 mln ludzi. Ale bliższe wydają się być szacunki Rudolfa Rummela z jego przełomowego dzieła „Death by Government" z 1994 roku, gdzie podaje porażającą liczbę 110 mln. Ostatecznie zwiększy ją do 148 mln, gdy pojawią się przekonujące dowody bezpośredniej odpowiedzialności Mao za chińską klęską głodu. Zarówno Putin, jak i Mao są nierozerwalnie związani z dwoma ludobójczymi reżimami. Ani putinowska Rosja, ani Chiny Xi nie rozliczyły się z byłych gigantycznych zbrodni, a już dokonują kolejnych.

Pierwszy list gończy za Putinem

Bodaj pierwszy list gończy za Putinem został ogłoszony przez poznański oddział Komitetu Wolny Kaukaz 23 lutego 2000 roku. W proteście przeciw agresji Rosji na Czeczenię, ponad podziałami, połączyły swoje siły Federacja Anarchistyczna sekcja Poznań, Akcja Alternatywna „Naszość" i Socjaldemokratyczna Alternatywa. W 56. rocznicę masowych wywózek Czeczenów z ich ojczyzny do Kazachstanu, które spowodowały śmieć ponad połowy populacji tego narodu, i w obliczu ludobójczej wojny, którą rozpoczął Putin w 1999 roku, grupa, pod przywództwem Piotra Lisiewicza, zorganizowała pikietę przy konsulacie rosyjskim w Poznaniu. Za żywego lub martwego zbrodniarza Komitet wyznaczył nagrodę milion złotych. Pełnił

eprasa.pl 97889736ca

on wówczas od grudnia 1999 roku obowiązki prezydenta FR i przygotowywał się do wyborów w marcu 2000 roku. List gończy, w którym podejrzany był o szpiegostwo, terroryzm państwowy i ludobójstwo, okazał się proroczy. Wydarzenie to obiegło świat, bo grupa weszła przez otwartą furtkę na teren rosyjskiego konsulatu w Poznaniu, namalowała swastykę na murze budynku, zerwała rosyjską flagę i ją zniszczyła a w jej miejsce umieściła czeczeński sztandar. Nie tylko Rosja kipiała ze wściekłości, lecz także pełne oburzenie wyraził Adam Michnik na łamach „Gazety Wyborczej". Stwierdził on: „W demokratycznej Polsce każdemu wolno – byle w ramach prawa – demonstrować przekonania antywojenne. Wolno żądać »blokady państwa rosyjskiego«, wrzeszczeć: »zbombardować Kreml!«. Mnie z kolei wolno to nazywać głupotą, a wdzieranie się na teren konsulatów określać mianem chuligaństwa, które nie licuje z powagą czeczeńskiej tragedii. Organizacja Naszość – skrajna i marginalna – grupuje młodzieniaszków, którzy politykę pojmują jako urządzanie awantur, ciskanie jajami. Cóż, ten rodzaj głupoty nie jest polską specyfiką, nie brakuje go i w polityce rosyjskiej. Nie uzasadnia to rozpętywania antyrosyjskiej histerii w Polsce i antypolskiej w Rosji".

W podobnym tonie pisała rosyjska „Niezawisimaja Gazieta" 25 lutego 2000 roku w artykule pt. „Chamstwo po polsku". Michnik zasłynął panegirykiem na cześć Putina, polityka, który dzięki ludobójstwu na Czeczenach zasiadł na Kremlu. W tym samym czasie Siergiej Kowaliow, wielka legenda rosyjskiej opozycji, podobnie jak Piotr Lisiewicz, od początku ostrzegał świat przed Putinem. Widział w nim prymitywnego bandytę wychowanego przez KGB w kulcie zbrodni. W 2001 roku, zniesmaczony pochwalnymi wypowiedziami Michnika na cześć nowego lokatora Kremla, stwierdzał: „Wyobraźcie sobie, że prezydentem Niemiec zostałby gestapowiec. Jak byście na to zareagowali? [...] KGB było tak samo bandycką organizacją jak hitlerowska policja polityczna, a jej czekiści terroryzowali Rosję przez dziesiątki lat. Ci ludzie mają na swych rękach krew milionów ludzi różnych narodowości. Dlaczego o tym mówię? Bo jeśliby taki zachodni dziennikarz spytał się obecnego naszego prezydenta, co on sądzi o swej przeszłości, to usłyszy, że jest on dumny, iż nosił mundur KGB... Putin to dość nikczemny podpułkowniczyna...".

Dla niego oczywistym elementem tradycji Czeka-NKWD-KGB są też stalinowskie zbrodnie i ludobójstwo dokonane na Polakach w Katyniu. Putin z symbolicznego poddania się w październiku 1612 roku polskiej załogi moskiewskiego Kremla uczynił najważniejsze święto, Dzień Jedności Narodowej, obchodzone 4 listopada, a wprowadzone w grudniu 2004 roku wydarzenie sprzed wieków kończyło okres smuty, podczas której Rosja poniosła straty terytorialne na zachodzie na rzecz Rzeczypospolitej, w tym utraciła Smoleńsk. Nowa dynastia Romanowów doprowadzi później do rozbiorów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a w tajnej umowie zawartej z Prusami w 1797 roku zadekretuje skasowanie na zawsze nazwy Królestwo Polskie. Zbudowanie głównej narracji polityki historycznej i odbudowy imperium przez Putina wokół odbicia z rąk Polaków Kremla było czytelnym znakiem jego stosunku do RP. Mord katyński i kłamstwo katyńskie w istocie mocno tkwi w mentalności współczesnych czekistów. Nikt z winnych tej zbrodni nie został ukarany, a Łazar Kaganowicz zmarł 25 lipca 1991 roku – pół roku przed upadkiem zbrodniczego imperium. Dopiero w 1992 roku Jelcyn przekazał Polsce dokument z podpisami Stalina, Woroszyłowa, Mołotowa i Mikojana.

Jerzy Pomianowski podkreśla: „To nie Polacy, ale sami sprawcy tej masakry musieli uznać ją za przypadek najbardziej kompromitujący, skoro zalakowana koperta z podstawowymi dowodami nosiła w kremlowskim archiwum numer ewidencyjny »1« i przekazywana była sukcesywnie w ręce pierwszych sekretarzy KPZR". Pomianowski dodaje: „Prawdziwą i wciąż przerażającą osobliwością sprawy katyńskiej jest to, że żadna inna nie była tak długo i starannie ukrywana i zakłamywana". Tak jak cała prezydentura Putina, która stopniowo przebudowała państwo we współczesną wersję III Rzeszy. Anna Politkowska, która zginęła z rozkazu Putina w 2006 roku, w swojej „Drugiej wojnie czeczeńskiej" napisała: „Widziałam mnóstwo nieszczęść. I co najważniejsze – wielu ludzi, o których pisałam przez te dwa i pół roku, już nie żyje". Rozumiem to jej doświadczenie. Jest nieprzekazywalne. Tak z bliska wygląda ludobójstwo. To tysiące twarzy. Często bezimiennych.

▶ Zbrodniarz

Gdy świat znajduje w sobie moralną siłę, by, w obliczu barbarzyństwa Rosji na Ukrainie, uporządkować system aksjologiczny i wskazać jasno i czytelnie zbrodniarza, odradza się nadzieja. Historia uczy, że nie można zbudować trwałego pokoju za cenę ukrycia ludobójstwa. Niespełna sześć lat temu w Mohylewie, 27 listopada 2017 roku, na twit-

eprasa.pl 97889736ca

terowym koncie tamtejszej komendy milicji, pojawił się list gończy za Władimirem Putinem ściganym za ludobójstwa w Czeczenii, Gruzji, na Ukrainie i w Syrii. Wówczas był to efekt działania grupy hakerów. Tym razem jednak doszło do wydarzenia, które przejdzie do historii ludzkości. Oto 17 marca 2023 r. Międzynarodowy Trybunał w Hadze wydał nakaz aresztowania Władimira Putina za nadzorowanie porwań ukraińskich dzieci oraz – pod tym samym zarzutem – Mariji Lwowej-Biełowej, rzeczniczki praw dziecka w Rosji. Prokurator MTK, Karim Khan, powiedział: „Incydenty zidentyfikowane przez moje biuro obejmują deportację co najmniej setek dzieci zabranych z sierocińców i domów opieki nad dziećmi". Na jego wniosek panel sędziów MTK uznał za wysoce wiarygodne przedstawione przez Khana dowody obciążające Putina i Lwową-Biełową i zdecydował się na krok, który pokazuje całemu światu, że Rosja jest dziś państwem-pariasem, którego przywódca ścigany jest za zbrodnie wojenne. Ale kwalifikacja zarzucanego Putinowi czynu otwiera też drogę do ścigania go za zbrodnie ludobójstwa. Artykuł II Konwencji ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa stwierdza, iż czynem takim jest też „przymusowe przekazywanie dzieci członków grupy do innej grupy".

Miesiąc temu Yale Humanitarian Research Lab opublikowało raport, według którego co najmniej 6 tys. dzieci z Ukrainy zostało wysłanych w ubiegłym roku do rosyjskich obozów reedukacji. Khan powiedział, że Putin wydał dekret przyspieszający nadanie dzieciom obywatelstwa rosyjskiego, co ma ułatwić ich adopcję. Stwierdził, że takie działania wskazują na „zamiar trwałego usunięcia tych dzieci z ich własnego kraju. Musimy zapewnić, że osoby odpowiedzialne za domniemane zbrodnie zostaną pociągnięte do odpowiedzialności, a dzieci powrócą do swoich rodzin i społeczności... Nie możemy pozwolić, aby dzieci były traktowane tak, jakby były łupem wojennym". Przygotowawcza izba sędziowska MTK, decydując się na wydanie nakazów, rozważała zachowanie ich w tajemnicy, ale uznała, że ich upublicznienie może „przyczynić się do zapobieżenia dalszemu popełnianiu przestępstw". Reed Brody, który od lat zajmuje się ściganiem zbrodniarzy wojennych, powiedział, iż nakaz „sprawia, że świat Putina bardzo się skurczył. Nie sądzę, byśmy spodziewali się, że w najbliższym czasie pojedzie do Francji lub na Ukrainę, ale musi być ostrożny. Oczywiście są to przestępstwa, które nigdy nie przemijają. Będą wisieć nad jego głową na zawsze, a pozbycie się ich jest bardzo trudne. Wielokrotnie widzieliśmy, że tryby międzynarodowego wymiaru sprawiedliwości mielą powoli, ale czynią to niezwykle skutecznie".

Niekończąca się lista mordów

Moskwa i Pekin nigdy dotąd nie odpowiedziały za owe 148 mln ofiar. Gigantyczne w swej skali ludobójstwo. To więcej niż liczy dziś Rosja. A licznik zbrodni Kremla bije dalej. To może prowadzić do konkluzji, że ów list gończy, w zderzeniu z cynizmem Putina, niczego nie spowoduje. Niektórzy komentatorzy przekonują, że skoro Rosja nie ratyfikowała Statutu Rzymskiego z 1998 roku ustanawiającego MTK i nie uznaje jego jurysdykcji, to Trybunał nie ma technicznych możliwości zmuszenia Rosji do wydania Putina Hadze. Twierdzą, że nawet gdyby się to udało, to FR, jako stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ, ma w ręku weto gwarantujące, że jej prezydent nigdy nie trafi na salę sądową, bez względu na to, czy uprowadziłby 16 tys. czy milion dzieci ukraińskich.

Pozornie wydaje się to rozumowanie logiczne, ale nie bierze ono pod uwagę rzeczy fundamentalnej – Putin jest ścigany za zbrodnie. Co więcej – on sam na siebie przygotował potężny, nie do podważenia materiał dowodowy. To rozporządzenia z jego podpisem otworzyły drogę do tej formy zbrodni. Konwencja ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa w art. II punkt „e" stwierdza, iż ludobójstwem jest „przymusowe

> Zarówno Putin, jak i Mao są nierozerwalnie związani z dwoma ludobójczymi reżimami. Ani putinowska Rosja, ani Chiny Xi nie rozliczyły się z byłych gigantycznych zbrodni, a już dokonują kolejnych.

eprasa.pl 97889736ca

przekazywanie dzieci członków grupy do innej grupy". Ta zbrodnia nie ulega przedawnieniu. Putin też wielokrotnie publicznie, także z udziałem ściganej z nim rzeczniczki praw dziecka, 38-letniej Mariji Lwowej-Biełowej, chwalił się prowadzonym na masową skalę procederem uznawanym przez Konwencję za ludobójstwo. Co prawda na razie są oni oskarżeni przez MTK o sprawstwo kierownicze zbrodni wojennych na Ukrainie poprzez zarządzanie przymusowymi wywózkami ukraińskich dzieci do Rosji, ale otwiera to drogę do uznania Putina za nadzorującego zbrodnię ludobójstwa. Zostanie też sporządzona, ze wsparciem międzynarodowym, ogromna lista tysięcy mordów dokonanych z jego polecenia – w tym mord na elicie narodu polskiego w Smoleńsku. Putin zabił wówczas śp. Lecha Kaczyńskiego i prezydenta na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. Stalin uniknął kary za ludobójczy mord katyński. Putin zbrodnią smoleńską ukazał konsekwencję nienawiści Rosji do polskiego narodu. Na wieczność stał się współczesnym wcieleniem Stalina. Od 11 listopada 2022 roku za zamach smoleński ścigani są listami gończymi wystawionymi przez Sąd Okręgowy w Warszawie urzędnicy państwa Putina – Paweł Plusnin, Wiktor Ryżenko i Nikołaj Krasnokutski, którzy 10 kwietnia 2010 roku kierowali ruchem lotniczym na lotnisku Smoleńsk-Siewiernyj. Kwestią czasu jest list gończy za Smoleńsk wystawiony za Putinem. Ale z jego rozkazu zamordowano także prezydentów Czeczenii Asłana Maschadowa i Zelimchana Jandarbijewa. Próbował też uśmiercić Wiktora Juszczenkę, aby nie dopuścić do jego wyboru na prezydenta Ukrainy. A na Wołodymyra Zełenskiego jego ludzie przeprowadzili kilkanaście nieudanych zamachów. Zaszokowany świat ujrzy skrupulatnie i dokładnie udokumentowaną niekończącą się listę zbrodni tego ludobójcy XXI wieku.

▶ Putin i Rosja naznaczeni na wieczność ludobójczym piętnem

List gończy wystawiony za Putinem przez MTK jest wielkim przełomem. To moralna megabomba atomowa. Nie ma co do tego wątpliwości prof. Mark Lawrence Schrad, z Uniwersytetu Villanova. Na łamach Foreign Policy stwierdza, iż „akt oskarżenia to Rubikon: punkt, z którego nie ma powrotu dla Rosji i świata, dopóki Putin pozostaje u władzy. Napiętnowanie zbrodniarza wojennego przez ucieleśnienie globalnej sprawiedliwości dodatkowo izoluje zarówno Putina, jak i Rosję. Dawno minęły czasy, kiedy Putin pławił się w blasku szczytów wysokiego szczebla od Europy po Amerykę Łacińską". Teraz każdy jego ruch „będzie okupiony podwyższonym ryzykiem, że – podobnie jak były chilijski dyktator Augusto Pinochet – może zostać zatrzymany natychmiast po przybyciu". Będzie coraz bardziej izolowany, bo: „Uścisk dłoni oskarżonego o zbrodnię wojenną jest złym pomysłem i raczej nie zwiększy popularności przywódcy w kraju", który zgodzi się na goszczenie Putina u siebie. Oczywiście Kreml będzie starał się stworzyć miedzynarodówkę dyktatorów, których ma łączyć wspólne wspieranie Putina. Już Xi swoją wizytą w Moskwie i zaproszeniem Putina do Pekinu ubiega się o rolę lidera owych międzynarodowych bandytów.

Mark Lawrence Schrad zwraca jednak uwagę, iż „Nazywając Putina globalnym banitą, akt oskarżenia MTK tworzy bardziej rozwidlony świat. [...] skutecznie zmusza resztę świata do opowiedzenia się albo po stronie Kremla, albo porządku opartego na prawach". Już trudno znaleźć miejsce z boku wobec konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Dotyczy to też Paryża i Berlina, które próbowały utrzymać szczególne relacje z Putinem. Ale list gończy MTK uderza też w pozycję Putina w samej Rosji, wbija silny klin pomiędzy zwolenników tego ludobójcy a przeciwników wojny, którzy na razie biernie się na nią godzą. Schrad stwierdza: „Wiele rosyjskich elit biznesowych i politycznych spuściło głowy i zamknęło usta w sprawie Ukrainy, po cichu licząc na powojenne pojednanie z Europą w oparciu o wspólne interesy biznesowe. Ta opcja prawdopodobnie zniknęła na zawsze. Jeśli kiedykolwiek dojdzie do normalizacji stosunków z Rosją, to będzie to Rosja bez Putina, co – choć mało prawdopodobne – może zmienić polityczną kalkulację poparcia wśród putinowskiej sieci lojalistów i jego kumpli".

Obecna Rosja, w swojej istocie, nie różni się od carskiego i sowieckiego imperium. Jak zauważał Jan Kucharzewski w swoim epokowym dziele „Od białego caratu do czerwonego": „Zdławienie wszystkiego, co było w kraju organizacją społeczną, siłą zbiorową, korporacją, i skłócenie między sobą żywiołów dla łatwiejszego nad nimi panowania, były to mechaniczne środki caratu. [...] Strach, zabijający zdolność jasnego myślenia i wytrawiający z człowieka wszelką dzielność i prawość, był duszą systemu". Ale gdy władca Kremla gwałtownie słabł, wszyscy rzucali mu się do gardła. A Putin dokonał tego, przed czym ostrzegał rosyjski gen. Leonid Iwaszow – zdruzgotał Rosję, zniszczył na pokolenia jej wizerunek, uczynił z niej światowego pariasa. Ale nawet on nie spodziewał się takiego potężnego ciosu czyniącego z Rosji ludobójcze państwo.

eprasa.pl 97889736ca

Krok w stronę nadziei

List gończy wydany przez MTK daje nadzieję, że świat barbarii nie będzie bezkarny. Czy Trybunałowi udawało się dotąd powstrzymać eskalację agresji lub skłonić barbarie do przestrzegania międzynarodowych reguł? Z pewnością nie, ale od początku istnienia tej instytucji widać coraz większą odwagę i determinację Trybunału. Akty oskarżenia w 2009 roku przeciwko Omarowi al-Baszirowi z Sudanu, Muammarowi al-Kaddafiemu z Libii w 2011 roku wyznaczyły drogę do podjęcia śmiałej decyzji o ściganiu Putina. To są kolejne kroki, które mają wskazać kierunek w dążeniu do międzynarodowej sprawiedliwości.

Mark Lawrence Schrad zauważa, że cynicy podważają sens takich działań, wskazując na postawę dotychczasowego zdecydowanego dystansu USA wobec MTK. Badacz ten zwraca jednak uwagę, że „za kulisami Stany Zjednoczone faktycznie zbliżyły się do współpracy z MTK w ostatnich latach. Weźmy pod uwagę program Rewards for Justice (RFJ) Departamentu Stanu USA, który został zapoczątkowany w 1984 roku przez prezydenta Ronalda Reagana w celu zapewniania nagród pieniężnych za informacje prowadzące do schwytania międzynarodowych terrorystów. Tak jak ONZ dostosował się do pełnienia funkcji pokojowych, do których nie był pierwotnie przeznaczony, tak program RFJ wyszedł poza terroryzm, aby ukierunkować wsparcie finansowe za informacje w sprawie Korei Północnej, cyberataków na infrastrukturę krytyczną USA, a nawet obywateli Rosji zaangażowanych w ingerencję w 2016 r. w amerykańskie wybory prezydenckie, w tym poplecznika Putina i założyciela Grupy Wagnera Jewgienija Prigożyna. Przede wszystkim program RFJ został – przy ponadpartyjnym wsparciu w Kongresie – rozszerzony, aby objąć osoby oskarżone przez MTK".

Podobną rolę odgrywa też War Crimes Rewards Program (WCRP), który oferuje nagrody pieniężne w wysokości 5 mln dolarów za informacje i współpracę w aresztowaniu lub schwytaniu osób oskarżonych przez trybunały ad hoc dla Jugosławii, Rwandy i Sierra Leone. W 2013 roku Kongres rozszerzył ten program o „osoby oskarżone przez jakikolwiek międzynarodowy lub hybrydowy trybunał karny, w tym Międzynarodowy Trybunał Karny". WCRP zezwala w szczególności Stanom Zjednoczonym na zatwierdzenie płatności na rzecz dowolnego informatora za informacje prowadzące do „aresztowania lub skazania w jakimkolwiek kraju bądź przekazania lub skazania przez międzynarodowy trybunał karny (w tym trybunał hybrydowy lub mieszany) wszelkich cudzoziemców oskarżonych o zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości lub ludobójstwo w rozumieniu statutu takiego trybunału". Ponieważ MTK jest takim trybunałem, a Putin jest obcokrajowcem oskarżonym o zbrodnie wojenne, nagle – i całkiem nieoczekiwanie – akt oskarżenia MTK wobec Putina spowodował, że rosyjski prezydent znalazł się pod prawnymi kompetencjami obu programów. Podobnie jak w przypadku misji pokojowych i ONZ, prawdopodobnie nie jest to coś, do czego kiedykolwiek zostały zaprojektowane, ale może stać się ważnym amerykańskim narzędziem wspierania i promowania międzynarodowego wymiaru sprawiedliwości.

Putin celebruje swoje zbrodnie

Od lat raporty zachodnich służb ukazywały Putina jako polityka, który wykorzystuje wojny do konsolidacji swojej wewnętrznej władzy. Była też znana jego szczególna słabość do stosowania radykalnej przemocy i inscenizowania w najdrobniejszych detalach mordów dokonywanych na jego przeciwnikach politycznych. Putin ma słabość do wielkich inscenizacji. Rzekomo ostateczną decyzję o ataku na Ukrainę w 2014 roku miał podjąć w ostatni dzień zimowych igrzysk olimpijskich w Soczi, 23 lutego 2014 roku, czyli w Dniu Obrońców Ojczyzny (w sowieckich czasach Dniu Armii Czerwonej). W rzeczywistości miała być dalszym elementem tego widowiska, które przyciągnęło uwagę do Rosji całego sportowego świata. Atak na Ukrainę w 2023 roku miał ten sam kontekst. Tym razem ostateczna decyzja zapadła po rozmowie z Xi Jinpingiem, gdy trwały jeszcze zimowe igrzyska olimpijskie w Pekinie. Ta wojna miała być pokazem siły Kremla. Miała doprowadzić do upadku NATO, wypchnięcia USA z Europy i narzucenia Staremu Kontynentowi woli Putina.

Istnieje jeden, szczególny tekst, dający wgląd w sposób myślenia Putina, który nie uległ zasadniczym zmianom od początku jego prezydentury – jego nieoficjalny list, jaki 26 kwietnia 2000 roku napisał do Borysa Bieriezowskiego, człowieka, który pomógł mu zdobyć władzę, a potem musiał przed nim uciekać z Rosji, by w 2013 roku powiesić się lub zostać zamordowanym z rozkazu Putina: „Szanowny Borysie Abramowiczu, ile jeszcze potrzebuje pan takich ostrzeżeń, jakie głosił wielki Montaigne: »Nie ma takiego miejsca na Ziemi, gdzie nie odnalazłaby nas śmierć, nawet jeśli wszyscy będziemy się czujnie rozglądać... Ludzie przychodzą i odchodzą, biegną i tańczą, i nie mówią ani słowa o śmierci... Ale gdy śmierć nagle do nich przyjdzie, do ich żon, ich dzieci, przyjaciół, gdy ich zaskoczy, niegotowych, znienacka, jakie wtedy ogarną ich burze namiętności, ja-

eprasa.pl 97889736ca

ki płacz, jaka wściekłość, jaka rozpacz!... Nie wiemy, gdzie czyha na nas śmierć, dlatego będziemy się jej wszędzie spodziewać«. Czy naprawdę nie dręczą pana koszmary, nie budzi się pan zlany potem i nie zapytuje sam siebie: »Co ja wyprawiam ze swoim życiem i z życiem mojej rodziny?«. Gdy patrzy się na pana i pańskie poczynania, chcąc nie chcąc przychodzi na myśl chłopczyk, który bawi się w chowanego i myśli, że jak zamknął oczy, to już nikt go nie widzi. [...] jak kruche może być życie, gdy wypowiadamy wojnę swojemu narodowi. Stajemy się wtedy... żywymi trupami. [...] Nie warto podtrzymywać swoimi nieprzemyślanymi działaniami żywych związków ze śmiercią. Niechże pan wreszcie zrozumie, że wszystko, co pan robi w ostatnim czasie, jest pulsem śmierci, biciem serca śmierci w panu i pańskich bliskich". Berezowski ujawnił ten list, ośmieszył Putina, publicznie odpowiadając na niego. Pokazał ten typ bandytyzmu, jaki charakteryzuje władcę Kremla.

Równie spektakularna była śmierć Borysa Niemcowa, który rzucił otwarte wyzwanie Putinowi. Był zaszokowany, jak po agresji na Ukrainę w 2014 roku przywódca Rosji był nadal przyjmowany z honorami w europejskich stolicach. Z oburzeniem podkreślał: „Wcale nie jest izolowany. Merkel z nim rozmawia, jakby nic się nie stało. Wszyscy z nim rozmawiają". Były wicepremier Rosji w rządach Czernomyrdina i Kirijenki został zamordowany o rzut kamieniem od gabinetu Putina na Kremlu, na moście wiodącym na plac Czerwony w lutym 2015 roku. Zabito go w jednym z najlepiej strzeżonych miejsc na świecie. Doskonale zaplanowane zabójstwo. Siedem strzałów, cztery w cel. Tej chwili nie widać na monitoringu, bo kosmicznym zbiegiem okoliczności w tym momencie morderców przesłoniła piaskarka. Dmitriij Pieskow, rzecznik Putina, poinformował, że wpływ Niemcowa na życie polityczne w Rosji był znikomy. Aby jeszcze upodlić go po śmierci, Kreml wydał precyzyjne instrukcje. Media pokazały martwe ciało Niemcowa leżące na chodniku. Odsłonięty korpus i twarz – martwe spojrzenie i cieknąca ślina.

Putin, go to hell

Amerykański Senat jednogłośnie już rok temu, 15 marca 2022 roku, uchwalił rezolucję uznającą Władimira Putina za zbrodniarza wojennego. Dzień później także prezydent Joe Biden określił władcę Kremla „zbrodniarzem wojennym", co zostało określone przez Moskwę jako „niedopuszczalna i niewybaczalna retoryka", a Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze wydał orzeczenie, że inwazja Rosji na Ukrainę jest nielegalna. Już wówczas toczyło się dochodzenie w sprawie zbrodni wojennych przeciw Rosji przed Trybunałem Karnym w Hadze. Każdego dnia rośnie dokumentacja zbrodni wojennych dokonywanych pod politycznym kierownictwem Putina. On sam nakreślił projekt zbrodni ludobójstwa. Umieścił 12 lipca 2021 roku na swojej oficjalnej, prezydenckiej stronie obszerny artykuł „O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców". Jest on otwartą groźbą zniszczenia Ukrainy jako państwa, bo – zdaniem Putina – jest to antyrosyjski projekt zbudowany przez Zachód. Nazwałem go wówczas Putinowskim „Mein Kampf". Putin musi być osądzony za ludobójstwo. Bez tego Rosja się nie zmieni. Prymitywny, brutalny imperializm zaprowadził Putina na listę zbrodniarzy wojennych. Fakt, iż jest umieszczony w towarzystwie libijskiego przywódcy Muammara Kadafiego i prezydenta Sudanu Omara al-Baszira, musi wywoływać jego wewnętrzną frustrację. Od lat jego największym koszmarem była myśl, że skończy jak Kadafi, który został obalony i zabity kilka miesięcy po ogłoszeniu nakazu jego aresztowania. Baszir został również usunięty i obecnie przebywa w więzieniu w Sudanie, chociaż nie został jeszcze przeniesiony do Hagi. Ale Putin może skończyć jak Slobodan Milošević, serbski zbrodniarz, którego sami rodacy wydali Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu dla byłej Jugosławii. Zmarł w marcu 2006 roku w haskim więzieniu. Cela w Hadze czeka już na Putina. ■

Putin zdruzgotał Rosję, zniszczył na pokolenia jej wizerunek, uczynił z niej światowego pariasa. Ale nawet on nie spodziewał się takiego potężnego ciosu czyniącego z Rosji ludobójcze państwo.

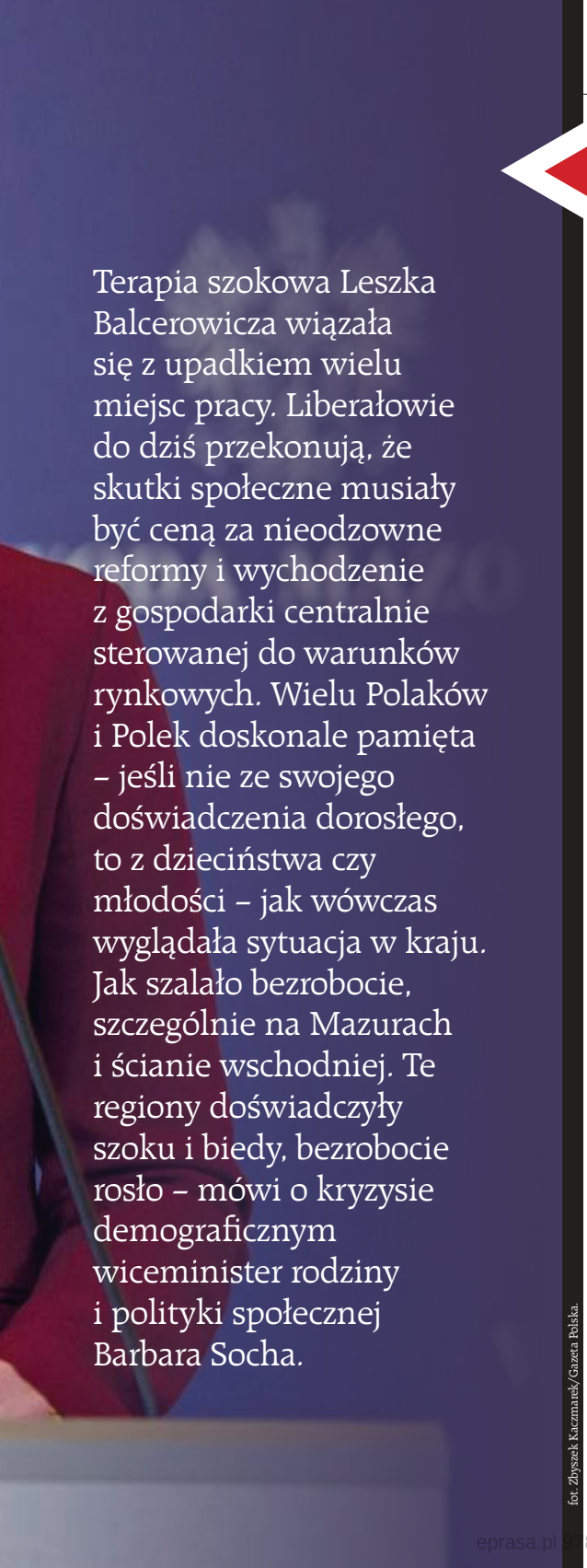
eprasa.pl 97889736ca

Rozmawia
Grzegorz Wszołek



Kolejne rządy w III RP zaniedbały demografię. Teraz zapobiegamy katastrofie

eprasa.pl 97889736ca



Terapia szokowa Leszka Balcerowicza wiązała się z upadkiem wielu miejsc pracy. Liberałowie do dziś przekonują, że skutki społeczne musiały być ceną za nieodzowne reformy i wychodzenie z gospodarki centralnie sterowanej do warunków rynkowych. Wielu Polaków i Polek doskonale pamięta – jeśli nie ze swojego doświadczenia dorosłego, to z dzieciństwa czy młodości – jak wówczas wyglądała sytuacja w kraju. Jak szalało bezrobocie, szczególnie na Mazurach i ścianie wschodniej. Te regiony doświadczyły szoku i biedy, bezrobocie rosło – mówi o kryzysie demograficznym wiceminister rodziny i polityki społecznej Barbara Socha.

fot. Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska

▶ W 2022 roku statystyczna Polka rodziła raczej jedno dziecko niż dwoje dzieci. Wskaźnik dzietności za 2021 rok według GUS to zaledwie 1,33. Liczba urodzeń w porównaniu do 2017 roku spadła o około 100 tys. Od września 2021 do sierpnia 2022 roku urodziło się 318 tys. dzieci, najmniej od czasów II wojny światowej. Jesteśmy starzejącym się społeczeństwem, a kryzys się pogłębia. Czy to już jest czas, by bić na alarm w sprawie demografii?

Demografowie biją na alarm od 20 lat. Gdy wówczas zaczęłam się tym tematem interesować, to negatywne wskaźniki były wtedy znane. W demografii wszystko opiera się na liczbach i matematyce. Widać było wyraźnie, że nie ma zwrotów akcji – przy założeniu, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego, jak na przykład wojna. Wiemy, ile mamy dzisiaj dziewczynek w wieku 5 lat. Dlatego bez problemu wykonamy obliczenie, ile powinno być kobiet w wieku 25 lat za dwie dekady. Mimo że miną lata i zmienią się polityki, nie mamy na tę liczbę wpływu – pomijając kwestię migracji. Dwadzieścia lat temu wielu ekspertów biło na alarm, ale ich nie słuchano. To taki kamyczek do ogródka mediów – na dziennikarzach również nie robiło to jakiegokolwiek wrażenia. Profesor Irena Kotowska, której poglądów nie można przypisać do aktualnej władzy pod wodzą Zjednoczonej Prawicy, komentując przygotowaną przez nas strategię demograficzną wspominała o tym: zabiegała od 20 lat u kolejnych ministrów, by powstało kompleksowe podejście do polityki prorodzinnej i demograficznej z uwagi na dzietność. Jesteśmy pierwszym rządem w III RP, który się tym z sukcesem zajął, ale jeśli oczekujemy spektakularnych wyników, to mam złą wiadomość: aktywność na tym polu jest wyraźnie spóźniona. Poprzednie gabinety po 1989 roku zmarnowały czas.

▶ Dlaczego w Polsce jest tak źle? Kryzys demograficzny dosięga Europę, ale dzietność u nas jest mniejsza niż ogólnie w UE (1,53 w 2022 roku) oraz w Rosji (1,50 w 2020 roku).

Otóż nasze procesy demograficzne bardzo determinuje eksterminacja polskich obywateli w czasie II wojny światowej. Wydaje się to odległą historią, która nie odbija się na obecnych realiach, tymczasem pozwala ona na zrozumienie sinusoidy demograficznej. Po wojnie był wyż demograficzny – to było oczywiste następstwo wstrzymanych decyzji w polskich rodzinach o prokreacji.

eprasa.pl 97889736ca

Na przełomie lat 40. i 50. w Polsce rodziło się przeszło 800 tys. dzieci. Średnio każda kobieta rodziła dużo więcej potomków niż dzisiaj, a ludność kraju była wszak mniejsza niż obecnie. Co się wydarzyło 25–30 lat później? Mieliśmy echo tego wyżu. Bardzo liczne roczniki powojenne weszły w lata najintensywniejszej prokreacji – dużo kobiet w wieku rozrodczym zaczęło rodzić dzieci. Mówimy niekiedy, choć niezbyt dokładnie, o wyżu stanu wojennego, bo akurat ten proces osiągnął swoje maksimum w 1983 roku, aczkolwiek zaczął się jeszcze w drugiej połowie lat 70. Przy okazji, błędnie interpretuje się, że wpływ na prokreację miał w tamtym okresie brak prądu, światła czy godzina milicyjna. Wyż powojenny zaowocował echem wyżu lat 80. Urodziło się wiele kobiet w trakcie boomu, szczególnie w 1983 roku. Największa liczba urodzeń wynosiła ogółem około 743 tys., następnie nastąpił gwałtowny spadek.

▶ Dlaczego to tak ważne?

Bo liczne kobiety, urodzone w drugiej połowie lat 70. i w latach 80., dzisiaj mają ponad 40 lat. Wejście w kategorię „czterdziestolatków" to koniec prokreacji. Nasza tragedia polega na tym, że kiedy te roczniki wchodziły w wiek rozrodczy 20 lat temu, to często nie decydowały się na rodzenie dzieci. Na to wszystko nałożył się drugi aspekt, międzynarodowy: drugie przejście demograficzne. Pierwsze wydarzyło się po erze przemysłowej, gdy spadała gwałtownie umieralność i wydłużał się czas życia, głównie za sprawą lepszych wskaźników przeżycia u noworodków. Później mieliśmy okazję obserwować spadek dzietności, czyli drugie przejście demograficzne. Wiązało się to m.in. z tym, że była możliwość biologicznej kontroli urodzeń za pomocą środków antykoncepcyjnych czy aborcji. W tle doszło do większej aktywności zawodowej kobiet, która w logiczny sposób przesuwała koncentrację i uwagę płci pięknej na rynek pracy. To na Zachodzie i w Polsce zaowocowało drugim przejściem demograficznym. Różnica jest taka, że w zachodniej Europie proces ten wystąpił już w latach 60. XX wieku, a do nas nieuchronnie dotarł w III RP. Co ciekawe, podobne mechanizmy demografowie odnotowują w Afryce, gdzie spada dzietność, ale nie robi to na Starym Kontynencie na nikim wrażenia, historia się powtarza. Polityka jednego dziecka, brutalna i nieludzka, którą zaproponowały Chiny, doprowadziła do gwałtownego spadku dzietności, co wydatnie wpływa na zachwianie struktur społecznych, trudnego do opanowania w przyszłości.

▶ Co w III RP wpłynęło na tak ogromny kryzys demograficzny?

Niewątpliwie transformacja gospodarcza po epoce komunizmu: terapia szokowa Leszka Balcerowicza wiązała się z upadkiem wielu miejsc pracy. Liberałowie do dziś przekonują, że skutki społeczne musiały być ceną za nieodzowne reformy i wychodzenie z gospodarki centralnie sterowanej do warunków rynkowych. Wielu Polaków i Polek doskonale pamięta – jeśli nie ze swojego doświadczenia dorosłego, to z dzieciństwa czy młodości – jak wówczas wyglądała sytuacja w kraju. Jak szalało bezrobocie, szczególnie na Mazurach i ścianie wschodniej. Te regiony doświadczyły szoku i biedy, bezrobocie rosło. W 2004 roku przystąpiliśmy do Unii Europejskiej. Młodzi Polacy tuż po studiach stanęli przed wyborem: zostać w ojczyźnie i pracować albo wyjechać za granicę i cieszyć się lepszą płacą. Pamiętam doskonale te czasy, bo sama stanęłam przed tym dylematem. Nie ukrywam, że udało mi się, przy odrobinie szczęścia, spełnić cel pracy w Polsce, ale wielu moich znajomych podjęło inną decyzję. Otwarcie granic wiązało się z potężną emigracją młodych ludzi, niedostrzegających szans na założenie tu rodziny. A chodziło o najbardziej proste sprawy: godną płacę, wyjazd na wakacje, opłaty, samochód. W statystykach migracyjnych łatwo policzyć właśnie tę grupę, która postanowiła nie rezygnować ze swoich aspiracji, choćby za cenę wyjazdu w Polski. Stąd duże liczby urodzeń ze strony Polek na Wyspach Brytyjskich. Nie dlatego, że świetnie działa państwo brytyjskie, a mowa o tej grupie emigrantów. To jest nasz dramat, istna katastrofa. Liczby te mierzy się w milionach.

▶ Wracając do bliższych nam czasów – pandemia koronawirusa przyczyniła się do zapaści demograficznej?

To kolejny problem. Po pierwsze, zwłaszcza na początku, bardzo baliśmy się o nasze zdrowie i życie, więc rządy bardzo wielu krajów rozwiniętych, w tym nasz, przy sporym poparciu społecznym, decydowały się na lockdown. Ograniczono możliwości większych zgromadzeń, w tym zamknięto kościoły oraz sale weselne. Spowodowało to, że bardzo wielu Polaków musiało odłożyć swoje plany ślubne, a część niestety z tych planów zrezygnowała. A wiemy, że dla znacznej większości Polaków zawarcie związku małżeńskiego jest warunkiem do myślenia o urodzeniu dzieci. Więc jak nie było ślubu, nie było też części dzieci. Dodatkowo pandemia przyczyniła się do niepewności co do stabilności pracy czy zmniej-

eprasa.pl 97889736ca

szyła się dostępność do lekarza, co dalej powodowało odłożenie części urodzeń. I prawdopodobnie to odłożenie dla niektórych ponownie równało się z ostateczną rezygnacją z dziecka.

▶ Polski rząd próbował z różnymi efektami zreformować politykę socjalną i rodzinną. Wprowadziliście 500 plus, program „Maluch plus", rodzinny kapitał opiekuńczy dla dzieci na drugie i kolejne dziecko w rodzinie do trzeciego roku życia. Tuż po wprowadzeniu 500 plus sytuacja lekko się poprawiła, ale od 2018 roku jest coraz gorzej z dzietnością. Opozycja zarzuca rządowi, że mówił o programie prodemograficznym...

Dwadzieścia lat temu demografowie bili na alarm, bo wyż demograficzny wchodzi w wiek prokreacyjny. I gdyby zastosowano wówczas 500 plus, to bylibyśmy prawdopodobnie w innym miejscu niż dziś. Program wszedł w życie dopiero w 2016 roku, zbyt późno. Rzeczywiście, 500 plus nie przyniosło spektakularnego efektu demograficznego, ale eksperci nie twierdzili, że tak się stanie. Przecież nie tylko niskie dochody, znacznie zwiększone dzięki 500 plus, są barierą dla urodzenia dziecka. A dla silnego wzrostu urodzeń, jeśli gwałtownie spada liczba kobiet w wieku rozrodczym, to była to misja niemożliwa. Spójrzmy na liczebność roczników wchodzących w wiek prokreacyjny. Nie zwiększymy istotnie liczby urodzeń, bo to pokolenie jest nieliczne, choć długofalowo można znacznie zwiększyć współczynnik dzietności, czyli liczbę dzieci, jakie rodzi przeciętna kobieta. I nie zgadzam się z opozycją, że w ogóle program prorodzinny nie wpłynął na demografię. Efekty polityk socjalnych w tym obszarze są długoterminowe – to po pierwsze. Wszystko zależy więc od stabilności i trwałości 500 plus, czyli jak długo program przetrwa. Istnieje ryzyko, że jeśli władzę przejmie liberalna opozycja, to obetnie programy społeczne, o czym mówią z nią powiązani ekonomiści. Czy dziś młodzi Polacy, zastanawiając się nad poszerzeniem rodziny, myślą o 500 plus? Sądzę, że nie, bo nie mają pojęcia, czy program nie zostanie skasowany. Polska tym różni się od Francji, która ma najwyższe wskaźniki urodzeń w Europie, że tam od zakończenia II wojny światowej jest stała polityka prorodzinna i socjalna, niezależnie od tego, która ekipa sprawuje władzę. Nikt na Starym Kontynencie nie ma tak doskonałych wskaźników, by mówić o zastępowalności pokoleń, ale Francuzi odstają. Gonią ich Czesi i Rumuni.

▶ To gdzie są efekty 500 plus w demografii?

Muszę powiedzieć, że dostrzegamy ten efekt w urodzeniach trzecich i kolejnych. 500 plus wpływa na decyzję o prokreacji u rodzin, które marzyły o wielodzietności. Reforma zmieniła ich sytuację, skończyła ze skrajnym ubóstwem. Zaledwie 27 proc. kobiet z rodzin wielodzietnych pracuje, bo trudno pogodzić wychowanie pięciorga czy sześciorga dzieci z karierą. A teraz one dobrowolnie mogą skoncentrować się na tworzeniu swej wymarzonej rodziny. My mówimy o 500 złotych mnożonych razy 5 lub 6 – wtedy zaczynamy zdawać sobie sprawę, że to wcale nie jest kropla w morzu. 500 plus to tylko jeden z instrumentów demograficznych, co nie znaczy, że nie ma żadnych efektów sztandarowego programu PiS. Dziś dzietność w całej populacji oscyluje wokół poziomu 1,34 dla kobiet między 15. a 49. rokiem życia. Aktualnie w tej populacji liczne są 40-latki, a one już na ogół nie rodzą dzieci. Gdy spojrzymy na dane dotyczące dzietności według roczników urodzenia, do 2017 roku spadała dzietność w każdym roczniku i od dawna żaden z nich nie osiągnął zastępowalności pokoleń. Dla niektórych wyhamowała albo wystąpiło odwrócenie trendu wraz z wdrożeniem 500 plus.

▶ Rodzinny Kapitał Opiekuńczy coś zmieni?

Nie możemy mówić o efektach tego programu, bo dopiero co wszedł w życie. Dopiero za kilka lat będzie można rozmawiać o skutkach. Cieszę się, że powołano Instytut Pokolenia, ponieważ z jego inicjatywy powstają badania na różnych grupach demograficznych.

▶ Dwudziestokilkuletnie kobiety w Polsce chcą zachodzić w ciążę?

Uważam, że tak, choć odpowiedź na pytanie – trudne, skłaniające do odpowiedzi „tak" lub „nie" – nie jest zero-jedynkowa. Kobieta chce rodzić dzieci, to naturalny proces. Mężczyźni również chcą powiększać rodziny, zapewne z innych powodów. Dla mnie najbardziej uderzające jest to, że kobiety w Polsce – w porównaniu z innymi krajami – były bardzo bezdzietne. Na przykład w roczniku kobiet urodzonych w 1955 roku 20 proc. nigdy nie urodziło dziecka. To bardzo wysoki poziom, nawet na dzisiejsze warunki. Proszę sobie wyobrazić, że aż 30 proc. obecnych „czterdziestolatek" nie urodziła w Polsce dziecka. To jest ogromny problem. Myślę, że najważniejszą kwestią dla kobiety jest znalezienie odpowiedniego partnera.

eprasa.pl 97889736ca

▶ Musi być dobrze wykształcony i najlepiej majętny.

Coś w tym jest. Dochodzimy do tzw. luki edukacyjnej, czyli różnicy w poziomie wykształcenia między kobietami a mężczyznami. Ciekawe jest to, że w Niemczech ona praktycznie nie występuje i jest mniej więcej po równo wykształconych kobiet i mężczyzn. U nas około 50 proc. kobiet jest wykształconych, przy 30 proc. mężczyzn. A kobiety chcą wchodzić w związki z osobami o podobnym statusie społecznym. Instytut Pokolenie sprawdził, że w Czechach 15 lat temu luka edukacyjna była na poziomie 4–5 proc. U nas to różnica 20 proc. Pozostałe czynniki to kwestie materialne, mieszkanie, praca, umowy o pracę...

▶ Swoją rolę odgrywa wyraźna zmiana w stylu życia kobiet na przestrzeni ostatnich dwóch dekad. Najpierw myślą one najczęściej o ukończeniu studiów, później dobrej pracy, podróżach, korzystaniu z życia, a dopiero później – jeśli w ogóle – o dziecku. Wymowny jest w tym aspekcie sondaż IPSOS dla Oko.press z grudnia 2021 roku. Na pytanie: „Dlaczego Pani/Pana zdaniem kobiety w Polsce nie chcą mieć dzieci?", 41 proc. odpowiedzi to „boję się o pracę", 39 proc. „nie stać na wydatki związane z dzieckiem", 33 proc. oceniło, iż „ciąża to ryzyko", 21 proc. ma „za małe mieszkanie", 19 proc. wskazuje na brak ewentualnej pomocy ze strony partnera, a 11 proc. na wpływ feminizmu. Nawiasem mówiąc, nie ma mowy o ograniczeniu prawa do aborcji.

To tym bardziej ciekawe, gdy się przeczyta artykuły na przykład w „Gazecie Wyborczej", w których zachęca się do rozwoju osobistego kosztem poszerzania rodziny. Innym problemem jest otwarcie pracodawców na zatrudnianie kobiet na część etatu. U nas tego po prostu nie ma, a jest potrzebne i korzystne dla kobiet po urodzeniu dzieci, ponieważ niemożliwa jest praca 10 godzin poza domem.

▶ Jest też niechęć pracodawców do zatrudniania kobiet myślących o rodzeniu dzieci. Oznacza to, że nie będą w pełni dyspozycyjne.

To prawda. Chcemy zachęcać pracodawców do zatrudniania kobiet posiadających dzieci. Powiem szczerze, że za granicą – choćby w krajach niemieckojęzycznych – to zupełnie naturalna kwestia. Połowa tamtejszych kobiet aktywnych zawodowo pracuje na część etatu. W państwach skandynawskich pracuje się długo, ale co trzecia kobieta pracuje na część etatu. Polscy pracodawcy muszą się tego nauczyć, bo to jest nasza przyszłość. Młode dziewczyny wychowywały się w domach, w których matki „zasuwały" same, bo ojciec był na delegacjach lub pracował od świtu do nocy jako jedyny żywiciel rodziny. One nie chcą takiej biedy. Da się połączyć macierzyństwo z pracą zawodową, i to chcemy im pokazać.

▶ Wróćmy jeszcze do kobiet. CBOS kilka miesięcy temu zapytało respondentki w wieku 18–45 lat o ich plany związane z rodzicielstwem. I tak: tylko 17 proc. przyznało, że chce urodzić dziecko w ciągu najbliższych 3–4 lat. To wstrząsający wynik. 68 proc. kobiet odpowiedziało, że nie ma takich zamiarów ani w krótkiej, ani w dalszej perspektywie. Co gorsza, negatywny trend się pogłębia, bo od ostatniego badania w 2017 roku odsetek kobiet w wieku 18–45 lat planujących potomstwo spadł o 9 pkt proc. (wówczas potomstwo w dłuższej lub krótszej perspektywie planowało 41 proc. badanych). Z kolei odsetek deklarujących zamierzenia prokreacyjne w perspektywie 3–4 lat zmniejszył się o 8 pkt proc. (wówczas takie plany wyrażało 25 proc. respondentek) – podawała pracownia.

Ależ to żadna sensacja. Zamieszanie wokół tego tematu wiązało się z niezrozumieniem istoty rzeczy. Po pierwsze, to badanie mówiło o zamiarach urodzenia dziecka, czyli już konkretnym planie na najbliższe lata. To coś zupełnie innego niż idealna wielkość rodziny, czyli chęć posiadania dzieci w momencie, kiedy będą sprzyjające warunki. W każdym okresie jedynie niewielka część osób chcących mieć dzieci konkretnie planuje ich poczęcie w najbliższym czasie. Wciąż 93 proc. Polaków powyżej 18. roku życia chce mieć potomstwo. Po drugie, wpadamy w pewien paradoks. Jak sam pan redaktor wspomniał, ostatnie badanie było przeprowadzone w roku 2017 – to rok po wprowadzeniu z sukcesem 500 plus, który stworzył bardzo dogodne warunki do planowania urodzeń – czyli realizacji swoich marzeń o rodzinie. I jak wiemy, wiele osób te marzenia zrealizowało. Więc wówczas mieliśmy po prostu pewną górkę w zakresie planów, teraz wróciliśmy do pewnej normy, może nieco osłabionej pandemią i dodatkową niepewnością związaną z wojną na Ukrainie.

▶ Stabilność finansowa, swój własny kąt, a przede wszystkim rozwój osobisty – to

eprasa.pl 97889736ca

według ekspertów i ośrodków analitycznych główne przeszkody do posiadania potomstwa w dzisiejszych czasach. Co ciekawe, według CBOS „potomstwo w nieodległej perspektywie częściej planują mieszkanki największych, ponadpółmilionowych miast (23 proc.), z wykształceniem wyższym (22 proc.), o dochodach na osobę wynoszących co najmniej 2000 zł (23–29 proc.) w zależności od kategorii) oraz ankietowane będące w związkach formalnych bądź nieformalnych (20 proc.)". A wydawałoby się, że to właśnie kobiety z większych miast zwlekają z podjęciem decyzji ze względu na karierę.

Zamiast kariera może lepiej jest mówić po prostu stabilna praca – bo pamiętajmy, kariera, tak jak nam się kojarzy, dotyczy potencjalnie bardzo niewielu kobiet. Podobnie zresztą jak mężczyzn. Z wielu innych badań natomiast wiemy, że występuje zjawisko zupełnie odwrotne – wiele kobiet chciałoby ograniczyć ilość czasu spędzanego w pracy, i nie mówię tylko o nadgodzinach, lecz także o zejściu do możliwości pracy na część etatu, a nawet gotowości zrezygnowania z niej na rzecz rodziny, jeśli tylko ojciec mógłby odpowiednio dużo zarabiać. Plany osób, o których pan wspomniał, należy rozumieć bardzo pozytywnie – pamiętamy przecież, że ze względu na to, że w dużych miastach jest znaczna nadwyżka młodych kobiet, które do nich przyjechały w poszukiwaniu wyższego wykształcenia i które mają problemy ze znalezieniem partnera. Wiemy też, że w dużych miastach jest najtrudniejsza sytuacja mieszkaniowa – zarówno w kontekście ich cen, jak i stosunkowo najmniejszej powierzchni, która nie sprzyja powiększaniu rodziny. Więc jak najbardziej się cieszę, że te kobiety planują posiadanie dzieci.

Co zmienia się w dostępności do żłobków? Bo to kolejny problem, który stoi przed potencjalnymi rodzicami: co zrobić, aby móc pracować, spełniać się zawodowo i jednocześnie posiadać dzieci.

Od kiedy do władzy doszła Zjednoczona Prawica, dzięki programowi „Maluch +" rozwój sieci żłobków bardzo przyspieszył. A pod koniec ubiegłego roku program ten dostał kolejny impuls, który nazywamy turbodoładowaniem – podwoiliśmy finansowanie programu do 5,5 mld zł, tak by w ciągu kilku najbliższych lat powstało dodatkowo 102 tys. miejsc w żłobkach. W danych Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej dostrzegamy duże zainteresowanie samorządów, które aplikują o uzyskanie dofinansowania, więc perspektywy rozwoju sieci żłobków rysują się bardzo pozytywnie.

▶ Gdyby mężczyźni i kobiety w latach 80. mieli takie możliwości, jak w XXI wieku, nie staraliby się o dzieci? Chodzi o możliwość nieskrępowanego wyjazdu poza Polskę, wysokie płace, karierę w korporacjach, media społecznościowe, dostęp do trendów zachodnich...

Ciężko jest dywagować, pamiętajmy, to było nieco inne pokolenie, dorastające w innych realiach. Uważam, że staraliby się, bo rodzina i miłość do dzieci niezmiennie są bardzo wysoką wartością w oczach Polaków. Gdyby mieli warunki takie jak teraz, to być może staraliby się nawet bardziej – pamiętajmy, w praktyce nie ma bezrobocia, rosną dochody, pary bardziej świadomie budują związki i dbają o wzajemne relacje. To, z czym my się borykamy, to w znacznej części pokłosie transformacji, która mocno uderzyła w stabilność społeczną, dając jednym możliwość szybkiego zarobku, o ile nie będą „obciążeni" obowiązkami rodzinnymi, o ile wyjadą do dużego miasta, a innych, bardziej wykluczonych z awansu społecznego i ekonomicznego, wypychała za granicę. Obecnie taka masowa emigracja Polaków jak tuż po wejściu do UE to już historia, bardzo poprawił się standard życia. A Polacy wciąż bardzo chcą mieć dzieci i wciąż kochają swoje rodziny.

▶ Na koniec, przywołując słusznie minione czasy: w PRL i na początku lat 90. standardem było mieszkanie młodych par z rodzicami. Ale i oni, to znaczy dziadkowie, bardziej angażowali się w pomoc swoim pociechom w wychowywaniu dzieci, niż to widzimy obecnie. Czy gdyby pokolenie dzisiejszych 30-latków miało pewność mieszkaniową i większe wsparcie ze strony rodziny i państwa, to rodziłoby się więcej dzieci?

Na pewno. To wiemy z badań. Natomiast wiemy też, że młodzi Polacy raczej wolą mieszkać samodzielnie, choć mieć dziadków i rodzeństwo blisko, by właśnie byli dostępni do pomocy. Z tej pomocy niestety nie są do końca zadowoleni. Więc odpowiadamy na te potrzeby. Natomiast wiemy, że nie da się wszystkich problemów rozwiązać od razu, potrzeba więc działań konsekwentnych i długofalowych. Dlatego też Strategia Demograficzna jest przewidziana do roku 2040, by dawać wskazówki nie tylko na czas najbliższy, lecz także przez wiele kolejnych lat. Jestem przekonana, że konsekwencja i skoordynowane działania przyniosą tak pozytywne skutki, że aż sami będziemy tym zaskoczeni. ■

eprasa.pl 97889736ca



Grzegorz Wierzchołowski

Moskwa chciała likwidacji ks. Blachnickiego

Ksiądz Blachnicki był na radarach Kremla, o czym świadczą chociażby napastliwe artykuły w organach propagandowych Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, dowodzące, że Moskwa byłaby zadowolona z likwidacji szkodzącego jej globalnym interesom duchownego. Wiemy zresztą, że ks. Blachnickim interesował się nie tylko Departament I MSW, lecz także wschodnioniemiecka Stasi, Główny Zarząd Wywiadu NRD, kierowany do 1986 roku przez Markusa Wolfa, czy czechosłowacka bezpieka StB – z PIOTREM WOYCIECHOWSKIM, ekspertem ds. służb specjalnych, publicystą, rozmawia GRZEGORZ WIERZCHOŁOWSKI.

eprasa.pl 9788973

▶ Mówi Pan, że o tym, że Jolanta Gontarczyk vel Lange, która w zasób agentury weszła trzy lata po mężu, szybko prześcignęła go, jeżeli chodzi o bezwzględność i zaangażowanie w tę działalność.

Po pierwsze: wyróżniała się pomysłowością. Po drugie: operatywnością, której efektem było obejmowanie coraz to nowych, kluczowych stanowisk w strukturach organizacji, stowarzyszeń, które ks. Franciszek Blachnicki powoływał. Uwieńczeniem tych starań było objęcie prezesury stowarzyszenia Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, a także uzyskanie od rządu RP na uchodźstwie pełnomocnictw na terenie RFN oraz udział w programach i audycjach Radia Wolna Europa. Przez ten czas Andrzej Gontarczyk żył nieco w cieniu żony, był doradcą, pracował w drukarni, której funkcjonowanie zresztą sabotował i doprowadzał systematycznie do bankructwa. Także po zabójstwie księdza i przerzuceniu małżeństwa szpiegów do Polski to Jolanta Gontarczyk była aktywniejsza, lepiej dawała sobie radę, wchodząc – oprócz inicjatyw *sensu stricte* społecznych – także w projekty polityczne, jak Sojusz Lewicy Demokratycznej. Natomiast Andrzej Gontarczyk pozostał w osamotnieniu w Łodzi, zupełnie znikając z horyzontu, przynajmniej jeśli chodzi o aktywność społeczno-polityczną. Taką kwintesencją działalności Jolanty Lange vel Gontarczyk jest oczywiście Stowarzyszenie Pro Humanum, które dzięki konsekwentnemu, pokaźnemu dotowaniu z budżetu miasta stołecznego Warszawy od lat realizuje rozmaite „tęczowe", lewackie projekty uderzające w wartości rodzinne i patriotyczne. Można zaryzykować twierdzenie, że Jolanta Lange vel Gontarczyk kontynuuje w pewnym sensie otrzymaną od SB misję, tylko za pomocą innych metod i środków.

▶ Podczas przesłuchań w ramach śledztwa zakończonego w 2006 roku Jolanta Gontarczyk w większości spraw zasłaniała się niepamięcią. Ale jedno zdawała się pamiętać nadzwyczaj dobrze: wszystkie choroby ks. Blachnickiego.

Dodajmy, że ona twierdziła nawet, iż w dniu śmierci w Carlsbergu jej nie było, choć co najmniej kilku świadków twierdziło co innego. A pani prokurator Ewie Koj, która w 2006 roku umorzyła śledztwo w sprawie śmierci ks. Blachnickiego, nie przyszło do głowy, by te sprzeczne zeznania skonfrontować.

Natomiast jeśli chodzi o wyostrzoną, selektywną „pamięć" Jolanty Gontarczyk w kwestii chorób ks. Blachnickiego, to chodziło rzecz jasna o podtrzymanie oficjalnej, nieprawdziwej narracji obowiązującej od chwili śmierci kapłana aż do niedawna: że kapłan umarł z przyczyn naturalnych. W tym przypadku również można mówić o zastanawiających zaniechaniach Ewy Koj, która mimo uzyskania opinii biegłych z Zakładu Medycyny Sądowej Śląskiej Akademii Medycznej [od 2007 roku Śląski Uniwersytet Medyczny – przyp. red.] – że istniała możliwość wywołania zatoru płucnego na przykład przez trujące alkaloidy – odstąpiła od przeprowadzenia ekshumacji i badań sekcyjnych.

▶ Do morderstwa ks. Franciszka Blachnickiego doszło 27 lutego 1987 roku, dzień po kłótni z Jolantą i Andrzejem Gontarczykami, czyli inwigilującymi go TW „Panną" i TW „Yonem". Mówi się, że podczas tej ostrej wymiany zdań ks. Blachnicki mógł przekazać małżeństwu, że wie o jego szpiegowskiej działalności. Czy Pana zdaniem ta burzliwa według świadków rozmowa mogła stanowić bezpośrednią przyczynę zabójstwa, a więc czy decyzję o zbrodni podjęto tamtego dnia? A może raczej była to operacja planowana tygodniami lub miesiącami, a dzień zabójstwa przypadkowo zbiegł się z kłótnią?

To trudne pytanie. Mogę tylko budować pewne hipotezy oparte na znanej mi dokumentacji operacji wywiadowczej „Yon", sprawy operacyjnej założonej na Chrześcijańską Służbę Wyzwolenia Narodów przez Departament I SB o kryptonimie „Baxis", a także w oparciu o teczki personalne oficerów SB zaangażowanych w operację przerzucenia małżeństwa Gontarczyków do Niemiec i wprowadzenia ich do najbliższego otoczenia ks. Franciszka Blachnickiego w Carlsbergu. No i oczywiście na podstawie akt ze sfuszerowanego przez prokurator Ewę Koj śledztwa katowickiego IPN w 2006 roku.

Otóż sytuacja podejrzeń wobec małżeństwa Gontarczyków dotyczących ich współpracy z SB nabrzmiewała już kilka miesięcy przed zabójstwem księdza. Takim momentem przełomowym był koniec stycznia 1987 roku, kiedy Służba Bezpieczeństwa przechwyciła meldunek Solidarności Walczącej adresowany do Andrzeja Wirgi, który był przedstawicielem tej organizacji na Niemcy, mającym kontakty osobiste z ks. Franciszkiem Blachnickim i w ogóle środowiskiem polonijnym skupionym w Carlsbergu. Wtedy to para szpiegowska Gontarczyków została ostrzeżona (pewnym hasłem ustalonym jeszcze przed ich wyjazdem do RFN, w postaci pocztówki wysłanej z punktu kontaktowego zloka-

FOT. TOMASZ ADAMOWICZ / GAZETA POLSKA

eprasa.pl 97889736ca

lizowanego w Gliwicach z zakodowaną informacją), że po pierwsze: są zdekonspirowani, po drugie: znaleźli się na widelcu BND bądź służb kontrwywiadowczych Niemiec Zachodnich. Wiemy też o tym – z relacji Andrzeja Wirgi – że przekazał on tę wiadomość ks. Blachnickiemu. Wiemy też od świadków, że taka awantura, kłótnia, której przyczyną i podstawą było właśnie sformułowanie tych podejrzeń wobec Gontarczyków, miała miejsce na dzień przed zgonem kapłana. Co ważne, wiemy także z relacji świadków, iż w dniu 28 lutego 1987 roku ksiądz Franciszek miał otrzymać „twarde" dowody na współpracę Gontarczyków z SB. Zmarł dzień wcześniej.

Jeśli miałbym więc odpowiedzieć na pytanie, czy to był bezpośredni impuls do zamordowania ks. Franciszka Blachnickiego, który zorientował się wówczas w faktycznej roli duetu szpiegowskiego małżeństwa Jolanty i Andrzeja Gontarczyków, czy też była to operacja zaplanowana z wyprzedzeniem, skłaniałbym się ku tej drugiej wersji.

Po pierwsze: dlaczego małżeństwo Gontarczyków, „Yon" i „Panna" nie zostali ewakuowani z Niemiec w styczniu lub na początku lutego 1987 roku, zaraz po ostrzeżeniu przez centralę wywiadu MSW w Warszawie, że przechwycono meldunek o ich dekonspiracji, i że interesują się nimi służby kontrwywiadowcze Niemiec Zachodnich? Następna rzecz: dlaczego nie wyjechali zaraz po śmierci ks. Franciszka Blachnickiego poprzedzonej awanturą, o której wiedzieli przecież liczni świadkowie? Ponadto kilka miesięcy później podejrzenia wobec Gontarczyków nabrzmiały już tak, że na walnym zgromadzeniu stowarzyszenia Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, której przecież prezesem z rekomendacji ks. Blachnickiego była Jolanta Gontarczyk vel Lange, zwerbalizowano wobec niej zarzuty o agenturalną współpracę. Gontarczykowie cały czas jednak pozostawali w Niemczech, wyjechali dopiero nagle w następnym roku, w kwietniu 1988 roku, zagrożeni bezpośrednio aresztowaniem przez Niemców. Jednym słowem: przed zabójstwem i po nim stworzono warunki bezpieczeństwa dla tej pary kluczowych agentów, a w działaniach SB nie widać żadnego chaosu ani paniki.

▶ Powiedział Pan: „kluczowych agentów".

Użyłem takiego określenia wobec Gontarczyków nie tylko ze względu na ich bliskość z księdzem i na pełnienie newralgicznych funkcji w strukturach różnych stowarzyszeń i organizacji, które ks. Blachnicki powoływał. Lecz także dlatego, że wskazują na to znane nam już dziś przyczyny śmierci założyciela Ruchu Światło-Życie i twórcy Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów.

Jolanta Gontarczyk vel Lange – która nawet na tle męża, okazującego jeszcze jakieś resztki sumienia, charakteryzowała się wyjątkową bezwzględnością – była mianowicie dla ks. Blachnickiego swego rodzaju lekarzem pierwszego kontaktu. To ona znała jego kartę medyczną, to ona znała i kupowała wszystkie jego lekarstwa, to ona mu je w ciągu dnia – w porządku takim, jaki lekarz przepisywał – podawała. Można powiedzieć, że miała w pełni rozpoznany profil medyczny ks. Franciszka Blachnickiego. Jeżeli nawet to nie Jolanta Gontarczyk ani jej mąż Andrzej podali tę ostateczną dawkę trucizny czy też substancji toksycznej odpowiadającej za efekty, które spowodowały zgon duchownego, to musiała przekazać i przekazała zapewne wszystkie jego wrażliwe dane medyczne do centrali MSW. Co pozwoliło specom od skrytobójstw w Służbie Bezpieczeństwa podawać lub przygotować odpowiednią substancję trującą we właściwej dawce.

Dlatego uważam, że akcja ta była raczej wcześniej starannie zaplanowana, aniżeli przeprowadzona *ad hoc* w świetle dekonspiracji małżeństwa Gontarczyków zarówno przed środowiskiem skupionym w Carlsbergu, jak i przed samym ks. Blachnickim.

▶ Przed zabójstwem duchownego Gontarczykowie nie tylko inwigilowali ks. Blachnickiego, lecz także prowadzili destrukcyjną wręcz działalność, niszcząc i sabotując funkcjonowanie związanych z nim organizacji.

Bardzo dobrym przykładem jest tu opisana przez dr. Roberta Derewendę historia doprowadzenia do bankructwa nowoczesnej, zakupionej przez ks. Franciszka Brodnickiego drukarni zlokalizowanej w Carlsbergu. Miała ona bardzo jak na tamte czasy duże moce przerobowe i wysoki poziom jakości usług. Był to pomysł ks. Blachnickiego na dwie rzeczy. Po pierwsze: żeby poprzez zwykłe kontrakty komercyjne zarabiać i utrzymywać ośrodek w Carlsbergu, a po drugie: żeby usprawnić proces druku publikacji drugiego obiegu i eksportowania ich, oczywiście w sposób konspiracyjny, na teren państw Układu Warszawskiego, bo pamiętajmy, że wpływ ruchu ks. Blachnickiego nie ograniczał się do Polaków w Niemczech Zachodnich, ale promieniował na narody skupione w ramach Układu Warszawskiego, a więc przekaz z Carlsberga docierał do Czechów, Słowaków, Litwinów, Ukraińców... Skuteczność operacji Gontarczyków polegała z jednej strony na nadużyciu zaufania ks. Blachnickiego i podsuwaniu mu

eprasa.pl 97889736ca

przez Jolantę Gontarczyk dokumentów, które prowadziły do powstawania zadłużenia jego ośrodka, a z drugiej do zwykłego sabotażu, czyli zatrzymywania maszyn, psucia ich, niewykonywania usług dla komercyjnych podmiotów w terminie i w odpowiedniej ilości, co skutkowało nawarstwianiem się kar umownych i nowych zobowiązań. Pod koniec życia ks. Franciszek Blachnicki był tą pogarszającą się sytuacją finansową niezwykle przytłoczony i przygnębiony.

Na tę sabotażową działalność nakładało się – powiedziałbym – wyjątkowe zło osobowe, pochodzące nie z tego świata. Proszę sobie wyobrazić, że Gajusz, najmłodszy syn małżeństwa Gontarczyków, które tak perfidnie niszczyło ks. Franciszka Blachnickiego i jego dzieła, był przez tego kapłana osobiście przygotowywany do Pierwszej Komunii, a uroczystość ta odbyła się właśnie w Carlsbergu. Gontarczykowie z kolei – jak zeznają świadkowie – praktycznie codziennie w sposób świętokradczy przyjmowali Komunię Świętą i spowiadali się. Zresztą właśnie na tym tle, mówią oni, pojawiały się pęknięcia w tym małżeństwie, ponieważ były momenty, że Andrzej Gontarczyk nie wytrzymywał ciężaru tego zakłamania i hipokryzji.

Wskazuje Pan, że decyzja o likwidacji ks. Blachnickiego mogła zapaść na Kremlu. Co przemawia za taką tezą?

Mamy tu podobną sytuację jak w przypadku ks. Jerzego Popiełuszki. Ksiądz Blachnicki też był na radarach Kremla, o czym świadczą chociażby napastliwe artykuły w organach propagandowych Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, dowodzące, że Moskwa byłaby zadowolona z likwidacji szkodzącego jej globalnym interesom duchownego. Wiemy zresztą, że ks. Blachnickim interesował się nie tylko Departament I MSW, lecz także wschodnioniemiecka Stasi, Główny Zarząd Wywiadu NRD, kierowany do 1986 roku przez Markusa Wolfa, czy czechosłowacka bezpieka StB. Ostatnio do grona jednostek operacyjnych SB mających w Carlsbergu swoją agenturę dołączył Departament II MSW. Udało mi się niedawno zidentyfikować tajnego współpracownika o ps. „Woytek", za pomocą którego od 1985 roku kontrwywiad SB mógł aktywnie penetrować otoczenia ks. Franciszka Blachnickiego oraz skupiska Polaków w RFN. Co ciekawe, kontaktów z TW „Woytek" zaprzestano formalnie dopiero w styczniu 1990 roku. To pokazuje, jak bardzo cenne i perspektywiczne było to źródło w oczach oficerów SB.

Pamiętać tu bowiem trzeba, że działalność założyciela Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów wykraczała, i to bardzo szeroko, poza terytorium PRL. Ksiądz Blachnicki był niezwykle sprawnym organizatorem, stanowił zagrożenie dla Sowietów poprzez wykorzystywanie tak różnych nowoczesnych środków, jak przekaz radiowy i telewizyjny, działalność wydawnicza i publicystyczna, marsze, wiece, aktywizowanie międzynarodowego oporu wobec sowieckiego zniewolenia, podróże na przykład do Skandynawii i USA, wraz z Danutą – żoną Lecha Wałęsy – odbierał Pokojową Nagrodę Nobla przyznaną Wałęsie w 1983 roku. Wszędzie tam, gdzie się pojawiał, był zauważany i doceniany; wywierał przemożny wpływ na młodzież, w swych głębokich tekstach przewidywał – jak się okazało, proroczo – rychły rozpad Związku Sowieckiego. Myślę, że analogie do działalności i pomysłowości św. Maksymiliana Kolbe nie będą przesadą.

Ksiądz Blachnicki był na radarach Kremla, o czym świadczą chociażby napastliwe artykuły w organach propagandowych Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, dowodzące, że Moskwa byłaby zadowolona z likwidacji szkodzącego jej globalnym interesom duchownego.

Czy dokumenty zgromadzone w IPN odnotowują jakąś zwiększoną aktywność Gontarczyków albo ich nadzorców z bezpieki przed zabójstwem? Innymi słowy: czy zachowały się jakiekolwiek ślady wskazujące na przygotowywanie się do zamachu, tak jak chociażby w przypadku esbeckiej operacji „Vidal", której celem miało być śmiertelne otrucie we Francji antykomunistycznego wydawcy Piotra Jeglińskiego?

eprasa.pl 97889736ca

Cudem zachowane dokumenty operacji „Vidal", którą Witold Bagieński opisał w naszej wspólnej książce „Konfidenci – archiwa ujawnią prawdę" i o której wzmiankowałem w późniejszym cyklu artykułów opublikowanych na portalu dorzeczy.pl, wskazują, że wywiad cywilny PRL planował i przygotowywał akcje mające na celu pozbawienie życie przeciwników politycznych PRL. W tym konkretnym przypadku chodziło o zamordowanie Piotra Jeglińskiego – pozostającego na emigracji w Paryżu działacza antykomunistycznego. Dlaczego? Dlatego że za operację „Vidal", która była pomyślana i realizowana dwa lata przed przerzuceniem Gontarczyków do Niemiec, odpowiadali ci sami oficerowie, członkowie kierownictwa Wydziału XI Departamentu I, którzy przeszkolili, przygotowali, przerzucili i w pierwszych latach kontrolowali działalność TW „Yona" i TW „Panny" na terenie Niemiec Zachodnich. Mowa o płk. Henryku Bosaku oraz płk. Henryku Wróblewiczu, jego zastępcy. A zatem Wydział XI Departamentu I SB, ci oficerowie posiadali know-how skrytobójczego mordowania za pomocą trucizny przeciwników politycznych reżimu komunistycznego.

Akurat akta operacji „Vidal" szczęśliwie zostały zmikrofilmowane i zdeponowane w archiwum wywiadu, potem przejęte przez Urząd Ochrony Państwa i przekazane do IPN, a w przypadku operacji „Yon" takich odpryskowych dokumentów nie mamy, natomiast możemy sobie wyobrazić, że pewni przebywający w cieniu oficerowie Wydziału XI Departamentu I taką operację „Vidal", ale ukierunkowaną przeciwko życiu ks. Blachnickiego, realizowali za pomocą co najmniej informacji, które pozyskali od „Yona" i "Panny" w toku rozpracowywania tego kapłana. Natomiast jeśli chodzi o samą technikę wykonania tego mordu politycznego, to myślę, że na to pytanie powinien odpowiedzieć ówczesny naczelnik Wydziału XI płk Aleksander Makowski, który przecież w okresie bezpośrednio poprzedzającym morderstwo w Carlsbergu nie przebywał akurat na terenie PRL, tylko za granicą. Więc możliwe jest i wysoce prawdopodobne, że Makowski ma wiedzę nie tylko co do technikaliów operacji pozbawienia życia ks. Franciszka Blachnickiego, lecz także, kto wie, czy nie brał bezpośrednio w niej udziału.

▶ Do Makowskiego jeszcze wrócimy, ale chciałbym jeszcze zapytać o Bosaka i Wróblewicza, którzy – jak Pan wspomniał – w ramach operacji „Vidal" planowali otruć Piotra Jeglińskiego. To oni w 1988 roku odbierali Gontarczyków z Węgier, którzy pospiesznie ewakuowali się tam przez Austrię z Niemiec, prawda?

Tak, Wróblewicz był zastępcą naczelnika Wydziału XI przez kilkanaście lat, właściwie od początku powołania tej jednostki do 1990 roku, potem nie składał aplikacji do UOP ze względu na zaawansowany wiek (rocznik 1923, w organach bezpieczeństwa PRL nieprzerwanie od 1946 roku). Natomiast płk Henryk Bosak zaraz po tym, kiedy stracił stanowisko naczelnika Wydziału XI w drugiej połowie 1985 roku, został przedstawicielem placówki wywiadowczej Departamentu I w Budapeszcie, gdzie działał jako oficer o ps. „Kossak", i to on między innymi duet szpiegowski Gontarczyków obsługiwał na terenie Jugosławii oraz Austrii. I rzeczywiście: ewakuację, która przeprowadzana była przez Belgrad, granicę jugosłowiańsko-węgierską, następnie przelot do Warszawy, realizowali właśnie płk Henryk Bosak, który był szefem przedstawicielstwa wywiadu komunistycznego na ten kraj, i Henryk Wróblewicz, który przyjechał tam specjalnie z centrali z Warszawy pod fałszywym nazwiskiem Wojciech Adamczyk. Zgodę na ich wyjazd osobiście wyraził gen. Zdzisław Sarewicz, ówczesny dyrektor Departamentu I SB. To oni odebrali i przesłuchiwali w pierwszych kilkunastu godzinach, oddzielnie, małżeństwo Gontarczyków. A wszystko koordynował z Warszawy naczelnik Wydziału XI płk Aleksander Makowski.

▶ Makowski nadzorował ostatni, newralgiczny etap inwigilacji ks. Blachnickiego. To on też po zabójstwie księdza podpisywał dokumenty, w których postulował uhonorowanie Gontarczyków odznaczeniami państwowymi i resortowymi, to on pomagał im w urządzeniu się po powrocie do kraju...

Dzięki staraniom Makowskiego Gontarczykowie dostali 10 tys. marek niemieckich w ramach refundacji osobistego majątku, który pozostał w RFN, oraz tysiąc dolarów na remont bardzo dużego mieszkania w warszawskim Śródmieściu przy ul. Poznańskiej, otrzymanego przez nich z resortowej puli (wcześniej był to lokal kontaktowy SB o krypt. „Czanel II"). Zresztą na nieruchomości tej uwłaszczyli się, a kilkanaście lat temu sprzedali ją.

▶ Czy – zakładając, że ks. Blachnicki został zamordowany przez bezpiekę, a wszystko na to wskazuje – decyzja o jego zabójstwie mogła zapaść poza wiedzą płk. Makowskiego?

eprasa.pl 97889736ca

Nie, moim zdaniem to raczej niemożliwe. Co więcej – w ostatnich dwóch tygodniach życia ks. Franciszka Blachnickiego płk. Makowskiego nie było w Polsce.

▶ No właśnie, ks. Blachnicki został zamordowany 27 lutego 1987 roku. Według akt esbeckich w dniach 16–26 lutego 1987 roku płk Makowski był w Etiopii razem z gen. Czesławem Kiszczakiem. Trwająca aż dziesięć dni wizyta w Etiopii szefa MSW – wraz z naczelnikiem jednego z wydziałów wywiadu, i to od dywersji ideologicznej – wygląda dość dziwnie.

Nie wiemy, czy Makowski był wówczas w Etiopii. Mamy adnotację w jego dokumentach osobowych funkcjonariusza SB, że ma delegację do tego kraju, ale sprawdzenie tego, czy faktycznie tam był, i to przez cały ten okres, to już zadanie dla prokuratora Michała Skwary, prowadzącego śledztwo w sprawie śmierci ks. Blachnickiego. Podobnie jak sprawdzenie mogących mieć znaczenie szczegółów, na przykład czy do Etiopii leciało się wówczas przez Moskwę czy przez Frankfurt. Podkreślam: mamy prawo podejrzewać, że wspomnienie o tym wyjeździe w aktach było maskowaniem innych – i prowadzonych zupełnie gdzie indziej – działań Makowskiego.

▶ Można odnieść wrażenie, że parasol ochronny, roztoczony już wówczas nad wykonawcami i pomysłodawcami tamtego morderstwa, istniał jeszcze do niedawna.

Tak niestety było. Dlatego że archiwa SB stały się archiwami UOP, dlatego że ewidencja operacyjna SB stała się automatycznie ewidencją operacyjną UOP, dlatego że funkcjonariusze SB, którzy brali pośredni bądź bezpośredni udział w tym mordzie, stali się funkcjonariuszami (ze wszystkimi uprawnieniami) Urzędu Ochrony Państwa i tak działo się do roku 2002, a potem jeszcze dłużej, gdy UOP przekształcono w ABW i Agencję Wywiadu.

Chcę podkreślić: prokurator Skwara ma teraz kapitalną możliwość prawną dotarcia do wielu ukrywanych dotąd informacji, włącznie z otworzeniem sejfów każdej służby specjalnej w Polsce A.D. 2023 – właśnie ze względu na to, że prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni komunistycznej, niepodlegającej przedawnieniu, a polegającej na zlikwidowaniu księdza katolickiego ze względów politycznych i religijnych. Na tej podstawie ma prawo zajrzeć do każdego archiwum, do każdej kartoteki służb specjalnych w państwie polskim i nikt z jej szefów nie ma możliwości mu tego odmówić. Od dłuższego czasu postuluję, żeby odpowiedzieć na pytanie, czy Andrzej Gontarczyk i Jolanta Lange byli – podobnie jak płk Aleksander Makowski – aktywami operacyjnymi Urzędu Ochrony Państwa. Bo jeżeli tak – a moim zdaniem istnieją przesłanki, by tak sądzić – to kto wie, czy w materiałach zachowanych w archiwach operacyjnych z tajnej współpracy jednego z tych małżonków (albo obu) nie mamy do czynienia z jakimiś elementami, które przyczynią się do odpowiedzi na pytania, kto zlecił to morderstwo, kto je przeprowadził, kto je planował, kto dawał zabójcom osłonę. A może pozwoli nam to też odpowiedzieć na pytanie dotyczące przyczyn odstąpienia w 2006 roku przez panią prokurator Ewę Koj od tak elementarnych czynności procesowych, jakimi były ekshumacja ks. Franciszka Blachnickiego w 2006 roku, podjęcie badań próbek pobranych po sekcji oraz włączenie wszystkich dostępnych wówczas materiałów IPN do akt śledztwa, co umożliwiłoby ukierunkowanie postępowania przeciwko żyjącym jeszcze wtedy oficerom SB prowadzących „Yona" i „Pannę", tj. Waldemara Mendzelewskiego vel Dorantowskiego i Roberta Grochala vel Bieleckiego oraz ich nadzorców: Henryka Bosaka i Henryka Wróblewicza. A tak dzięki prokurator Koj nie niepokojeni przez polski wymiar sprawiedliwości wszyscy w komforcie odeszli z tego świata.

▶ Czy ma Pan jakieś domysły co do powodu tych zaniechań prokurator Koj?

A wie Pan, panie redaktorze, że nikt z przedstawicieli prokuratury generalnej RP nie dochodził przyczyn elementarnych błędów popełnionych przez prokurator Ewę Koj podczas rzeczonego śledztwa z 2006 roku? Słyszał pan może o jakimś postępowaniu dyscyplinarnym wobec pani prokurator? Bo ja nie! Jedyne, na co się zdecydowano, to odwołanie ze stanowiska naczelnika i na przysłowiowe „zesłanie" do pracy w Delegaturze IPN w Olsztynie. Paradne, prawda? Pyta mnie pan o moje domysły. Odpowiem tak: powodów skandalicznych zaniechań należy doszukiwać się według mojej opinii zarówno we wpływach z ul. Miłobędzkiej [siedziba Agencji Wywiadu w Warszawie – przyp. autora], jak i Kurii Biskupiej w Katowicach abp. Wiktora Skworca [zarejestrowanego przez SB jako TW o ps. „Dąbrowski" – przyp. autora]. Sądzę, że w 2006 roku zleceniodawcy i mocodawcy tej zbrodni wciąż korzystali z parasola ochronnego służb specjalnych. Ale to już historia na osobną opowieść. ■

eprasa.pl 97889736ca



Ryszard Czarnecki

Desowietyzacja!

Pojęcie „desowietyzacja" pokazuje nie tylko wewnątrzkrajowy wymiar oczyszczania polskiego życia publicznego ze złogów „komuny", lecz także kluczowy dla realnej niepodległości polskiego państwa wymiar międzynarodowy.

Cyklicznie – przynajmniej do wojny w Europie Wschodniej – odbywał się zjazd absolwentów MGIMO, czyli najpierw sowieckiej, a potem rosyjskiej akademii dyplomatycznej. Uwaga: nie tylko w Rosji, lecz także w różnych innych państwach, które kiedyś tworzyły ZSRS, a teraz Moskwa uważa je za swoją naturalną strefę wpływów. Spotkania te miały charakter głównie towarzyski, tak jak spotkania po latach absolwentów liceum czy tego samego roku ze studiów. I na tym kończą się porównania, bo oczywiście tego typu zjazdy to „teren łowczy" dla rosyjskich służb, które wykorzystując relacje koleżeńsko-przyjacielskie absolwentów MGIMO Rosjan i nie-Rosjan, robiły „swoje". Państwo polskie uznało, że trzeba przerwać tę pępowinę łączącą nasz MSZ z moskiewską „kuźnią kadr dyplomatycznych" i obecny rząd podziękował za współpracę absolwentom tej uczelni, którzy za rządów SLD-PSL i PO-PSL często zajmowali w resorcie przy alei Szucha kluczowe stanowiska (także w najbliższym otoczeniu kolejnych szefów MSZ z PO).

Inna sprawa, że decyzja ta nastąpiła blisko trzy dekady po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości.

O powiązaniach służb Rosji i Polski w czasach czterech rządów partii, które teraz są w opozycji, media informowały. Także o tym, że kluczowe stanowiska w naszych służbach zajmowali absolwenci kursów w Rosji. Czy to ma znaczenie? To oczywiste.

Specjalnie pokazuję międzynarodowe aspekty braku – przez lata – dekomunizacji. Przy czym proponowałbym w tym kontekście inną nazwę, która lepiej oddaje ten oczywisty kontekst zewnętrzny. Używałbym pojęcia „desowietyzacja", bo pokazuje to nie tylko wewnątrzkrajowy wymiar oczyszczania polskiego życia publicznego ze złogów „komuny", lecz także kluczowy dla realnej niepodległości polskiego państwa wymiar międzynarodowy. Nie przypadkiem Ukraina miała olbrzymi do niedawna (zakładam, że już go nie ma) kłopot z ludźmi ze służb, armii, policji, struktur państwowych, którzy byli lojalni wobec Moskwy, a nie wobec Kijowa.

Po sąsiedzku: wpływy rosyjskie na Białorusi są tak olbrzymie nie tylko dzięki szantażowi, gospodarczemu czy trzymaniu za twarz samego Łukaszenki, lecz także dlatego, że wszystkie struktury „siłowe" Mińska są opanowane przez ludzi Moskwy.

Staram się pokazać szerszy aspekt uwikłania elit państw dawnego bloku „wschodniego" w system powiązań z Kremlem i jego strukturami. Myślę, że to czas, aby właśnie tak widzieć dekomunizację. Często bowiem jest ona, także przez środowiska niepodległościowe, traktowana wyłącznie jako konieczność odcinania korzeni polityczno-ideologiczno-strukturalnych, które powodowały, że władza, media, gospodarka, sądownictwo w Polsce dzięki ludziom „komuny" tkwiły w sytuacji mniejszej lub większej, ale istotnej zależności. A to tworzyło sytuację nie tylko politycznego niszczenia nowych, niepodległościowych elit, lecz także kreowania fikcyjnej demokracji, w której faktyczne decyzje są podejmowane gdzie indziej, niż dyktuje to wynik wyborów.

Tak, „desowietyzacja" dalej jest potrzebna. Warto zwrócić uwagę, że nie zniknęli ludzie i media, które po 10 kwietnia 2010 roku faktycznie służyli rosyjskiej propagandzie i interesom państwowym Moskwy. Nie zniknęły środowiska i politycy, którzy uważali, że „kapitał nie ma narodowości" i w związku z tym można zakłady azotowe czy stocznie sprzedać kapitałowi rosyjskiemu. Oni dalej są, funkcjonują, choć dziś nie tylko nie wypada, ale wręcz niebezpiecznie jest być prorosyjską papugą, która powtarza, co Kreml chce usłyszeć. Przecież z ich strony nie było żadnego aktu ekspiacji, szczerego nawrócenia – był tylko taktyczny manewr na przeczekanie. Skądinąd ciekawe, że szereg tych środowisk i ludzi, którzy przed dekadą i dawniej byli jawnie prorosyjscy, dziś ze świętym oburzeniem reaguje na zarzuty wobec... niemieckich elit, że dalej, wciąż, de facto grają lub chcą grać z Moskwą. Czy nie daje to do myślenia? ■

eprasa.pl 97889736ca



Małgorzata Matuszak

Czym jest... spotkanie

Spotkania różnicuje to, z kim się widzimy, jak i forma tego spotkania. Możemy wszak zobaczyć się z przyjaciółmi, możemy na gruncie czysto formalnym bądź zawodowym, z kimś, kogo już znamy, i z osobą całkowicie nam obcą. Sposób spotkania też się różni. Może ono być bowiem konieczne albo niekonieczne, zaplanowane bądź przypadkowe. I chociaż spotkania mogą być różne ze względu na okoliczności, pod względem istotowym mają jednak wspólną naturę. Tym, co łączy je wszystkie, jest element nieznanego.

Spotkanie niesie ze sobą moment nieprzewidywalności i wydania na to, co nieznane. Rozgrywając się między przynajmniej dwiema osobami, wprowadza w nieunikniony sposób moment etyczny – tam bowiem, gdzie „ja" spotyka „Ty", tam zaistnieć może i to, co dobre, i to, co złe. Każde spotkanie jednak bez względu na swoją etyczną jakość jest wydarzaniem się tego, co inne. Każde jest oczywiście też ryzykiem, bo przecież jakiekolwiek otwarcie jest ryzykiem.

Spotkanie w swej istocie jest wydarzaniem się transcendencji. Rozgrywając się między „ja" a Ty, dąży do przekroczenia „ja" w tym, co stanowi „Ty", powierza „ja" – „Ty", gdyż „ja", wdając się w spotkanie z „Ty", musi siebie przekroczyć i zdać się na „Ty". Musi wyjść mu naprzeciw.

W spotkaniu jednak wydarza się zawsze coś więcej, gdyż i „ja", i „Ty", poprzez spotkanie ze sobą, nie są już takie same, jakby były wtedy, gdyby do ich zejścia nie doszło. Dlatego spotkanie obdarza „ja" i „Ty" czymś więcej. Tym „więcej" jest właśnie przekroczenie własnego „ja" w spotkaniu, koniecznym do tego, by doszło do wytworzenia się jakości bycia razem.

W byciu razem zarówno „ja", jak i „Ty" nie są już takie same, jakimi były osobno, ale łączy je to, co je przekracza – samo spotkanie. Niosąc w sobie zawsze coś innego niż to, co możliwe dla nas samych, niosąc bycie razem, które odmienia i „ja", i „Ty", które w trakcie spotkania stają się dla siebie nawzajem, spotkanie jest wydarzeniem i wydarzaniem, czyli otwieraniem się daru, jaki „Ty" stanowi dla „ja". W spotkaniu zachowany jest właśnie ów moment wzajemności, którego nie było przed spotkaniem, wydarzający się wtedy, gdy „ja" widzi siebie w „Ty" i „Ty" w „ja", ale już za pośrednictwem kogoś drugiego, a więc w inności wobec siebie.

Spotkanie jest innością siebie, czasem, w którym mogę poznać siebie również poprzez kogoś innego. Stąd też poza aspektem etycznym, który mówi nam, że spotkanie z kimś drugim jest zawsze jakimś wydaniem na nieznane, w którym jednak zawsze mamy nadzieję na to, że będzie nam obojgu, zarówno mnie, jak i temu, z kim się spotykam, niosło ono jakieś dobro, w spotkaniu rozwija się również i pogłębia poznanie siebie w inności kogoś drugiego. Ujawnia się to dobitnie w spotkaniu z tym, którego uznajemy za swojego przyjaciela, czyli w spotkaniu z naszym „alter ego" – „drugim ja", jak określił przyjaciela Arystoteles.

SPOTKANIE NAS ROZWIJA I POKAZUJE NAM SIEBIE ORAZ KOGOŚ DRUGIEGO W NOWYM ŚWIETLE. WYTWARZA NOWĄ JAKOŚĆ, DZIĘKI KTÓREJ MOŻLIWE JEST ODRODZENIE SIEBIE I UJRZENIE NA NOWO.

Spotkanie nas rozwija i pokazuje nam siebie oraz kogoś drugiego w nowym świetle. Poprzez inność kogoś drugiego każdy z nas musi bowiem dokonać zawieszenia i równocześnie transcendencji siebie tak, aby móc się z drugim prawdziwie spotkać. Spotkanie wytwarza zatem nową jakość, dzięki której możliwe jest odrodzenie siebie i ujrzenie na nowo.

Ponowne spotkanie z tymi, których znamy i których lubimy, są przez nas wyczekiwane. Sprawia, iż czas staje się inny niż ten codzienny. Staje się czasem, który można nazwać odświętnym, gdyż przerywa nasze zwykłe bycie ze sobą samym, byśmy mogli wyjść naprzeciw komuś innemu, uczestniczyć w spotkaniu. Regeneruje się wtedy nasze bycie, ponownie odradza, wydarzenie spotkania daje nam bowiem jakiś nowy początek, jakieś bycie od nowa, w którym na nowo jakby widzimy siebie w oczach kogoś drugiego. Daje nam też możliwość uczestnictwa w byciu razem, które jest transcendencją „ja" i „Ty" – czymś trzecim, jakim jest ich wzajemne spotkanie. Tym też są Wielkanocne Święta – spotkaniem z „Ty", które jest zdolne odrodzić nasze bycie. ■

eprasa.pl 97889736ca

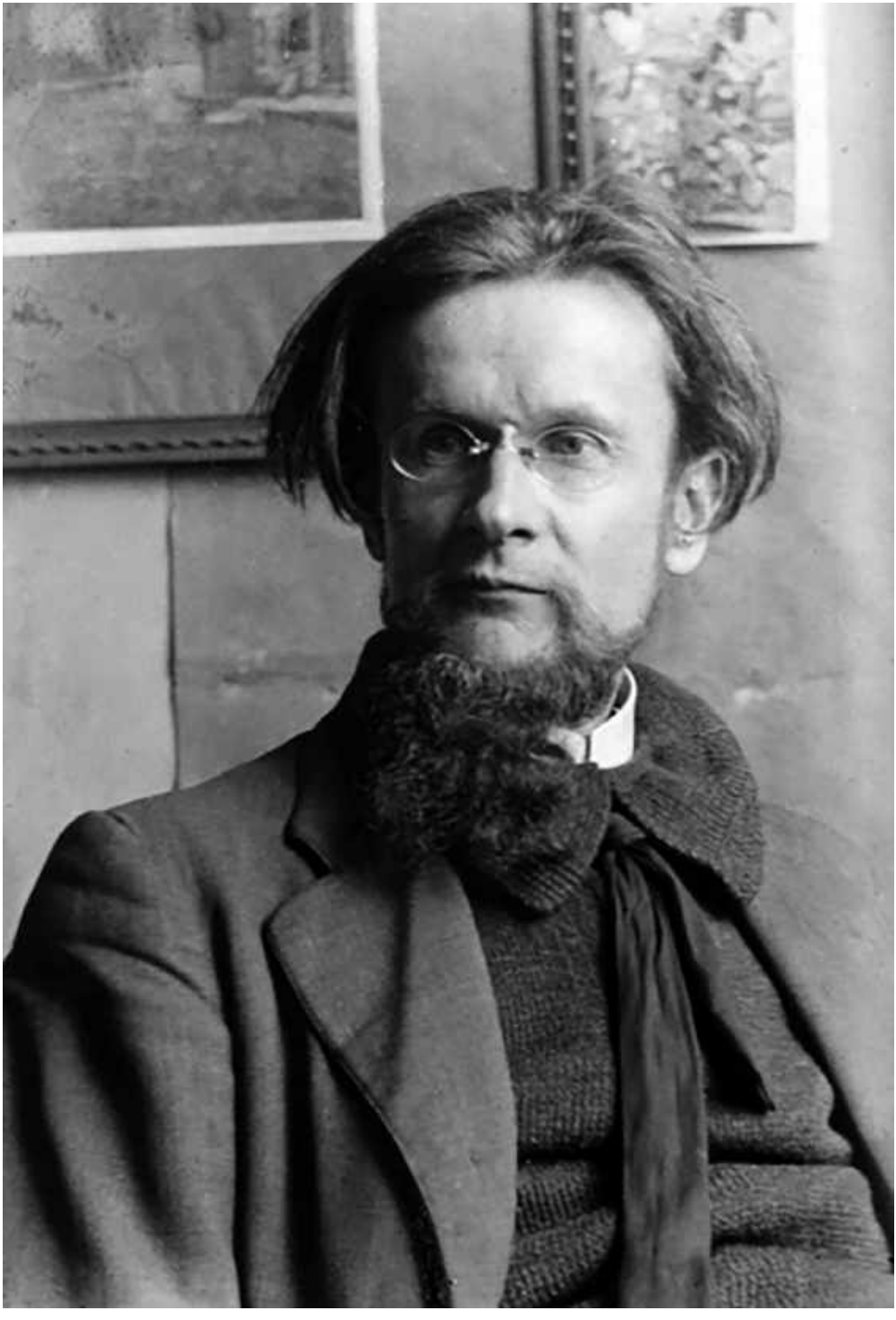
Zawsze byłem wariatem. Antykomunista, niepowtarzalny paryżanin z Warszawy

Piotr Lisiewicz



Francuski krytyk Joseph Perard w paryskim dzienniku „Derniere Paris – Le National" z 10 stycznia 1946 roku pisał z zachwytem o historii cudownego dziecka – malarza z Polski: „W szóstym roku życia kreśli postacie w ruchu. W siódmym – kuszą go kolory, ich świetlistość, ich współgra, podobnie jak dźwięki, rytmy, harmonia formują młodocianego wirtuoza. Gdy ma osiem lat, rycina Rembrandta odsłania przed nim życie kreski. Gdy ma dwanaście, bawi się łączeniem walorów za pomocą linii i arabesek, wymyślając sobie kubizm". Nie mniej niż życiorys, zachwycał go witraż Konstantego Brandla: „Barbarzyńcy zniszczyli Warszawę, ale nie zdołali zabić Syreny, niepokonana, nieśmiertelna, wynurza się z Wisły, by z mieczem i tarczą stanąć przed wrogiem".

eprasa.pl 97889736ca



FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 97889736ca

Konstanty Brandel był artystą, jakich próżno szukać w dzisiejszych czasach, bez reszty oddanym sztuce i obojętnym na uznanie świata, prestiż i pieniądze. Jego przyjaciel, polski ksiądz Wiktor Grzesiek, tak opisywał postawę artysty w londyńskich „Wiadomościach": „To, co odczuwał, co widział w wizji twórczej, nigdy zupełnie nie odpowiadało temu co odtworzył na płótnie czy rysunku. Dlatego nigdy nie uważał swojego obrazu za skończony i stale poprawiał swoje dzieło. Sztuka dla niego była kontemplacją prawdy odwiecznej i odtworzeniem jej formami zewnętrznymi. Zdawał sobie sprawę, że ta kontemplacja wymaga ascezy i że przez ascezę zbliży się najbardziej do Prawdy. Uprawiał więc swojego rodzaju ascezę. Żył samotnie, bez wygód, w stałym skupieniu, często milczeniu. Nie dbał o rozgłos; nie zależało mu na sprzedaży swych dzieł. Przeciwnie, z trudem rozstawał się z jakimś swym obrazem. Trzeba było mieć wyjątkowe względy, by móc kupić u niego obraz. Całą swą twórczość chciał zachować w całości i tak przekazać ją potomności". Niemożliwe?

Nawet gdyby mieli go poczytać za szaleńca...

O tej oddzielności Brandla Francuz Joseph Perard pisał: „Być sobą, wypowiedzieć to, co się ma w sobie, nawet gdyby poczytać mieli za szaleńca. Rodzina ani społeczeństwo nie mają na niego wpływu. Żadnych szkół, jedynie własne, z dala od innych, wagarowanie. Buduje między sobą a kolegami bariery, które koledzy jeszcze zwiększają". „Zawsze byłem wariatem, którego nic nie interesowało poza własnym malarstwem. I to pozostało" – mówił o tym on sam.

Trochę liczb. W Paryżu mieszkał 67 lat, trafił do francuskiej stolicy, mając 23 lata. Ale do 59 roku życia tak naprawdę dzielił życie pomiędzy Paryż i Warszawę. Dopiero potem, po 1 września 1939 roku – aż do 90. roku życia – to było życie wygnańca, dla którego nie było miejsca w sowieckiej Polsce. I wtedy mając światowe uznanie, jeszcze mocniej akcentował, wręcz demonstrował swoją polskość. „Nigdy nie przyjął obywatelstwa francuskiego, dzieła swe często podpisywał »BrandeI z Warszawy«. W swej twórczości, a także duchowo, uczuciowo, językowo pozostał Polakiem" – pisały londyńskie „Wiadomości".

Mirosław Supruniuk z toruńskiego Archiwum Emigracji opisuje, jaki to miało wpływ na dostępność jego dzieł: „Prace graficzne Brandla znajdują się w Bibliotheque Nationale w Paryżu, Neue Pinakothek w Monachium, British Museum w Londynie oraz nielicznych zbiorach publicznych w Wiedniu, Genewie, Brukseli, Nowym Jorku. Trafiły tam w latach 20. i 30. ubiegłego stulecia. Później, kierowany upartą myślą, by wszystko, co stworzy, mogło po jego śmierci wrócić do Polski, nawet w najtrudniejszych warunkach materialnych Brandel niechętnie sprzedawał obrazy czy grafiki".

Ksiądz Grzesiek tak pisał o tych jego motywacjach: „Był gorącym patriotą. Sam zwierzał się i lubił to podkreślać, że jego poczucie polskości i ukochanie wszystkiego, co polskie, wyniesione z domu rodzicielskiego, w szczególny sposób spotęgowało się i na zawsze, niezatarcie – wyryło się w jego sercu... Tu, za granicą, skrupulatnie dbał, by w niczym nie umniejszyć honoru Polski i godności Polaka".

Szkoła była piekłem, ale w niedziele szedł do Zachęty

Urodził się 10 kwietnia 1880 roku w Warszawie jako syn Józefa, urzędnika Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, i Anieli z Karnkowskich. Na przełomie wieków, w roku 1900, ukończył naukę w warszawskim VIII Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława IV. W latach 1900–1903 studiował malarstwo w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Leona Wyczółkowskiego, Józefa Unierzyskiego i Józefa Mehoffera.

Malarz i pisarz Ludwik Lille w polskich audycjach Radia Francuskiego poetycko opowiadał o życiu Konstantego Brandla, w opowieści zatytułowanej „Piękna i cicha dusza". Pisał, że szkoła była dla niego piekłem, ale na szczęście były lepsze chwile:

Za to w niedzielę – oddycha się innym powietrzem:
Po mszy pan Brandel zabiera syna do Zachęty Sztuk Pięknych na wystawę.
To jakby drugie nabożeństwo.
Nabożeństwo w obliczu dzieł sztuki...
Nikt w domu państwa Brandlów nie oburza się na nowatorów.
Wszystko jest objawieniem.
Syn rysuje,
W szkole bardzo źle.
Kwadrat czy sześcian
– o zgrozo!
– wyciąga przy pomocy linijki.
Kuli narysować nie potrafi.
Ale poczciwy profesor Zołotarew – Rosjanin, bo przecież było to gimnazjum rosyjskie – poznał się na rysunkach chowanych w kajetach.
„Masz piątkę" – mimo linijki!
„Będziesz artystą".

Płótno i farby są drogie

Joseph Perard tak pisze o dalszym ciągu: „23-letni młodzieniec przybywa do Paryża. Paryż dla niego to nie miejsce zabawy, ale jedyne miejsce, gdzie się na-

eprasa.pl 97889736ca

prawdę pracuje. [...] W r. 1907 nie przestając malować, zabiera się do rytownictwa".

Powody tej zmiany były według Perarda również prozaiczne: „Płótno i farby są drogie, zamiast nich można rozpłaszczyć drobną monetę i zmieścić na niej cały obraz. W r. 1914 zarzuca malarstwo na rzecz wyłącznie ryciny. Podczas wojny 66 grawiur. Potem jeszcze 300: co miesiąc jedna. Dwa okresy: pierwszy instynktowny, spontaniczny; drugi – poszukiwań i zagadek. Osiem ilustracji do »Vita Nuova« (w r. 1921) oznacza przejście z jednego okresu w drugi (nigdy Dante nie miał lepszego interpretatora). Jego ekslibrisy to prawdziwe portrety, definicje duszy, symbole. Jego frontispisy do wydań Sofoklesa, Laforgue'a, Schurego, d'Estauniego, Mau-rois są lepiej znane".

Jak podkreśla francuski krytyk, polski artysta jest „w ciągłym rozdarciu między oboma krajami, wie godło. Znał wielu polskich malarzy i grafików, ale zaprzyjaźnił się z nielicznymi z nich, podobnie jak on, oddanymi sztuce – z Olgą Boznańską, Frydą Frankowską, Heleną Ciechanowską, Karolem Mondralem, studiującym w Paryżu grafikę i rysunek, oraz Franciszkiem Prochaską".

Doceniał go także malarski Paryż: „Miał przede wszystkim wielu przyjaciół wśród Francuzów, i tych, związanych z Académie de la Palette, malarzy: Amédée Ozenfant, Jean Buhot, Clemént Serveau i Félicien Cacan, i osoby niezwiązane ze sztuką. Aktywny w artystycznym Paryżu, został członkiem Salon dAutomne i Société Nationale des Beaux--Arts".

Liczba wystaw, w których brał udział, też była niemała: „Wystawiał we Francji, w Szwajcarii, we Włoszech i w Brazylii... jego prace zakupiono do zbiorów

„Był gorącym patriotą. Sam zwierzał się i lubił to podkreślać, że jego poczucie polskości i ukochanie wszystkiego, co polskie, wyniesione z domu rodzicielskiego, w szczególny sposób spotęgowało się i na zawsze, niezatarcie – wyryło się w jego sercu..."

jeździ z jednego do drugiego, Paryż ciągnie go w Warszawie. Warszawa pociąga ku sobie w Paryżu. Tęsknota twórcza". We Francji jest doceniany: „Otrzymuje zamówienie na około 30 projektów witraży do kościoła w Le Transloy. Piękny jak lazur, krew, płomień, kwiaty, drogie kamienie, metale, witraż narodzi się z niego, by rozbłysnąć w oczach, które tworzyły go w cieniu".

Przyjaciel Olgi Boznańskiej

Katarzyna Moskała i Mirosław A. Supruniuk w opracowaniu „Malarstwo i rysunek Konstantego Brandla ze zbiorów Archiwum Emigracji Biblioteki Uniwersyteckie w Toruniu" piszą, że Brandel wyjeżdżając do Paryża nie znał języka francuskiego, co traktował jako zaletę, bo miało mu to pozwolić zajmować się wyłącznie sztuką.

Ich zdaniem młody Brandel nie był jeszcze aż tak ascetyczny, jak wynika z późniejszych relacji: „Z artystami plastykami polskimi studiującymi w paryskich szkołach spotykał się nie tylko na wystawach, ale też w zakładanych wspólnie polskich stowarzyszeniach i organizacjach artystycznych, takich np. jak powstałe w 1924 roku Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki w Paryżu, dla którego wykonał w drzeGabinetu Rycin Biblioteki Narodowej w Paryżu, Nowej Pinakoteki w Monachium, Muzeum Watykańskiego i British Museum w Londynie oraz – nie licząc kolekcji polskich – publicznych zbiorów w Genewie, Brukseli i Wiedniu".

Na barwy woła po imieniu

O jego malarskiej twórczości wybitny polski poeta Józef Łobodowski napisze w wierszu „Do Konstantego Brandla":

Jakiż anioł w sfery przeniósł,
gdzie się można tak zachwycić i zatracić,
że na barwy woła po imieniu,
jak do sióstr najmilejszych i braci?

Niebo – oknem od malarskiej pracowni,
ziemia – mocną podstawą do stalug,
noce płoną w kształt smolistych głowni,
a zachody stygną w ciemnym koralu.

I rozwija się, rozkwieca żywot dobry,
ku świtaniom przechylony i tęczom,
w tłum zbierają się szkarłaty i cynobry
i padają na kolana i klęczą.

eprasa.pl 97889736ca

Jak podkreślają Moskała i Supruniuk: „Malarz odczuwał barwy, tworzył je, a nie odtwarzał. Nie starał się naśladować rzeczywistości, ale stosując zasadę: »ja widzę – ja tworzę«, starał się wydobyć, wynaleźć nowe kolory, nie krępując się środkami, które miał do dyspozycji”.

Zwierzęta niesforne i grzywiaste

Jego losy w czasie I wojny światowej opisują tak: „W roku 1914, po wybuchu wojny, Brandel przygotowywał się do podróży do Hiszpanii. Dojechał do Bayonne, gdzie zatrzymali go Polacy, służący przede wszystkim w drugiej kompanii Legii Cudzoziemskiej – Bajończycy. Wśród żołnierzy był m.in. Xawery Dunikowski, ale też paryscy malarze: Mondszajn, Marcussis i Rubczak. W rozmowie z W. Leitgeberem Brandel opisał to następująco: »Mieszkałem u starszej wiekiem Francuzki. Miałem jeden kilogram cukru i trochę herbaty, przywiezione z Paryża. Chleba dostawałem od żołnierzy. Rysowałem im portrety«”.

Był obecny zarówno we francuskim, jak i w polskim życiu artystycznym. Od 1920 roku był członkiem Société nationale des beaux-arts, od 1929 roku należał do Société du Salon d'Automne. W 1925 roku otrzymał medal paryskiej Exposition des Arts Décoratifs za projekty ośmiu witraży. W 1929 roku otrzymał Wielki Srebrny Medal na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. W 1933 roku wstąpił do Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Krakowie.

Do cyklów jego obrazów i grafik należały „Katedry”, „Pogrzeb własny”, „Mnich”, „Śmierć Apollina”, „Witraże” i „Zjazd syren na Wiśle”. O plonie artystycznym jego wyprawy do Brazylii z 1935 roku tak pisał Joseph Perard: „Nie znajduje tu takiego krzyku natury jak u tylu malarzy. Widzi natomiast za dnia niebo lekkie z kilkoma nieruchomymi piatami rozpływających się chmur, falistość miasta, napiętą gęstwę mangowców, pomarańczy, bananowców wzdłuż brzegu lazurowego, znaczonego żółtawą pianą morza, a wieczorem – błękitną otchłań, gąbki chmur, kontrasty kształtów i kolorów”. Łobodowski pisał o tym osiąganiu malarskiej dojrzałości:

A ty chodzisz w pośród nich, jak pilny pasterz,
dłonią gładzisz, drobną sypiesz mannę,
aż zwierzęta niesforne i grzywiaste
W hymn się złączą, w tysiącbarwną Hosannę.

Więc zatraca się w nas grzech i wina,
gorzkie serce w piersi czyściej uderza,
gdy pokorną ręką ziemię z niebem spinasz
odnowioną tęczą Przymierza.

W 1937 roku Brandel otrzymał Grand Prix na Międzynarodowej Wystawie Sztuki i Techniki w Paryżu. W 1939 roku został honorowym prezesem Związku Polskich Artystów Grafików.

Producent lalek

O jego eksperymentowaniu z różnymi dziedzinami sztuki piszą Moskała i Supruniuk: „Tworzył dużo i bez trudności, i kwestią czasu była refleksja, że łatwość, z jaką przychodzi mu malarstwo olejne, nie przynosi satysfakcji. Zaczął szukać nowych wyzwań. Eksperymentował z powodzeniem z ceramiką, majoliką, witrażem, kością słoniową; angażował się nawet w produkcję lalek”.

Z czego czerpał inspiracje? „Mówiąc o wpływach, jakim podlegała wyobraźnia Brandla, od sztuki greckiej, romańskiej i gotyckiej, poprzez sztukę hinduską, XVIII-wieczny japoński drzeworyt, którego odbitki trzymał w swoich papierach, aż po najnowsze prądy początków XX stulecia, pamiętać należy, że były to inspiracje »kontrolowane« i dotyczyły głównie grafiki, odnosząc się do konkretnych prac, dla których szukał wzoru”.

Jaki dawało to efekt? „Malarstwo Brandla, podobnie jak grafikę, cechuje zarówno niemal matematyczna ścisłość i ostrość obserwacji w jego studiach pejzaży, roślin, przedmiotów, postaci i portretów, jak i fantastyczne, wynikające nie tyle z obserwacji, co z odczuć, postrzeganie przestrzeni i barw. Przedmioty realne, miejsca oglądane z natury, raz odtwarzane są zgodnie z rzeczywistością, a innym razem jakby przez kliszę chwilowych predyspozycji, uczuć, światła, stanu świadomości i ducha”.

Niepokonana Syrena pomści Warszawę

Joseph Perard tak pisał o jego wojennej twórczości: „Męczeństwo Polski daj natchnienie do »Drzewa życia« narodu, pięknego pięknem witraża, symbolicznej »Syreny«. Barbarzyńcy zniszczyli Warszawę, ale nie zdołali zabić Syreny, niepokonana, nieśmiertelna, wynurza się z Wisły, by z mieczem i tarczą stanąć przed wrogiem na tle mostu, kolumny Zygmunta, Zamku Królewskiego i katedry”. Podkreślał, że Brandel „służy sprawie nie jako bojownik, ale jako artysta. Służy przede wszystkim życiu i sztuce”.

Duża część z dzieł Brandla miała zaginąć w czasie wojny. Moskała i Supruniuk tak piszą o jego dorobku: „W 70 zachowanych szkicownikach z podróży po Polsce, Włoszech, Wielkiej Brytanii oraz przede wszystkim Francji i Brazylii znaleźć można setki następnych doskonałych akwareli. Tę wielką liczbę dzieł uzupełnia ponad sto prac malarskich nieodnotowanych w spisach, a znajdujących się w kolekcjach publicznych

eprasa.pl 97889736ca

w Polsce, blisko tysiąc rysunków ołówkiem, sepią i tuszem oraz przeszło 100 monotypii". „Namalowałem przeszło sto obrazów, przeważnie na czarno, ale prawie wszystko przepadło podczas ostatniej wojny albo już w 1920 r. Mało ostało się. Dlatego dziś nikt prawie o nich nie wie. Malowałem pejzaże, portrety, nagości" – wspominał te straty.

Irena Kossowska na portalu Culture.pl pisze o tych ostatnich tak: „Akt erotycznej ekstazy zobrazowany w akwafortach Brandla Pod namiotem (ok. 1911), Erotyk (ok. 1911) i Pocałunek straszliwy (ok. 1911) przywodzi na myśl opis pocałunku Stanisława Przybyszewskiego w De Profundis. W nurcie erotyków kulminację stanowi akwaforta Don Juan (ok. 1913), której kadr – na podobieństwo raju zmysłów Boscha – wypełniają splecione ciała kochanków, będące emanacją pragnień Don Juana bądź wywołanym z pamięci obrazem miłosnych podbojów. Potędze zmysłów nadał Brandel alegoryczną postać w rycinach nawiązujących do ikonografii dojrzałego renesansu, odwołujących się – na mocy parafrazy – do mitologicznych wątków przedstawionych w obrazach Tycjana".

Ubóstwo, jedyny właściwy stan dla malarza

Jak stwierdzają Moskała i Supruniuk „Paryżanin, emigrant – Konstanty Brandel – stał się uchodźcą dopiero w 1945 roku". Malarz Józef Czapski pisał, że Brandel był w Paryżu wśród artystów powszechnie znany także z ubóstwa, na które nie narzekał, uznając stan taki „za jedyny właściwy dla malarza". Opisując wizytę u Brandla w latach 50., w mieszkaniu na placu Pigalle, Czapski zapamiętał wiszącą na ścianie reprodukcję sztychu Rembrandta „Chrystus wśród trędowatych": „Tu po raz pierwszy przeżyłem sztukę Brandla". Jak stwierdzają Moskała i Supruniuk, Brandlowi „Głęboka religijność kazała dostrzegać we wszystkim, co widział »niepojętą obecność Boga«".

Na wygnaniu angażował się w polską sprawę. W wydawanym w Paryżu „Słowie Polskim" w 1952 roku czytamy o działaniach Brandla na rzecz upamiętnienia Cypriana Kamila Norwida. „Komitet zawiązany w Paryżu na wiosnę 1952 wezwał Polaków rozproszonych po świecie, do składania ofiar na budowę nagrobka, który będzie pierwszym hołdem społeczeństwa dla jednego z największych synów Polski". Brandel, wraz z innymi sygnatariuszami, w tym Marią Czapską i Kajetanem Morawskim, pisał: „Pragniemy, aby złożenie hołdu wielkiemu poecie, stało się manifestacją wolnej kultury w chwili, gdy naród znosi narzuconą mu obcą przemoc, a w duszach Polaków trwa walka nieustanna o wierność ideałom, jakim Norwid służył życiem i twórczością... Nasza obecność 1-go listopada w Montmorency u grobu Poety i zjednoczenie w miłości Ojczyzny będzie tym żywym pomnikiem, jakiego pragnął Cyprian Norwid, i przyczyni się do odniesienia w naszej duchowej walce pełnego zwycięstwa".

O jego wystawie z 1967 roku w Paryżu „Wiadomości" pisały: „[...] cykl »Pan Twardowski« i świetne krajobrazy z Polski. Te krajobrazy świadczą, jeśli trzeba takiego dowodu, jak mocno Brandel pozostawał zawsze związany ze swym krajem rodzinnym".

Samotna rozmowa z Bogiem

Moskała i Supruniuk tak piszą o ostatnich jego latach: „Ostatnie dziesięć lat życia Konstanty Brandel spędził bez trosk w podparyskim Domu Opieki dla Malarzy i Rzeźbiarzy, do którego, dzięki pomocy przyjaciół Francuzów, trafił jako jedyny obcokrajowiec. W tym czasie prawie już nie tworzył, lecz intensywnie poprawiał wcześniejsze prace malarskie".

Pan Bóg dał mu długie, 90-letnie życie. Na wieczność szykował się świadomie. Ksiądz Wiktor Grzesiek wspominał: „Ulubionym jego zwyczajem było, gdy kroczył ulicami Paryża, wstępować do napotkanego kościoła i tam zagłębiać się w samotną rozmowę z Bogiem. Odwiedzałem często p. Konstantego w Nogent-sur-Marne, a zwłaszcza w ostatnich tygodniach jego tam pobytu. W czasie jednej wizyty wspomniał mi, że wszystko uporządkował co do spraw i rzeczy, które po nim zostaną".

Wówczas ksiądz przypomniał o tym, co wynika z jego powinności: „Nadmieniłem wtedy, że wobec tego trzeba pomyśleć, by też uporządkować sprawy tyczące się wieczności. Odpowiedział mi Konstanty na to: »Mój kochany księże Wiktorze, i o tym nie zapomnimy«. Po krótkiej dyskusji ustaliliśmy, że najbliższą niedzielę poświęcimy wyłącznie na sprawy odnoszące się do Boga i duszy. I tak się też stało. Odbył wtedy bardzo budującą spowiedź i nigdy nie zapomnę tego uśmiechu, jakim mnie żegnał owej niedzieli".

„Krótko po śmierci Brandla jego siostrzeniec, Witold Leitgeber, realizując ostatnią wolę malarza, przekazał większą część spuścizny artystycznej do Polski" – relacjonują Moskała i Supruniuk. Ludwik Lille pisał o jego dorobku: „Dzisiaj te sny subtelne lub barwne leżą spokojnie wśród ścian tekturowych tek. Ale rychło winien przyjść dzień, kiedy wyjdą one na świat, aby ludzie poznali z nich piękną i cichą duszę Konstantego Brandla".

„Śmierć dla wierzącego nie jest okrutną kostuchą, która tylko sieje spustoszenie na ziemi i gasi raz na zawsze ogień życia, ale jest aniołem Bożym, który migocące tu drobne światełka przenosi w krainę wiecznej światłości" – powiedział w pogrzebowej mowie przyjaciel Konstantego Brandla, ksiądz Wiktor Grzesiek. ■

eprasa.pl 97889736ca



ODDAJMY JANA PAWŁA II MŁODYM!

Piotr Dmitrowicz

2 kwietnia 2005 roku. To była sobota. Wigilia Niedzieli Miłosierdzia Bożego. Do domu Pana odszedł Nasz Papież, tak Nasz, bo tak o Nim przez te wszystkie lata myśleliśmy i mówiliśmy. Odszedł, ale zostawił nam swoje dziedzictwo, które dzisiaj na nowo musimy przywrócić szczególnie nowym pokoleniom.

eprasa.pl 97889736ca

W XXI wieku były w moim przekonaniu dwa fundamentalne wydarzenia, które nas w dużym stopniu ukształtowały. Śmierć Jana Pawła II i katastrofa smoleńska. Dwie tragiczne, dramatyczne daty, które pokazały, że jesteśmy prawdziwą zbiorowością opartą na silnych uczuciach i więziach, że podtrzymujemy wspólną tradycję. Jednym słowem jesteśmy wspólnotą. Pomimo różnic, sporów, a niekiedy zaciętych kłótni potrafimy w ważnych chwilach stanąć ponad podziałami. Niestety to wszystko nie trwało długo. To było jak cios pięścią w twarz, szybko znaleźli się ci, którzy zaczęli szydzić, wyśmiewać, brutalnie atakować. Nie miejsce i czas, żeby teraz przypominać cały ten „przemysł pogardy", jaki rozwinął się wobec Jana Pawła II. Przed nami ważniejsze zadania. Mija 18 lat od śmierci Jana Pawła II. W dorosłość wkracza kolejne pokolenie młodych ludzi, którzy nie mieli tego szczęścia, żeby osobiście słuchać i spotykać się z Naszym papieżem. To, co dla nas było przeżyciem i doświadczeniem pokoleniowym, co nas ukształtowało, dla nich jest tylko lub aż historią. Niestety historią, której nie potrafiliśmy młodym przekazać. Żyliśmy w przekonaniu, że samo się zrobi, że skoro nas ukształtował, to tak samo będzie z kolejnymi pokoleniami. Ojciec Maciej Zięba powiedział kiedyś, że spuścizna po Janie Pawle II jest jak „odkrywkowa kopalnia złota". Tak, to prawda, tylko czy potrafimy odpowiednio z tego korzystać? Nie ma na to jednej i gotowej recepty, ale trzeba szukać dobrej drogi do tego złota. W przypadku młodych myślę, że jedna z nich powinna prowadzić przez opowieść o relacjach Jana Pawła II z młodzieżą. O jego spotkaniach i rozmowach z młodymi ludźmi na całym świecie. Jednym słowem mówmy do młodych Janem Pawłem II.

Papież i młodzi

Żaden celebryta, sportowiec czy polityk nie potrafił gromadzić wokół siebie takiej rzeszy młodych ludzi jak papież Jan Paweł II. Od początku swojego pontyfikatu przykładał on ogromną wagę do relacji z młodzieżą. W trakcie każdej swojej pielgrzymki spotykał się z nią. Rozumiał, jak ważna ona jest dla przyszłości świata. Bez wątpienia to specjalne podejście wynikało również z jego doświadczeń i pracy z młodymi jeszcze w czasach przed pontyfikatem. Młodzi zauważali jego naturalność. To, że nie starał się im schlebiać, że traktował ich poważnie, z szacunkiem, ale i stawiał wymagania. „Z młodymi należy żartować. Ale trzeba też być i bardzo poważnym, i bardzo wymagającym. Oni sami chcą, by być wymagającym wobec nich. Będąc poważnym i będąc wymagającym, udzielając podstawowych odpowiedzi, musi się także umieć radować, cieszyć się wraz z nimi z ich młodości: z wielkiej obietnicy, jaką stanowią poprzez ten prosty fakt, że są młodzi" – mówił Jan Paweł II w wywiadzie dla „L' Osservatore Romano" w 1980 roku.

Co takiego mówił, że jego przesłanie trafiało i do żyjących w luksusie młodych Europejczyków, i do cierpiących biedę i głód Afrykanów czy Indian? Co powodowało, że słuchali go z uwagą i zapartym tchem młodzi w najdalszych zakątkach świata? Jan Paweł II głosił Ewangelię. Mówił o miłości o odpowiedzialnej wolności i wynikających z niej ludzkich obowiązków. Mówił często rzeczy trudne, niemodne, niewygodne, a mimo to jego przesłanie padało na podatny grunt. Wiarygodność papieża polegała też na tym, że żył tak, jak mówił. Troszczył się o bliźnich, był odważny, szczery i spontaniczny. Łamiąc protokół, nakazywał ochronie przepuszczać do niego chore dzieci. Nie wstydził się, na oczach milionów objąć i uściskać płaczącą, murzyńską dziewczynę. Rozumiał jako aktor, jak ważne w współczesnym świecie są gesty, które czasami mają większą wartość niż tysiące słów. W swym przesłaniu do młodzieży często odnosił się do przykładu z własnego życia: „Pamiętam, że kiedy byłem młody tak jak i wy i czytałem Ewangelię, to dla mnie najsilniejszym argumentem za prawdziwością tego, co czytam było to, że tam nie ma żadnej obietnicy. Żadnej taniej obietnicy! [...] Mnie to bardzo przekonywało, ponieważ normalnie ludzie starają się pociągać innych obietnicami. Obietnicami, karierą, korzyściami: co z tego przyjdzie, będziesz miał z tego to a to, tamto...".

Miliony młodych na spotkaniach

Papież z Polski zapoczątkował też Światowe Dni Młodzieży. Pomysł stworzenia ŚDM sięga korzeniami początku 1983 roku, kiedy to papież Jan Paweł II zdecydował o ustanowieniu go „rokiem niezwykłej świętości", upamiętniającym 1950. rocznicę śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Jubileusz Młodzieży został oficjalnie ogłoszony przez Jana Pawła II 22 maja 1983 roku w Mediolanie, w ramach Krajowego Kongresu Eucharystycznego. Na pierwsze spotkanie w 1984 roku papież zaprosił młodych do Rzymu. Znaczna część mediów była niezwykle sceptyczna co do pomysłu papieża. Padały głosy, że skostniały, zhierarchizowany Kościół nie ma szans być atrakcyjnym miejscem spotkań i dyskusji. Również pracownicy

foto. GIUSEPPE GIGLIA/PAP/EPA

eprasa.pl 97889736ca

Papieskiej Rady do spraw Świeckich nie byli przekonani, aby kontynuować kolejne zjazdy młodzieży. Papież jednak nalegał i jak zawsze dopiął swego. Pierwsze spotkanie zgromadziło 150 tys. młodzieży, z czego 24 tys. to byli obcokrajowcy. Następny rok papież proklamował Międzynarodowym Rokiem Młodzieży. Z tej okazji skierował papież list do młodych całego świata „Parati semper", w którym pisał m.in.: „W Was jest nadzieja, ponieważ Wy należycie do przyszłości, a zarazem przyszłość do Was należy. Nadzieja zaś jest zawsze związana z przyszłością, jest oczekiwaniem „dóbr przyszłych". [...] Do Was należy odpowiedzialność za to, co kiedyś stanie się teraźniejszością wraz z Wami, a obecnie jest jeszcze przyszłością. [...] Pytanie o wartość, pytanie o sens życia – powiedzieliśmy – należy do szczególnego bogactwa młodości. Wyrywa się z samego serca poszukiwań i niepokojów związanych z projektem tego życia, jakie trzeba podjąć i urzeczywistnić. Jeszcze bardziej, gdy młodość jest doświadczona cierpieniem własnym lub głęboko świadoma cierpienia innych". Tak powstały Światowe Dni Młodzieży.

Pierwsze odbyły się w marcu 1985 roku w Rzymie. Uczestniczyło w nich 350 tys. młodych ludzi z 70 krajów. Na ostatnie spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II w kanadyjskim Toronto w 2002 roku przybyło prawie milion młodzieży ze 172 krajów. Mottem zgromadzenia były ewangeliczne słowa: „Wy jesteście solą dla ziemi...Wy jesteście światłem świata". Światowe Dni Młodzieży z Janem Pawłem II miały miejsce także w kwietniu 1987 roku w Buenos Aires w Argentynie, w sierpniu 1989 roku w Santiago de Compostela w Hiszpanii, w sierpniu 1991 roku w Częstochowie w Polsce (około 1,8 tys. uczestników), w sierpniu 1993 roku w Denver w USA, w styczniu 1995 roku w Manili na Filipinach (największe chrześcijańskie zgromadzenie modlitewne w dziejach, przybyło na nie 5 mln młodych), w sierpniu 1997 w stolicy Francji – Paryżu, w sierpniu 2000 roku – w Rzymie.

Podczas gdy w pierwszych edycjach (Buenos Aires, Santiago de Compostela, Częstochowa) papież samodzielnie wybierał miejsce spotkania, już od 1993 roku to episkopaty narodowe zgłaszają swoje kandydatury do organizacji ŚDM i to one wskazują miasto gospodarza Kurii Rzymskiej. Miał nasz papież ten niesamowity dar relacji z młodymi. Roger Laroche, Kanadyjczyk, który był w Toronto w 2002 roku, wspominał, że wstrząsnęły nim słowa Karola Wojtyły: „Były skierowane do mnie, nie mogłem w to uwierzyć. Czułem, że zostały przeznaczone specjalnie dla mnie". Z kolei Adonis Guangsing, Filipińczyk, który brał udział w ŚDM w Manili wspomniał błogosławieństwo otrzymane od Jana Pawła II: „Doświadczyłem niezwykłej energii. Czułem się błogosławiony. Nie potrafię wyjaśnić tego uczucia, uczucia spowodowanego otrzymaniem niewidzialnego daru. To intensywne szczęście jest wyjątkowe, nie przypomina niczego innego".

Do młodych Polaków

Podczas każdego swojego pobytu w Polsce Jan Paweł II spotykał się z młodzieżą. Tak było w czerwcu 1979 roku, kiedy w Warszawie pod kościołem św. Anny rozmawiał i modlił się z nimi, tak było w czarnym czasie stanu wojennego, kiedy w Częstochowie wlewał nadzieję w serca setek zgromadzonych młodych ludzi. Wreszcie w 1987 roku, kiedy spotkał się z nimi na Westerplatte. To tam padły jakże i dzisiaj aktualne słowa: „Przyszłość Polski zależy od Was i musi od Was zależeć! To jest nasza Ojczyzna, nasze być i nasze mieć i nikt nie może pozbawić nas prawa, ażeby przyszłość tego naszego być i mieć nie zależała od nas. [...] Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje »Westerplatte«. Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można »zdezerterować«".

Niesamowity przebieg miały VI Światowe Dni Młodzieży, które odbyły się 1991 roku w Polsce. Na błonia jasnogórskie przybyło ponad milion młodych ludzi, w tym około 100 tys. pielgrzymów z krajów Związku Radzieckiego. Papież zachęcał ich do dawania świadectwa wiary w krajach, w których po upadku totalitaryzmu zapanowała ideologiczna pustka, poczucie zagubienia i strach przed przyszłością. Nadzieja płynąca z Jasnej Góry miała zostać zaniesiona także do młodzieży w krajach laicyzującej się Europy Zachodniej. 15 sierpnia papież przemówił do młodzieży w 20 językach. „Waszym posłannictwem – mówił – jest zabezpieczenie w jutrzejszym świecie obecności takich wartości jak pełna wolność religijna, poszanowanie osobowego wymiaru rozwoju, ochrona prawa do życia od momentu poczęcia aż do naturalnej śmierci, troska o rozwój i umacnianie rodziny, dowartościowanie kulturowych odrębności dla wzajemnego ubogacenia się wszystkich ludzi, ochrona równowagi naturalnego środowiska, które coraz bardziej bywa zagrożone". Od tego czasu minęły blisko 32 lata, a te słowa Naszego Papieża są dzisiaj jeszcze bardziej aktualne niż wtedy. ■

eprasa.pl 97889736ca

Strefa Wolnego Słowa



Albicla.com

eprasa.pl 97889736ca



Agnieszka Kowalczyk

KATYŃ

Ponad ludzką wiedzę i wyobraźnię

eprasa.pl 978-[illegible]

„Grób pod Smoleńskiem jest pod pewnym względem czymś największym i po prostu jedynym na świecie. Przerasta legendarny labirynt i biblijną wieżę Babel, piramidę Cheopsa, drapacze chmur, przerasta ludzką wyobraźnię i ludzką wiedzę. Tego jeszcze nie było. Dzieje nie przekazały nam wypadku tak totalnego mordu, dokonanego w sposób tak nikczemny i w jeszcze bardziej nikczemny sposób zatajonego" – pisał Zygmunt Nowakowski o jednej z największych zbrodni stalinowskiej Rosji – o zbrodni katyńskiej wymierzonej w serce i duszę polskiego narodu.

FOT. WIKIPEDIA

Ofiarą zbrodni katyńskiej padło około 22 tys. polskich obywateli – jeńców wojennych obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, bestialsko rozstrzelanych w Smoleńsku, Lesie Katyńskim, Charkowie i Kalininie oraz wtrąconych do więzień Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, których mordowano w Kijowie i Mińsku.

Starobielsk

Tysiące polskich jeńców trudno było pomieścić w starobielskim obozie. Spali, gdzie się tylko dało – w cerkwiach, chatach, stajniach, oborach, składzikach, na ławach i na ziemi. W jednej z malutkich izb drewnianego domku „mieszkało w ciągu pierwszych 5 tygodni – 168 oficerów [...]. Na jedno ciało przypadało dosłownie 37 centymetrów wszerz! [...] Sto kilkadziesiąt brudnych ciał, w brudnej bieliźnie, pożeranych mrowiem pluskiew i wszy, przylgniętych do siebie do tego stopnia, że niepodobna uchylić się od oddechu sąsiadów; dwieście nagich śmierdzących nóg, wyziera trupio [...] spod prycz" – taki oto koszmarny obraz „barłogu jenieckiego" wyłania się ze wspomnień por. Bronisława Młynarskiego.

Obóz położony w odległości 230 kilometrów od Charkowa mieścił się w zabudowaniach zrujnowanego monasteru, opasanego wysokim murem i drutem kolczastym, strzeżonego przez wartownicze karabiny maszynowe oraz sfory wściekłych psów.

„Nuda, pustka i smutek. Drażni radio. Drażnią ciągle te same twarze. Drażni kasza. Lada iskra powoduje głupie brutalne burze" – pisał ocalały ppor. Seweryn Ehrlich, żołnierz-lekarz. Remedium na przerażającą monotonię i bezczynność stanowiły wszelkie formy twórczego działania, bo jak mówił, w takiej sytuacji ludzie chwytają się różnych sposobów oderwania od ponurej rzeczywistości – „dzielą się wiedzą, dzielą tęsknotą. Grają Chopina na niemej klawiaturze, wyrysowanej na desce ołówkiem. Snują plany zemsty i ucieczki – przez Indie, przez Chiny. Rzeźbią. Kto choćby iskierkę plastycznego zmysłu w sobie odkryje – rzeźbi. [...] Wiórki zaścielają podłogę. Wyłaniają się z klocków szachy i figurki, pudełka i papierośnice, krzyżyki i odznaki pułkowe". Z inicjatywy mjr. dypl. Stanisława Zemanka powstała Komisja Kulturalno-Oświatowa, której członkowie wygłaszali odczyty, apelowali o noszenie odznak oficerskich i dbanie o godny wizerunek żołnierza-Polaka. Próbowali nawet zorganizować obchody Święta Niepodległości, które najokazalej przebiegały w cerkwi powszechnie zwanej „Szanghajem", gdzie deklamowano Mickiewicza, „Karmazynowy poemat" Lechonia i „List z Sybiru" Or-Ota, co na Polakach w sowieckiej niewoli czyniło wstrząsające wrażenie. Głównym organizatorem wydarzenia był por. Stanisław Kwolek, który

eprasa.pl 9f889736ca

w oczach Sowietów dopuścił się zbrodniczego czynu – powiesił w cerkwi sklecony z desek wielki czarny krzyż. Zaraz potem wywieziony został w nieznane. Umarł w łagrze w Komi, w jednej z kopalń na Dalekiej Północy.

3 października 1939 roku przebywało w Starobielsku 7352 polskich jeńców wojennych. Byli wśród nich obrońcy Lwowa i Twierdzy Brześć, kilkuset lotników, około stu podchorążych, byli pracownicy naukowi Instytutu Przeciwgazowego i Instytutu Technicznego Uzbrojenia, wybitni specjaliści wojskowi, 43 wykładowców wyższych uczelni, 380 lekarzy, setki inżynierów, prawników, nauczycieli, literatów i dziennikarzy. W osobnych kwaterach przetrzymywano najwyższych rangą wojskowych. Spośród dziewięciu generałów skazano na śmierć ośmiu. Uniknął jej tylko gen. Czesław Jarnuszkiewicz, przewieziony na Łubiankę w listopadzie 1939 roku. „Nocny rozkaz sobirajties' z wieszczmi (zabierać się z rzeczami) – jak wspominał rtm. rez. Józef Czapski – był pierwszym krokiem do likwidacji człowieka. – Nie wiedzieliśmy nic, dokąd zabierano kolegę, lecz dziś wiemy, że żadnego z nich już nie odnaleźliśmy, nigdzie i nigdy".

Przed oczyma Czapskiego przesuwają się sylwetki ludzi odważnych i zasłużonych dla Polski. Jest wśród nich major Adam Sołtan – bohater wojny polsko-bolszewickiej, kawaler orderu Virtuti Militari, podczas wojny obronnej 1939 roku – szef sztabu Grupy Operacyjnej Kawalerii gen. Władysława Andersa, człowiek, który w najcięższych dniach niewoli starobielskiej „wykazał spokój, równowagę i taki skromny, bez frazesów hart, że wszyscy mu bliscy, a nawet tacy, którzy go prawie nie znali, czerpali w zetknięciu z nim siłę". Zamordowany został w Charkowie, a jego ciało wrzucono do dołu w Piatichatkach.

Czapski przywołuje również osobę Zygmunta Mietery – „jedynego Polaka, który mając stypendium rockefellerowskie, doktoryzował się w studiach wiertniczo-górniczych w Ameryce". Bomba zrzucona z aeroplanu zmiotła z powierzchni ziemi jego lwowskie mieszkanie, a wraz nim rękopis monumentalnej pracy naukowej, której poświęcił wiele lat swego życia. W Starobielsku koledzy nazywali go żartobliwie „gondolierem", bo wiosłując przez wiele godzin ogromną chochlą w kotle, gotował dla wszystkich zupę. Miał niespożyte siły i humor; pomagał innym, wygłaszał odczyty z geologii i pięknie śpiewał wieczorami.

Uznanie żołnierskiej braci wzbudził też dr Kazimierz Dadej – znany pediatra, który przez wiele lat w Zakopanem kierował wielkim zakładem leczniczym dla najbiedniejszych dzieci chorych na gruźlicę. Doktor Dadej, służący w czas wojennej zawieruchy jako lekarz wojskowy w Tarnopolu, został przez Sowietów wywieziony do Starobielska. W obozie „jako człowiek zachodni do szpiku kości, najtrudniej znosił sowiecko-rosyjski świat, brud, bałagan, pogardę i wyższość, które [...] okazywał pierwszy lepszy bojec sowiecki". Dla dodania sobie otuchy przywoływał słowa pewnego starego Żyda, który po klęsce wrześniowej zwrócił się do niego: „Panie doktorze, dlaczego pan jest taki smutny? Taki kraj, co dał Mickiewicza i Chopina, nie może zginąć".

Kozielsk

W tym samym czasie od stacji Kozielsk w stronę Pustyni Optyńskiej gnano innych polskich jeńców. Po przybyciu na miejsce oczom ich ukazywały się cerkiewne kopuły i zniszczone budynki prawosławnego klasztoru, za murem i kolczastymi drutami. 3 października 1939 roku przetrzymywano w Kozielsku 8843 jeńców. Uwięziono m.in. generałów – Henryka Minkiewicza, Mieczysława Smorawińskiego, Bronisława Bohaterewicza i Jerzego Wołkowickiego, poza tym wiceadmirała Ksawerego Czernickiego, 50 marynarzy, 200 lotników, w gronie których znalazła się pilot Janina Lewandowska – córka gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego. Wśród oficerów rezerwy było 71 uczonych – profesorów, docentów i wykładowców wyższych uczelni, około 400 lekarzy, kilkudziesięciu prawników, kilkuset inżynierów i nauczycieli oraz wielu ludzi różnych profesji – literatów, publicystów, kupców i przemysłowców.

Przez pierwsze listopadowe tygodnie wśród więźniów panowało powszechne przygnębienie zaprawione goryczą po klęsce wrześniowej. „Ciągły głód, warunki mieszkaniowe, wszy i pluskwy, wreszcie dokuczliwe zimno łamały ludzi" – przyznawał kpr. pchor. Janusz Wedow. Najgorsze były jednak „rozpacz, wściekłość bezsilna, tęsknota i troska o losy najbliższych. To była rdza, przeżerająca żelazo". W ostateczności oficerowie, których duchowym przewodnikiem stał się gen. Henryk Minkiewicz, nie poddali się, tworząc swój własny świat niedostępny dla prymitywnych bojców. Pochłaniały ich organizowane w konspiracji wykłady, odczyty, koncerty i wieczory poetyckie. Wachlarz tematyczny wykładów był tak bogaty, że Tadeusz Felsztyn specjalnym szyfrem zapisywał w kalendarzyku godziny i miejsca tych kolokwiów, a miał ich nieraz po trzy, cztery dziennie. „Komenda obozu – jak mówił – tępiła z uporem i zaciekłością te wszystkie objawy życia kulturalnego, i zarówno niezmordowany deklamator, płk Chałaciński, jak Jim Poker [Julian Ginsbert – autor nowel z życia obozowego] przesiedzieli po 20 dni w karcerze [...]. Ale mimo wszystko do końca Kozielska nurt życia kulturalnego nie osłabł".

Ci, którzy ocaleli, wspominali, że odbywające się w Kozielsku przesłuchania „nosiły charakter polityczno-społecznych badań osób oskarżonych o popełnienie ciężkich zbrodni politycznych. Zasadniczym »przestęp-

eprasa.pl 97889736ca

stwem« zarzucanym każdemu z badanych była służba w »burżuazyjnej« armii i udział w »światowej kontrrewolucji« przeciwko Związkowi Sowieckiemu". Ponadto NKWD podejmowało ustawicznie próby sowietyzacji jeńców. Prof. Stanisław Swianiewicz opowiada, że obóz został pooblepiany propagandowymi plakatami i tablicami z tekstem konstytucji sowieckiej. Między barakami krążyli agitatorzy opowiadający o wspaniałym życiu w Związku Radzieckim, starając się przekonać jeńców o wyższości komunistycznego systemu społecznego nad wszystkimi innymi. Do tego dochodziły jeszcze propagandowe broszury, sowiecka prasa, nieustannie rozbrzmiewające z głośników „reedukacyjne" audycje moskiewskiego radia. Wysiłki Sowietów nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Jeńcy polscy mówili otwarcie enkawudzistom, że nie wierzą w doskonałość sowieckiego modelu życia, nie chcą, by Polska była częścią ZSRS i że ich duchowym przywódcą pozostaje nadal Józef Piłsudski, którego Rosjanie uważali za swojego śmiertelnego wroga. Kierownictwo obozu w Kozielsku zwróciło się nawet do polskich oficerów z żądaniem wstąpienia do Armii Czerwonej, co zostało przez Polaków demonstracyjnie odrzucone.

Ostaszków

Na wyspie Stołbnyj, w odległości 10 kilometrów od miasteczka Ostaszków w XVI wieku powstał erem, nazwany od imienia pustelnika Niła Stołbenskiego „Niłową Pustelnią". W latach 1669–1863 wyrósł na tym terenie okazały kompleks klasztorny, do którego we wrześniu 1939 roku przewieziono wziętych do niewoli polskich żołnierzy. 30 października w Ostaszkowie, za murem klasztornym i wysokim drewnianym płotem znalazło się 4258 osób, a 1 grudnia – 5963. Miejsce to przeznaczono dla policjantów, agentów wywiadu, funkcjonariuszy kontrwywiadu, żandarmów i strażników więziennych, uznanych przez NKWD za szczególnie niebezpiecznych dla ZSRS. Dlatego też przesłuchania w Ostaszkowie były najcięższe, nierzadko z użyciem przemocy. Od więźniów próbowano wydobyć nazwiska oficerów i współpracowników II Oddziału, konfidentów wywiadu i policji, legionistów, członków Polskiej Organizacji Wojskowej i partii politycznych.

Jeńcy ulokowani zostali w dziewiętnastu zimnych, ciemnych i brudnych budynkach klasztornych. Spali wszędzie, gdzie się dało – na podłodze, w rozstawionych na zewnątrz namiotach zimowych, a także w zrujnowanej cerkwi, której wnętrze zabudowano trójkondygnacyjnymi pryczami. Pomieszczenia nie miały ogrzewania, a sam obóz pełen insektów i szczurów pozbawiony był łaźni, latryn i środków czystości.

W tych prymitywnych warunkach Polacy potrafili stworzyć jednak wspólnotę ludzi solidarnych w niedoli, żyjących wiarą w „pomyślne zakończenie wojny i zwycięstwo sprawy polskiej". Jednym z najbardziej energicznych oficerów, pracujących nad morale policjantów, był mjr Bolesław Kusiński (nadkom. Policji Państwowej, zastępca komendanta m.st. Warszawy), przetrzymywany z tego powodu przez 72 dni w areszcie. „Stosowane przez bolszewików szykany, maltretowanie oficerów, wygłaszane w czasie przemówień politruków brednie, w znacznym stopniu podniosły nastroje w szeregach policji, dowodem czego były ostre repliki na przemówienia bolszewików, reagowanie na obrazę naszych dostojników [...] – w sposób odważny, godny i stanowczy. Każde święto czy to uroczystość państwową starano się obchodzić godnie. Na czapkach wielu oficerów i szeregowych pokazały się z powrotem orzełki, przyszywano dystynkcje" – przyznawał mjr Jan Bober. W dniu Święta Zmarłych oficerowie uczcili pamięć poległych w obronie Niepodległej trzykrotnym odmówieniem modlitwy „Wieczny odpoczynek" i minutą ciszy, a 11 listopada, w Święto Niepodległości, słuchano mowy ppłk. Karola Stadlera (z Komendy Głównej Policji Państwowej), który przypominał, że „mundur policjanta polskiego nie może splamić żadna plama poza... plamą krwi".

Kulisy zbrodni

O losie uwięzionych w obozach Polaków zdecydować miał ludobójca Józef Stalin i jego najbliższy zausznik – ludowy komisarz spraw wewnętrznych Ławrientij Beria, który 5 marca 1940 roku podsunął dyktatorowi projekt decyzji o zamordowaniu 14,7 tys. jeńców więzionych w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, a także 11 tys. przetrzymywanych w więzieniach Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Jeszcze tego samego dnia wniosek został przyjęty przez Biuro Polityczne KC WKP(b) z podpisami: Stalina, Berii, Klimienta Woroszyłowa, Wiaczesława Mołotowa, Anastasa Mikojana, a także z adnotacją: „[Michaił] Kalinin – za, [Łazar] Kaganowicz – za".

Tym samym 25,7 tys. obywateli II Rzeczypospolitej skazanych zostało na śmierć bez przedstawienia im zarzutów, decyzji o zakończeniu śledztwa i bez aktu oskarżenia. Na katów wyznaczono funkcjonariuszy NKWD, natomiast Wsiewołod Mierkułow, Bachczo Kobułow i Leonid Basztakow zajęli się sporządzeniem list śmierci.

„Przyczyną skazania w wypadku jeńców i większości więźniów nie były żadne udowodnione winy – piszą badacze Zbrodni Katyńskiej Andrzej Przewoźnik i Jolanta Adamska – lecz sama przynależność do narodu polskiego oraz jego określonych warstw i klas. [...] Był to więc mord popełniony na warstwie przywódczej narodu w ramach likwidacji państwa polskiego i jego

eprasa.pl 97889736ca

armii oraz przeciwdziałania, w oparciu o ich potencjał, odrodzeniu Polski. Objął tych, którzy chcieli walczyć i organizować walkę o niepodległość ojczyzny oraz przeciwstawialiby się okupacji ziem polskich i wszelkim próbom zniewolenia przez Sowietów".

Przypuszczać można, jak zaznacza angielski historyk Alan Bullock, że zbrodniczą decyzję o wymordowaniu Polaków mógł podjąć sam Stalin, bez konsultacji z członkami Biura Politycznego, nad którymi miał władzę absolutną i którzy tylko formalnie potwierdzili jego decyzję. Był szczególnie uprzedzony do Polaków, nie mógł wybaczyć im zwycięstwa, jakie w 1920 roku odnieśli nad Armią Czerwoną.

Na miejscu kaźni

W przeddzień wyruszenia „transportów śmierci" do miejsca kaźni, 1 kwietnia 1940 roku, w Kozielsku uwięzionych było 4599 jeńców, w Starobielsku – 3894, a w Ostaszkowie – 6364. Władze sowieckie utrzymywały w ścisłej tajemnicy planowaną akcję „rozładowania obozów". Więźniów utwierdzano w przekonaniu, że niebawem wyruszą w podróż ku wolności. Komendant obozu w Starobielsku zaręczał, że zostaną odesłani do kraju – do niemieckiej lub sowieckiej strefy okupacyjnej. Wśród uwięzionych odżyła nadzieja na zmianę losu, na uwolnienie.

Jeńców z Kozielska Sowieci mordowali w Lesie Katyńskim, w więzieniu smoleńskim, przypuszczalnie także w willi NKWD nad Dnieprem, tych ze Starobielska – w piwnicy więzienia wewnętrznego NKWD w Charkowie, a tych z Ostaszkowa – w piwnicach Zarządu Obwodowego NKWD w Kalininie.

Po brutalnej rewizji więźniów Kozielska ładowano do ciężarówki i wieziono na miejscową stację kolejową. Na bocznicy czekały już na nich stołypinki, które dowoziły ich do stacji Gniezdowo, położonej 18 kilometrów od Smoleńska. Stamtąd ruszali dalej czornymi woronami – samochodami więziennymi „bez okien, z wąskimi celkami po obu stronach ciasnego korytarza". Tak przemieszczali się do odległego o trzy kilometry Lasu Katyńskiego. Wśród przeznaczonych do eksterminacji znalazł się prof. Stanisław Swianiewicz – w ostatniej chwili wyłączony z transportu śmierci i przekazany do Moskwy na dalsze śledztwo. Wspominał, że miejsce rozładunku stanowił teren „gęsto obstawiony kordonem wojsk NKWD z bagnetem na broni". Przez szpary wagonu, w którym go zamknięto, widział, jak na plac wjechał autobus z zasmarowanymi wapnem oknami. Jeńcy otoczeni przez uzbrojonych enkawudzistów wchodzili od razu do środka. Autobus odjeżdżał, powracając co pół godziny po kolejne grupy skazańców.

W dokonywanych na Polakach egzekucjach brali udział funkcjonariusze centrali i zarządów obwodowych NKWD, kierownicy i strażnicy więzienni UNKWD. „Ekipy zbójców liczyły po około 30 osób. Zabijano pojedynczo, strzałami w potylicę, z krótkiej broni palnej. Oględziny lekarskie zwłok ekshumowanych w Katyniu w 1943 roku oraz w Charkowie i Miednoje w roku 1991 i w latach 1994–1996 w tych trzech miejscach stwierdziły niezwykłą precyzję zabójców. Niewątpliwie byli to wyszkoleni fachowcy" – piszą autorzy książki „Katyń. Zbrodnia – prawda – pamięć".

Kulisy zbrodni katyńskiej odsłania relacja Piotra Klimowa, strażnika w smoleńskim NKWD, który znał najmroczniejsze tajemnice więzienia w Smoleńsku i Lesie Katyńskim, zwanym przez miejscową ludność Kozimi Górami. „Piwnica, gdzie rozstrzeliwali – mówił – znajduje się pod budynkiem [...] przy ulicy Dzierżyńskiego 13, trzecie okno. W maleńkim pomieszczeniu piwnicznym był właz kanalizacyjny. Wprowadzali ofiarę i odkrywali luk, głowę kładli na jego krawędzi i strzelali w tył głowy lub skroń. [...] Skazańcowi mówili, że przewożą go do Moskwy, rozbierali, a potem strzelali. [...] Strzelali w prawie każdy boży dzień z wieczora i wywozili do Kozich Gór, a wracali do 2 w nocy. [...] Mnie za umycie samochodu z krwi płacili 5 rubli. [...] Polskich wojskowych rozstrzeliwali w 1940 r. w Kozich Górach [...]. Z ciężarówek ich wysadzali wprost do dołu i strzelali, a bywało też dobijali bagnetami". Mordercy oraz ci, którzy przenosili zwłoki otrzymywali za swą „brudną robotę" pieniądze oraz spirytus, kiełbasę, wędzonego jesiotra i łososia. „Przechwalano się, kto szybciej i sprawniej zabija polskich oficerów".

Przetrzymywani w Starobielsku Polacy przewożeni byli koleją, a później czornymi woronami do więzienia wewnętrznego NKWD w Charkowie. Gdy wszystko już im odebrano, ze związanymi do tyłu rękoma prowadzono ich do piwnicy mieszczącej się w osobnym budynku. W pomieszczeniu bez okien siedział za stołem prokurator, a obok stał enkawudzista Timofiej Kuprij. Po sprawdzeniu personaliów padały zawsze słowa: „Możecie iść", a gdy tylko jeniec odwrócił się ku wyjściu, w jego stronę padał śmiertelny strzał. Ciała pomordowanych owijano płaszczami i wrzucano na ciężarówkę obitą blachą, by nie spływała z niej krew. Nocą przewożono zwłoki do pobliskich Piatichatek, masowego miejsca pochówku. Więzienna piwnica, w której mordowano polskich oficerów w Charkowie, została wysadzona w powietrze przez Kuprija tuż przed wkroczeniem Niemców do miasta (1941).

Jeńcy z Ostaszkowa trafiali do Kalinina. Egzekucjami kierowali enkawudziści przybyli z Moskwy: Wasilij Błochin, Michaił Kriwienko, Nikołaj Siniegubow. Zabrali ze sobą pistolety typu Walther z amunicją i sprowadzili koparkę potrzebną do wykopania dołów śmierci. Grupa morderców liczyła około 30 osób. Mordownię urządzono w piwnicach siedziby UNKWD w Kalininie przy ul. So-

eprasa.pl 97889736ca

wieckiej 6. Egzekucje trwały od wieczora do świtu. Cel – rozstrzelać co najmniej 250 osób jednorazowo. Jeńców wprowadzano do czerwonej świetlicy, gdzie sprawdzano dane personalne ofiary, zakładano jej kajdanki i prowadzono do celi śmierci obitej materiałem dźwiękoszczelnym. Tam następowało rozstrzelanie. O tym, co działo się w sowieckiej katowni Kalinina mówił świadek i uczestnik mordów Dmitrij Tokariew: „[...] na mnie zrobiło niesamowite wrażenie, gdy po raz pierwszy weszli do mnie, do gabinetu: Błochin, Siniegubow i Kriwienko. No chodźmy, zaczniemy, idziemy! Odmówić było trudno. [...] Tak więc poszliśmy. I wówczas zobaczyłem całą grozę. [...] Po kilku minutach Błochin włożył swoją odzież specjalną: brązową skórzaną czapkę, długi skórzany brązowy fartuch, skórzane brązowe rękawice z mankietami powyżej łokci [...], niewielki pokój [...]. Z tej celi było drugie wyjście na podwórko. [...] tamtędy ładowali zwłoki, ładowali na samochód i jechali [...] Było ich 5–6 ciężarowych [...]. Otwarte, ale z brezentem. Brezentem się wszystko nakrywało. [...] A gdy zakończyli całą tę brudną sprawę, moskwianie urządzili w swoim wagonie-salonce coś w rodzaju bankietu". Tak zginęło 6300 jeńców Ostaszkowa – rozstrzeliwanych nocami, grzebanych w dołach w okolicach wsi Jamok-Miednoje, na terenie rekreacyjnym NKWD.

Nad dołami śmierci

Wiosną 1943 roku Niemcy odkryli groby katyńskie. Podczas prac ekshumacyjnych prowadzonych przez Polski Czerwony Krzyż obecny był pisarz i publicysta Józef Mackiewicz. Widział „Katyń, zbrodnie, trupy, ruiny, bolszewizm [...] i listy dzieci do swych ojców [...] wydobywane dziś ze stosów sprasowanych, cuchnących ciał, z tej mazi śmierci, lub na wpół zasuszonych mundurów polskich..."

Grobów było siedem, w dwóch zwłoki leżały ułożone dwunastoma rzędami w głąb. W dołach śmierci zobaczył Mackiewicz tysiące trupów w polskich mundurach, „kwiat inteligencji, rycerstwo Narodu! [...], warstwy ciał ludzkich jedne na drugich [...]. Wiosna nad dołem splątanych nawzajem rąk, nóg, wykrzywionych twarzy, zlepionych włosów, oficerskich butów, strupieszałych mundurów, pasów. [...] każda z tych pozycji leżących, skrzywienie kolana, odrzut głosy był ostatnim odruchem największej męki, rozpaczy, strachu, bólu...".

Widać było, że stawiali opór – część z nich skrępowano sznurami, innych pokłuto bagnetami. W jednym z masowych grobów odkryto „warstwy oficerów, których kładziono żywcem twarzami w dół na poprzednio już zabite warstwy, albo jeszcze drgające w konwulsjach przedśmiertnych i [wy]strzelano ich w pozycji leżącej".

Prawda o dołach śmierci pod Charkowem ujrzała światło dzienne dopiero w 1990 roku. W pracach ekshumacyjnych brała udział m.in. lekarka Ewa Gruner-Żarnoch, która wśród tysięcy trupów poszukiwała zwłok swojego ojca Juliana – żołnierza, lekarza i wybitnego sportowca-lekkoatlety. Najbardziej zaskoczyły ją czaszki odkryte na charkowskim cmentarzysku: „Tam, gdzie nie przeszły świdry »miasoróbek« – relacjonowała – były całe, bez śladów kul. Inaczej niż w Katyniu i Miednoje – tam miały wyraźne ślady wlotu i wylotu kul". Szczegółowe badania archeologiczne wykazały, że też są uszkodzone, choć w inny sposób, bo mają rozbite górne i dolne zęby oraz kości oczodołów. Oznaczało to, że „kula przechodziła przez otwór potyliczny wielki i wychodziła ustami albo okiem. Strzały były tak precyzyjne nieprzypadkowo. Zbrodniarze znali ludzką anatomię, wiedzieli, że dzięki takiemu celowaniu krew pozostawała w zatokach. Nie musieli więc często sprzątać... Czasem jednak krew lała się na posadzkę. Na niektórych czaszkach znajdowaliśmy ślady kilofa, musiano jeńców dobijać". Polacy chowani byli w mundurach i butach, których pod groźbą surowej kary, zakazywano zdejmować, by żadne dowody obciążające sowieckich katów nie wydostały się poza miejsce zbrodni.

***

W wyniku Zbrodni Katyńskiej życie straciło ponad 14,5 tys. jeńców wojennych Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa oraz 7305 więźniów przetrzymywanych w więzieniach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Z trzech obozów specjalnych ocalało tylko 395 Polaków, którzy z obozu juchnowskiego trafili do Griazowca koło Wołogdy.

Wśród pomordowanych przez Sowietów byli oficerowie Wojska Polskiego, wybitni dowódcy i stratedzy (m.in. 19 generałów, ponad 350 pułkowników i podpułkowników), byli światowej sławy uczeni (co najmniej 124), wynalazcy, inżynierowie (ponad 700), byli artyści – muzycy, malarze, graficy, poeci, literaci, publicyści, byli prawnicy (ok. 700), lekarze i farmaceuci (około 900), nauczyciele (ok. 1040), znakomici sportowcy, a wśród nich olimpijczycy, było wielu posłów i senatorów, urzędników państwowych i samorządowych, działaczy politycznych i społecznych, którzy stanowili elitę II Rzeczpospolitej, jej duszę i siłę twórczą. Stalin wydał rozkaz ich wymordowania, bo miał świadomość, że ci „znakomicie wykształceni i bardzo patriotycznie wychowani Polacy byli Polską właśnie. Kryształkiem czy ziarenkiem, które, gdziekolwiek rzucisz, wykiełkuje. Wrócą do Polski i zrobią w niej Polskę. Wyślesz ich pod Woroneż czy Magadan – to i tam zrobią Polskę". ■

_____

Źródła: A. Przewoźnik, J. Adamska „Katyń. Zbrodnia – prawda – pamięć", Warszawa 2010; J. Czapski „Wspomnienia starobielskie", [w:] tegoż „Na nieludzkiej ziemi", Kraków 2011; „Katyń. Relacje, wspomnienia, publicystyka", wstęp i oprac. A.L. Szcześniak, Warszawa 1989.

eprasa.pl 97889736ca

Media III RP wykreowały wizerunek Jacka Kuronia jako wrażliwego na krzywdę ludzką polityka od rozdawania zupy i zasiłków socjalnych, popularnie nazywanych „kuroniówkami". Wydawał się być kimś spoza establishmentu, bratem łatą, swojakiem w dżinsowym mundurku. W istocie był twardym, cynicznym graczem politycznym.

Makarenko byłby zadowolony

Dariusz Jarosiński



eprasa.pl 97889736ca



fot. Tomasz Michalak/PAP

Kuroń zafascynował się ideologią komunistyczną już w szkole podstawowej. Do swojej narzeczonej pisał w liście: „Kocham cię prawie jak partię komunistyczną". Był dwukrotnym członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, dwukrotnie wyrzucano go z partii za odchylenia lewackie, trockistowskie.

W roku 1965 wspólnie z Karolem Modzelewskim napisali list do partii, w którym domagali się „więcej komunizmu w komunizmie", zarzucali aparatowi PZPR odchodzenie od ideologii marksistowskiej, domagali się m.in. bardziej zdecydowanej walki z Kościołem katolickim, przekazania całej władzy w ręce rad robotniczych, zastąpienia wojska strażą robotniczą, uważali, że należy zlikwidować indywidualne rolnictwo.

Bronił przywilejów emerytalnych esbeków

Po wyrzuceniu z partii, po więziennych przejściach, Kuroń przeszedł z opozycji wewnątrzpartyjnej do tzw. opozycji demokratycznej. W latach 70. zaczął opowiadać się za „socjalizmem z ludzką twarzą". W czerwcu 1976 roku zaangażował się w pomoc represjonowanym robotnikom i ich rodzinom z Ursusa i Radomia. Przystąpił do założonego przez Antoniego Macierewicza we wrześniu tego samego roku Komitetu Obrony Robotników. Założyciele KOR-u byli wcześniej harcerzami, instruktorami 1. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta „Czarna Jedynka", w przeciwieństwie do Kuronia, który niszczył tradycyjne harcerstwo i był twórcą młodzieżowej organizacji komunistycznej „Walterowców". W pracy wychowawczej Kuroń opierał się na teorii i praktyce sowieckiego „pedagoga" Antona Makarenki, który swoje eksperymenty wychowawcze wprowadzał w koloniach karnych dla osieroconej młodzieży. „Walterowcom" patronował gen. Świerczewski „Walter", bolszewik, agent NKWD.

Po sierpniu 1980 roku Kuroń należał do grona doradców NSZZ „Solidarność". Zwieńczeniem politycznej działalności Jacka Kuronia i jego lewicowego środowiska było doprowadzenie do „historycznego kompromisu z komunistami z PZPR" w roku 1989, choć mało kto dzisiaj pamięta, że on już jesienią 1981 roku proponował porozumienie Solidarności, Kościoła oraz PZPR i utworzenie rządu narodowego. Zdecydowanie sprzeciwiał się koncepcji wolnych wyborów parlamentarnych.

Przeciwnik lustracji, dekomunizacji, bronił przywilejów emerytalnych esbeków, zwalczał w sposób bezwzględny wszystkich polityków inaczej myślących, o konserwatywnych, prawicowych poglądach. W roku 1989 Kuroń został posłem, potem dwukrotnie ministrem pracy, miał własną audycję telewizyjną, w której pouczał Polaków, jak mają żyć. W roku 1998 Kuroń i jeden z jego naj-

eprasa.pl 3889736ca

bliższych współpracowników, Karol Modzelewski, otrzymali z rąk prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego najstarsze i najwyższe odznaczenie RP – Order Orła Białego. Kwaśniewski wówczas powiedział, że „dzięki nim Polska może spokojnie patrzeć w lustro". To nie Polska, a komuniści, m.in.Kwaśniewski, mogli spokojnie patrzeć w lustro i spokojnie żyć, bo Kuroń zapewnił im „miękkie lądowanie". To Kuroń i jego towarzysze sprawili, że komuniści nie zostali rozliczeni za popełnione zbrodnie, a za podzielenie się władzą obdarzeni zostali hojnie majątkiem narodowym.

Zmarły w 2004 roku Kuroń pozostawił po sobie grono wpływowych wychowanków, a nawet wyznawców, bo traktowany był już za życia jak świecki święty. Jego imieniem nazywane są w Polsce ulice, place, jest patronem wielu organizacji lewackich, choćby Komitetu Obrony Demokracji. Jego najwybitniejszym wychowankiem jest Adam Michnik, o którym można powiedzieć, że na niektórych polach działalności politycznej przerósł swego nauczyciela. Ma ambicje bycia przewodnikiem moralnym, intelektualnym Polaków. W powstałej w roku 1989 redakcji „Gazety Wyborczej" skupił duże grono dawnych wychowanków Kuronia – „Walterowców", komandosów, dzieci byłych partyjno-ubeckich notabli. Profesor Paweł Skibiński uważa, że to „środowisko »GW« doprowadziło do autodestrukcji etosu inteligenckiego" w Polsce. Środowisko „GW", podobnie jak w przeszłości Jacek Kuroń, znajduje się w awangardzie walki z Kościołem katolickim, patriotyzmem, tradycyjnymi wartościami.

▶ Fanatyk komunizmu

Ideologia komunistyczna zawładnęła Kuroniem już w dzieciństwie. Trudno zrozumieć, co nastoletni chłopak, uczeń szkoły podstawowej, mógł dostrzec ciekawego i porywającego w „Manifeście komunistycznym" Marksa, „dziełach" Kautskiego, Lenina czy Stalina. A on to wszystko czytał i fascynował się tym. W wieku jedenastu, trzynastu lat chłopcy czytają raczej powieści przygodowe, podróżnicze, a nie bełkot ideologiczny. Jak wyznał po latach w autobiografii „Wiara i wina. Do i od komunizmu", szczególne wrażenie wywarła na nim książka Lenina „Państwo i rewolucja", w której przywódca bolszewickiej rewolucji „odwołuje się do anarchistycznych i anarchosyndykalnych programów zniesienia państwa, a wraz z nim policji i wojska". Świadczy to o jego fanatycznym wręcz podejściu do ideologii komunistycznej, niebywałym radykalizmie, który powodował, że wchodził w przyszłości w spory z aparatem PZPR, choćby przy okazji „Listu otwartego".

Pierwszą organizacją, z którą się związał, był Związek Walki Młodych, młodzieżówka Polskiej Partii Robotniczej. W wieku 15 lat, w roku 1949, został działaczem Związku Młodzieży Polskiej, przybudówki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Organizacji, która walczyła z Panem Bogiem, Kościołem, przeciwnikami sowietyzacji Polski, ze spekulantami, bikiniarzami, wrogami ludu, kułakami etc. Wystarczył choćby jeden donos zetempowca na nauczyciela, a natychmiast zostawał on zwolniony z pracy. Jak pisał w autobiografii: „[...] nauczycieli traktowaliśmy jako reakcję. Nauczyciele bali się nas". Obowiązkiem zetempowca było donosicielstwo. W maju 1952 roku, po zdaniu matury, został etatowym pracownikiem aparatu. Bystry, zdolny komsomolec szybko robił karierę.

Kuroń, rzekomo wrażliwy na krzywdę ludzką, jakoś w latach stalinowskich nie ujawniał jej, kiedy do więzień trafiali niewinni ludzie, kiedy z byle powodu byli niszczeni.

Wcześnie odkrył w sobie powołanie wychowawcy, mentora. Ukształtował w duchu komunistycznym duże grono aktywistów, które wierne mu było w czasie różnych kolei jego drogi życiowej i politycznej. A i dzisiaj jest mu wierne. Wychowanków starannie dobierał – była to przede wszystkim młodzież wywodząca się z rodzin przedwojennych działaczy komunistycznych, głównie Komunistycznej Partii Polski, żydowskiego pochodzenia, bo ona była podatna na jego ideologiczne wywody, odcięta od polskiej tradycji, werbował też młodzież z sierocińców, pozbawioną korzeni, zabiedzoną, która dawała się lepić jak z plasteliny. Inna też sprawa, że młodzież wychowana w polskich katolickich rodzinach nie garnęła się do jego działalności.

W roku 1955, kiedy miał 21 lat, założył sowiecką organizację młodzieżową nazwaną od pseudonimu Karola Świerczewskiego Kręgiem Walterowskim, a po roku 1956, kiedy odrodził się Związek Harcerstwa Polskiego, Hufcem Walterowskim. W roku 1961 Hufiec Walterowski został rozwiązany, bo komuniści obawiali się radykalizmu i sekciarstwa Kuronia. Za patrona organizacji wybrał Kuroń bolszewika, agenta NKWD, walczącego w wojnie polsko-bolszewickiej po stronie bolszewików. „Walterowcy" składali ślubowanie w Baligrodzie przy kamieniu upamiętniającym śmierć gen. Świerczewskiego. Przysięgali, że będą wierni ideom komunizmu.

▶ Nosili czerwone chusty, śpiewali rosyjskie i żydowskie piosenki

Kuroń niszczył tradycyjne polskie harcerstwo oparte na idei skautingu Baden-Powella, próbując je zastąpić „Walterowcami". Wychował pokolenie młodzieży z partyjno-ubeckich domów, dla którego wzorami do naśladowania nie byli polscy bohaterowie, lecz Karol Świerczewski, Róża Luksemburg czy Pawlik Morozow, chłopak, który donosił na sąsiadów, a także na ojca – kułaka. Pawlik Morozow po swojej śmierci został wykreowany przez stalinowską propagandę na wzór do naśladowania. Bolszewikom chodziło o kształtowanie postawy donosicielstwa

eprasa.pl 97889736ca

i niszczenie więzi rodzinnych. Z „katechizmu" „Walterowca" możemy wyczytać: „[...] Każdy walterowiec podczas oceny pracy ma obowiązek powiedzieć o winie drugiego, gdy ten boi się przyznać, powinien go jednak o tym uprzedzić i najpierw porozmawiać z nim" (wyd. 1959 rok). Waldemar Łysiak określił tę organizację jako „najbardziej upadlającą ze wszystkich młodzieżowych organizacji, jakie kiedykolwiek powstały w Polsce, istną komunistyczną Hitlerjugend". Kuroń wychowując/ideologizując młodzież, korzystał z wzorców sowieckiego „pedagoga" Antona Makarenki. Jak wspominał jeden z wychowanków Kuronia, Paweł Bąkowski, „Walterowcy" przypisywali skautom „nacjonalizm, klerykalizm, antysemityzm i ogólną tępotę". Skaut to było w pojęciu „Walterowca" określenie pejoratywne. „Walterowcy" wyśmiewali zasady etyczne służby harcerskiej oparte na służbie „Bogu, Ojczyźnie i Bliźnim", pogardzali Krzyżem Harcerskim, lilijką, odznakami, mundurem.

„Walterowcami" byli m.in.: Jan Lityński, Seweryn Blumsztajn, Adam Michnik, Józef Chajn, Jan Tomasz Gross, Anatol Lawina, Irena Lasota, Robert Mroziewicz, Marta Petrusewicz, Aleksander Perski, Antoni Zambrowski, Mirosław Sawicki, Andrzej Seweryn, Andrzej Topiński, Andrzej Titkow, Paweł Bąkowski. Z wymienionych osób m.in. Irena Lasota i Antoni Zambrowski zerwali z tym środowiskiem, przejrzeli na oczy, odeszli od poglądów komunistycznych. Wylały się na nich za to wiadra pomyj.

W „Wierze i winie" pisał: „Walterowcy uważali się za komunistów i obnosili się z tym. Nosili czerwone chusty, śpiewali rosyjskie piosenki, a także – co wcale nie lepiej – ukraińskie i żydowskie [...]. Nie szanowali władzy, nie uznawali hierarchii. Byli koedukacyjni i antymilitarni. Naśmiewali się z wszelkiej pompy i celebry. Przede wszystkim jednak mieli poczucie misji – pragnienie zbawienia świata. [...] Musieli mieć przeciw sobie niemal wszystkich. Ten rodzaj presji kształtuje w grupie klimat sekty i niezwykle silnej więzi, żarliwej ideowości".

Kuroń odkrył przed czytelnikami bez żenady metody wychowawcze stosowane wobec nastoletnich „Walterowców". Kształtował swoich wychowanków w duchu nieskażonego komunizmu, widział w nich przyszłe kadry polityczne, ideowe; uczył zasad organizacji i socjotechniki. Wprowadził drużyny koedukacyjne, młodzież obu płci nie tylko mieszkała we wspólnych namiotach, ale miała nawet wspólne szczoteczki do zębów.

Kuroń nie wspominał, że ulubioną piosenką „Walterowców" była „Piosenka konarmii" na cześć Budionnego z roku 1920, w której pobrzmiewają słowa o Trockim, o dorzynaniu białych i „polskich panów". Zabronione było śpiewanie polskich tradycyjnych piosenek. Kuroń wychowywał młodych ludzi w opozycji do polskości, a jednocześnie w przekonaniu, że to oni są elitą, tą lepszą częścią społeczeństwa, która zbuduje świat oparty na najlepszych komunistycznych ideałach. Niektórzy z „Walterowców" pozostali do dzisiaj antypolscy, nastawieni wrogo do polskiej kultury i tradycji. Polskość zwalczają już jako liberałowie, a nie komuniści. Wietrzą wszędzie antysemityzm, nacjonalizm, klerykalizm.

Z rozrzewnieniem wspominał wyjazdy na obozy „Walterowców" Adam Michnik: „[...] ten nastrój komsomolskich idealistów, ten klimat uniwersalizmu i zbratania, tę pogardę dla niechęci na tle rasowym czy plemiennym – znam to wszystko, nałykałem się tego jako dzieciak w walterowskim czerwonym harcerstwie prowadzonym przez Jacka Kuronia. [...] sam bez sentymentu nie umiem myśleć o tej gromadce chłopców i dziewcząt, która latem 1958 roku w czerwonych chustach, nawiedzała chłopskie zagrody, śpiewając piosenki po rosyjsku i żydowsku. Było w tym jakieś bezczelne wyzwanie rzucone potocznej mentalności, było też głębokie niezrozumienie pokaleczonej narodowej pamięci, ale była też i ta cudowna aura zbratania, dzięki której nikt z nas nie czuł się w tym gronie intruzem. Dwadzieścia pięć lat minęło od tamtych wakacji, a przecież wciąż wracam do nich pamięcią i ze smutkiem myślę, że nigdy potem nie miałem już tego poczucia bezpieczeństwa, tej pewności, że nikt nikomu nie rzuci w twarz: »ty wstrętny Żydzie!«".

Kiedy czytałem po raz pierwszy książkę Kuronia tuż po jej wydaniu w roku 1990, uderzył mnie szczególnie fragment o Józefie Kurasiu „Ogniu", jednym z najbardziej dzielnych dowódców podziemia antykomunistycznego. Nie mogłem zrozumieć, że można w krótkim tekście pomieścić tyle kłamstw i oszczerstw. Równie dobrze ten tekst mógł napisać na zlecenie UB jakiś ich pisarz-grafoman w serii „żółtego tygrysa" w czasach PRL-u. To jest ten poziom.

▶ Młodzieżówka puławska

Po raz pierwszy Kuroń trafił do więzienia w roku 1965, po napisaniu z pozycji trockistowskich otwartego listu do partii wspólnie z innym komunistą Karolem Modzelewskim. W liście zarzucali aparatowi PZPR odchodzenie od marksizmu, domagali się m.in. bardziej zdecydowanej walki z Kościołem katolickim, przekazania całej władzy w ręce rad robotniczych, zastąpienia wojska strażą robotniczą, uważali, że należy zlikwidować indywidualne rolnictwo.

W lipcu 1965 roku Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy skazał Kuronia na karę 3 lat więzienia (Modzelewski otrzymał wyrok 3 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności). Zwolniony warunkowo, opuścił więzienie w maju 1967 roku. Na wolności włączył się w działalność prowadzoną przez grupę studentów opozycjonistów na Uniwersytecie Warszawskim – nazywanych przez władze „komandosami".

eprasa.pl 97889736ca

Kuroń i Modzelewski stali się męczennikami komunistycznej władzy, przywódcami „komandosów" – warszawskiej grupy młodzieżowej ukształtowanej w połowie lat 60., złożonej ze studentów i młodych pracowników naukowych wywodzących się z kręgów dawnych „Walterowców" oraz „raczkujących rewizjonistów". Komandosi byli oczytani w dziełach Marksa i Engelsa, brali udział w zebraniach, dyskusjach ZMS na Uniwersytecie, upatrywali w komunizmie „drogę do wszechstronnego wyzwolenia człowieka".

Środowisko „komandosów" przypisuje sobie jakąś wyjątkową rolę w czasie marcowego buntu studenckiego 1968 roku, jednakże badania historyczne nie potwierdzają tego. Bohdan Urbankowski, który nazywa Kuronia „treserem młodzieżówki puławskiej", czyli jednej z frakcji PZPR (dogmatyków i stalinowców), uważa, że wydarzenia te zostały potwornie zakłamane i zmitologizowane. Michnikowe media wykreowały „nadmuchanych bohaterów". Bohdan Urbankowski był w owym czasie studentem UW, mieszkańcem akademika przy ulicy Kickiego, i tak postrzega tamten czas: „Główną siłą marcowego buntu byli studenci z warszawskich akademików. Żaden z nich jednak do legendy nie przeszedł. Wielu wyrzucono z akademików, musieli wracać na prowincję, a tam czekały już na nich wojskowe kamasze. Ani historycy, ani legendotwórcy, nie poświęcili im uwagi. Do legendy przeszli studenci z »Warszawki«, synowie komunistycznych prominentów, których nazywaliśmy »następcami tronów«, a którzy sami siebie nazywali komandosami. Byli bardziej oblatani w polityce niż my, prowincjusze z Kickiego. Mieli specjalne szkoły, np. warszawskiego »Gottwalda«, szkolili się na obozach »walterowskich« Kuronia, douczali ich w Klubie Poszukiwaczy Sprzeczności wybitni intelektualiści powiązani z »puławianami«: Brus, Bauman, Baczko, Modzelewski i paru innych. Więc chyba naprawdę wierzyli, że są przywódcami pokolenia. Ich świat ograniczał się do rządowej dzielnicy, ich wpływy – do mieszkań tatusiów, czasami występowali na dyskusjach ZMS – i podobnych. Potrafili jednak się narzucić i wylansować, to oni – nie w teorii, lecz w praktyce – zastosowali koncept »ulica i zagranica«" („Arcana" nr 1–2 2018).

Podobną opinię na temat Marca 1968 roku jak Urbankowski ma Irena Lasota, należąca do „Walterowców" i „komandosów". Jej zdaniem „Marzec '68 to nie tylko kilku przywódców, których nazwiska bardzo nagłośniły w ostatnich latach niektóre media. Możemy mówić o całym pokoleniu Marca '68".

Istniejący jeszcze do niedawna monopol medialny, a także publicystyka prof. Andrzeja Friszkego, sprawiły, że centralną rolę w ruchu opozycyjnym lat 70. przypisywano Jackowi Kuroniowi, a także Adamowi Michnikowi i innym dawnym komandosom. W rzeczywistości inicjatorami tamtych wydarzeń były osoby wywodzące się z 1. Warszawskiej Drużyny Harcerzy im. Romualda Traugutta: Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Wojciech Onyszkiewicz. Byli oni organizatorami akcji pomocy dla represjonowanych uczestników wydarzeń Czerwca '76 i ich rodzin. Profesor Wojciech Fałkowski, współpracownik KOR, tak wspomina początki KOR: „Komitet Obrony Robotników został wymyślony przez Antoniego Macierewicza. Organizatorem pomocy – rozumianej jako wstęp do szerszego działania politycznego, pomysłodawcą zarówno idei, jak i inicjatorem KOR był Antoni Macierewicz. To on na początku lipca [1976 roku – przyp. DJ] – choć nie posłużył się nazwą – nakreślił generalną koncepcję organizacji korowskiej". Dopiero później do KOR-u przystąpił Jacek Kuroń ze swoimi towarzyszami. Kuroń tworzył tzw. lewicę korowską. Środowisko Macierewicza było skupione wokół pisma „Głos", w przeciwieństwie do Kuronia, dążyło do tego, by Polska odzyskała niepodległość zgodnie z tradycją chrześcijańską i narodową.

Krzysztof Wyszkowski, założyciel Wolnych Związków Zawodowych, w 2003 roku tak pisał o roli Kuronia i KOR-u: „Podkreśla się dziś chętnie, że bez »stanu wojennego« nie byłoby »okrągłego stołu«. Owszem, bez czołgów i ZOMO, bez zniszczenia pierwszej »Solidarności«, nie udałoby się przerobić Kuronia, Geremka, Michnika i Mazowieckiego na przywódców narodu, bo przed 13 grudnia 1981 oni wcale takiej pozycji nie zajmowali [...]. Wobec kuroniady długo mieliśmy złudzenia, gdyż Kuroń potrafił ukrywać rzeczywiste motywy swoich działań. Nie wiedzieliśmy, że KOR to typowa leninowska jaczejka, składająca się z kadrowej partii wewnętrznej i otaczającego ją środowiska tzw. pożytecznych idiotów. Złudzenia straciłem późno, bo nie brałem wtedy pod uwagę trwałego porażenia złem, jakie zostawia w człowieku zaangażowanie w leninizm [...]. W sierpniu 1980 roku i władze, i lewica korowska, tzw. eksperci i doradcy, mieli wspólny program – za wszelką cenę nie dopuścić do powstania prawdziwie wolnej organizacji związków zawodowych. Kuroń przyjechał z chytrze skonstruowanym planem działań, który (gdyby został przyjęty) zniweczyłby nasze długotrwałe starania. Przyjechał jako działacz niezależnej struktury opozycyjnej, a działał niczym wysłannik jakiegoś powołanego przez władze sztabu kryzysowego [...]. Kuroń przywiózł też wręcz zbrodniczy koncept zniszczenia dzieła strajku. Podczas strajku tzw. doradcy usilnie namawiali nas do rezygnacji z prawa do tworzenia wolnych związków zawodowych [...]. Ustalenie źródeł koncepcji nałożenia »Solidarności« kagańca powinno być jednym z pilniejszych zadań badawczych dla historyków IPN".

▶ Skradziona Solidarność

Kuroń okazał się jednym z najbardziej skutecznych polityków ostatnich kilkudziesięciu lat. Skutecznych nie

eprasa.pl 97889736ca

znaczy, że służących polskiej, narodowej racji stanu, lecz jedynie wąskiej lewicowej formacji politycznej. Jeżeli wierzyć donosom Lesława Maleszki z końca lat 70., to już przed Sierpniem 1980 roku Kuroń utrzymywał kontakty na poziomie polityczno-rządowym z komunistami. Zwieńczeniem politycznej działalności Jacka Kuronia i jego środowiska było doprowadzenie do „historycznego kompromisu z komunistami z PZPR".

Kiedy w roku 2006 prof. Sławomir Cenckiewicz ujawnił dokumenty Instytutu Pamięci Narodowej świadczące o rozmowach/negocjacjach Kuronia z oficerami Służby Bezpieczeństwa na temat porozumienia z komunistami, mocno zawrzało po stronie obrońców Kuronia. W „Gazecie Wyborczej" pojawił się protest podpisany przez byłych „Walterowców", działaczy tzw. opozycji demokratycznej.

Z akt Sprawy Operacyjnego Rozpracowania kryptonim „Watra" (sygn. IPN 0204/1417) wynika niezbicie, że Jacek Kuroń od maja 1985 do roku 1989 prowadził rozmowy z oficerami MSW, Służby Bezpieczeństwa, mające charakter negocjacji politycznych. Rozmowy te prowadzone były pod pretekstem tzw. rozmów ostrzegawczych i przesłuchań, dotyczyły one jednak z czasem transformacji PRL w III RP.

„W maju 1985 r. Kuroń za pośrednictwem funkcjonariuszy SB zaproponował władzom PRL utworzenie wspólnego »frontu odbudowy gospodarki«, w którym obok ludzi władzy znaleźliby się także włączeni do »samorządów« przedstawiciele umiarkowanej opozycji. W kolejnych turach rozmów Kuronia z SB kształt jego koncepcji politycznych przybierał coraz wyraźniejszą postać. Już we wrześniu 1985 r. Kuroń mówił, że w dążeniu do »reaktywowania związku zawodowego Solidarność wg nowej ustawy o związkach zawodowych« »pierwszym krokiem« byłaby »możliwość nieoficjalnego przeprowadzenia rozmów z TKK, jak i b[yłymi] czołowymi działaczami w poszczególnych regionach«" („Arcana" nr 72 2006).

Kuroń wykluczał udział tzw. opozycji niekonstruktywnej, na przykład Solidarności Walczącej czy Konfederacji Polski Niepodległej, środowisk „radykalnych i niepodległościowych", w transformacji. W notatce SB z lutego 1989 roku zapisana została wypowiedź Kuronia, że „rozmowy przy »okrągłym stole« będą w pewnym sensie dogadywaniem się elit. Po obu bowiem stronach istnieją siły antyreformatorskie przeciwne jakiemukolwiek porozumieniu".

Rozmowy/negocjacje polityczne z Kuroniem prowadzili dwaj oficerowie Wydziału II Departamentu III MSW – płk Wacław Król i mjr/płk Jan Lesiak. Pułkownik Król był absolwentem historii na Uniwersytecie Warszawskim, jego ojciec, Franciszek, działał w Komunistycznej Partii Polski i Polskiej Partii Robotniczej. Król należał do grona najbardziej cenionych analityków w MSW, odbył w Moskwie kurs KGB w szkole im. Dzierżyńskiego. W opinii przełożonego: „W pracy operacyjnej dociekliwy, pracowity i uparty w walce z przeciwnikiem politycznym". Drugi z esbeków, mjr Lesiak, dzięki rekomendacji Kuronia znalazł w roku 1991 zatrudnienie w Urzędzie Ochrony Państwa. W UOP, zdominowanym przez esbeków, podlegał bezpośrednio Andrzejowi Milczanowskiemu, szefowi UOP. Lesiak, wykorzystując swoją dawną agenturę, starał się rozbić trzy prawicowe partie opozycyjne – Porozumienie Centrum, Ruch III Rzeczypospolitej, Ruch dla Rzeczypospolitej. Z płk. Lesiakiem współpracowali Piotr Niemczyk, Jerzy Konieczny i Konstanty Miodowicz. Agenci płk. Lesiaka wprowadzeni do tych partii wywoływali konflikty, nieporozumienia, podziały.

To Kuroń przygotowywał grunt do porozumienia lewackiej części opozycji z komunistami. To w gmachu MSW przy ulicy Rakowieckiej wykuwała się III RP. W Magdalence, w marcu 1989 roku, środowisko Jacka Kuronia, Adama Michnika, Bronisława Geremka ustaliło szczegóły porozumienia, m.in., że prezydentem PRL ma zostać gen. Wojciech Jaruzelski, ustalono też podział mandatów przed wyborami w czerwcu 1989 roku.

Wyniki wyborów kontraktowych z 4 czerwca 1989 roku okazały się klęską komunistów. Lista krajowa, dla której ordynacja nie przewidywała powtórnego głosowania, niemal całkowicie padła. W zakłopotanie wpadli nie tylko komuniści, lecz także ich partnerzy z Kuroniem i Michnikiem na czele. Tak wyglądała wymiana „elit" w Polsce przy „okrągłym stole". W roku 1989 została zmarnowana historyczna szansa na zbudowanie niepodległego państwa polskiego, w wolnych wyborach społeczeństwo polskie zmiotłoby ze sceny politycznej komunistów. Zostaliby wykluczeni z życia publicznego, rozliczone zostałyby komunistyczne zbrodnie.

Zdaniem Krzysztofa Wyszkowskiego „Solidarność" została nam skradziona przez Jacka Kuronia i jego środowisko polityczne i to już u zarania jej dziejów – z chwilą oddania przywództwa w ręce Wałęsy. Jacek Kuroń na przełomie sierpnia i września 1980 roku „forsował na przewodniczącego związku Andrzeja Gwiazdę, ale tylko po to, żeby samemu objąć przywództwo. [...] Chciał dogadać się z komunistami, dokooptując Solidarność do układu reglamentowanego przez władze PRL. [...] Proces zawłaszczania Solidarności rozpoczął się [...] w 1980 r., a kierunek nadawało mu środowisko skupione wokół Kuronia, Geremka, Michnika i Mazowieckiego, które wraz z Wałęsą, nawet pomimo różnic i rywalizacji występujących między nimi, doprowadziło do ugody dającej im współwładzę, ale opóźniającej odzyskanie niepodległości [...]. Przebieg Okrągłego Stołu był dla mnie szokiem. Uważam, że nasi reprezentanci popełnili historyczną zdradę i wielkie dziedzictwo narodowe, którym jest Solidarność, zostało dla Polski w dużej mierze zmarnowane" („Do Rzeczy" nr 10/517 2023). ■

eprasa.pl 97889736ca

O człowieku, który namalował cud

Ewa Polak-Pałkiewicz



Zamalowanie historycznego fresku – kopii obrazu Jerzego Kossaka przedstawiającego Cud nad Wisłą – w kościele na Białorusi, tuż za polską granicą, przypomina mało znaną historię innego, a bardzo wybitnego malarskiego dzieła, które uwieczniało polskie zwycięstwo 1920 roku. Powstało ono z inspiracji papieża Piusa XI, Achillesa Ratti, który przebywał wtedy w Warszawie jako nuncjusz. Ratti po swoim wyborze na Stolicę Piotrową zlecił polskiemu malarzowi Janowi Henrykowi Rosenowi ozdobienie kaplicy w Castel Gandolfo freskami przedstawiającymi bitwę warszawską i obronę Jasnej Góry przed Szwedami. Nad drzwiami kaplicy nakazał umieścić mapy Polski ozdobione herbem Piłsudskich.

eprasa.pl 97839736ca



fot. NAC

Jan Paweł II był niezwykle zaskoczony, gdy w 1978 roku odkrył te ścienne malowidła w Castel Gandolfo. Na życzenie Pawła VI zasłonięto je – watykańską Ostpolitic prowadził wówczas kard. Agostino Casaroli. Określał ją mianem *modus non moriendi*, „sposobu, żeby nie umrzeć". Była to polityka ustępstw wobec reżimów komunistycznych m.in. w kwestii mianowania biskupów. Jan Paweł II uznał freski za dzieła wyjątkowej klasy. Zapragnął osobiście poznać ich twórcę, malarza w Polsce kompletnie zapomnianego, by nie powiedzieć mocniej: wyklętego...

Postać ks. Ignacego Skorupki z wysoko uniesionym krzyżem, który wraz z ochotnikami Legii Akademickiej pod Ossowem powstrzymuje barbarzyńców z czerwonymi gwiazdami na czapkach, główny motyw fresku, zostaje na długo w pamięci. Jan Henryk Rosen (1891–1982), nawrócony na katolicyzm potomek zamożnej rodziny żydowskiej, był synem malarza batalisty Jana Bogumiła Rosena i Wandy z d. Handke, córki znanego przemysłowca (założyciela Huty Częstochowa). Jego rodzina należała do kręgu wykształconych Żydów, ochrzczonych w wyznaniu ewangelicko-reformowanym.

Polska próba nuncjusza Rattiego

„Prałat Ratti [...] niełatwe miał zadanie. Stara była w polskim episkopacie tradycja oporu względem wysłańców papieskich: biskupi łatwo skłaniali się do uległości względem następców św. Piotra, natomiast o delegatach, nuncjuszach czy legatach mieli najrozmaitsze i często dalekie od zachwytu, czasem słuszne, czasem mniej słuszne sądy. Przyjazd prałata Rattiego do Polski był uznaniem niepodległej Polski przez Watykan i z tego powodu był on chętnie przyjęty, ale osoba nowego dygnitarza była zupełnie nieznana" – pisał ks. Walerian Meysztowicz, radca kanoniczny Ambasady RP przy Watykanie w swoich wspomnieniach. Nuncjusz Ratti mawiał niekiedy, że jest „polskim biskupem". Nominacja biskupia zastała go w Warszawie, otrzymał sakrę z rąk abp. Aleksandra Kakowskiego w archikatedrze warszawskiej. Więzy, które połączyły go z Polską, zwłaszcza tą walczącą z najazdem bolszewickim, okazały się trwałe i głębokie. Z tych czasów pochodzi jego znajomość z marszałkiem Piłsudskim. „[...] i papież, i Marszałek zdawali sobie sprawę z podobieństwa swoich twardych charakterów i mówili o tym jako o czymś, co ich zbliża, a zarazem utrudnia współżycie" – wspomina ks. Meysztowicz, który sam walczył w wojnie bolszewickiej. Pius XI nigdy o swoim polskim epizodzie nie zapomniał. Mocno przeżył śmierć marszałka Piłsudskiego. „Straciłem przyjaciela..." – powiedział.

Pius XI wiedział, że wojna bolszewicka to nie była zwykła wojna. Ugodzona pycha sowieckich przywódców po wyprawie polskich wojsk na Kijów, nienawiść do marszałka Piłsudskiego, który umysłem, talentem wojskowym

0889736ca

i politycznym dalece przewyższał nawet wybitnych wojskowych, chęć zatknięcia czerwonej płachty nad Berlinem i Paryżem, do którego Sowieci przejść chcieli „po trupie Polski", rabunek dóbr materialnych obywateli Rzeczypospolitej, wreszcie – spacyfikowanie dużego kraju, który mógł pod bokiem Rosji wyrosnąć na potęgę ekonomiczną i polityczną – to wszystko zaledwie przybliżenia, niesięgające istoty przyczyny krwawej rozprawy Sowietów z ledwie odrodzonym państwem polskim. Na tym obszarze świata nie mogła istnieć strefa pośrednia. Ten bój był bojem przede wszystkim o to, do kogo należy ta ziemia o tysiącletniej bohaterskiej przeszłości.

Matka Boża, Custos Poloniae, ukazała się krótko potem, gdy na polu pod Ossowem, 13 sierpnia 1920 roku oddawał życie młody kapłan ks. Ignacy Skorupka. Tę scenę postanowił uwiecznić w swojej rezydencji Pius XI.

Jak zostać Hofmalerem?

Czemu należy zawdzięczać przejmującą wymowę fresku w Castel Gandolfo przedstawiającą księdza Skorupkę? Jan Henryk Rosen odebrał w dzieciństwie i wczesnej młodości dość szczególną edukację i wychowanie dalekie od patriotyzmu, mieszkając głównie we Francji. Rodzice opuścili Polskę wraz z trójką dzieci. Jan Henryk kształcił się początkowo w paryskim domu, gdzieś „między armatą i sztalugami", bo tu pracownię malarską miał jego ojciec, autor osławionej „Rewii na placu Saskim", która wpadła w oko rosyjskiemu carowi, i licznych obrazów tematycznie związanych z kampanią Napoleona. „W 1891 roku wielką niespodzianką dla artysty było zaproszenie go do Petersburga" – pisze jego biograf, lwowski historyk Jurij Smirnow. „Telegram podpisał osobiście wiceprezes Akademii Sztuk Pięknych hrabia Tołstoj. W rosyjskiej stolicy prezes Akademii, rodzony brat cara, wielki książę Włodzimierz wyjaśnił Rosenowi, że cesarz Aleksander III nie tylko zakupił »Rewię na placu Saskim«, lecz zainteresował się jego twórczością. Właśnie w tym czasie zabrakło przy dworze carskim nadwornego malarza i Aleksander III, również jak Akademia Sztuk Pięknych, nie mogli znaleźć godnego kandydata. Jan B. Rosen był przyjęty przez cesarza, który złożył artyście kilka zamówień na wykonanie wielkich obrazów o tematyce batalistyczno-historycznej dla Pałacu Zimowego, rezydencji carów rosyjskich. Było to faktyczne mianowanie J. B. Rosena Hofmalerem, czyli malarzem nadwornym...". Nie koniec na tym carskich splendorów. Malarz został jeszcze uraczony tytułem akademika i profesora tytularnego Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych, w akwarelę „Napoleon w Smorgoniach" zaopatrzył się następca tronu (późniejszy car Mikołaj II).

Od tego czasu na płótnach Jana Bogumiła Rosena coraz częściej pojawiały się carskie mundury. Zamówienia z Pałacu Zimowego sypały się jak z rękawa. Malował sceny z pochodu przez Europę marszałka Suworowa, wcześniej oddając się studiom nad szczegółami umundurowania i uzbrojenia armii rosyjskiej. „Przejście wojsk Suworowa przez górę św. Gotarda" malował w Monachium, wykańczał w Petersburgu. Rosjanie byli zachwyceni. Polacy zniesmaczeni. Nie kryli konsternacji i oburzenia, że „Dla Rosena ważniejszym jest sąd o jego sztuce cesarza Aleksandra III niż Stanisława Witkiewicza".

Szkoła spod znaku dwóch Carnotów

W tym czasie prezydent Francji Sadi Carnot podpisał tajny pakt z Aleksandrem III (1892 rok), zwany dwuporozumieniem, który przetrwał aż do 1917 roku. Jego celem było osłabienie pozycji Cesarstwa Niemieckiego. Mimo różnic politycznych stosunki między Republiką Francuską i monarchią rosyjską szybko się ożywiły. W 1888 roku Rosja otrzymała od Francji porcję niezwykle przydatnej wiedzy związanej z techniką wojskową – w zamian za kredyt udzielony przez Rosję giełdzie francuskiej. W 1891 roku reprezentacja marynarki wojskowej Francji pojawiła się w porcie w Kronsztadzie, przy akompaniamencie odegranej przez orkiestrę „Marsylianki" (w zamian przedstawiciele republikańskiej i laickiej Francji byli zmuszeni wysłuchać dźwięków hymnu „Boże, cara hrani"). Współpracę wojskową miała umocnić m.in. wybudowana bezpośrednio przed I wojną radiostacja w Bobrujsku oraz stacja odbiorcza w Paryżu, na szczycie Wieży Eiffla.

Tymczasem kosmopolitycznie nastawieni rodzice Jana Henryka Rosena umieścili syna w paryskim Lycée Carnot, szkole przeznaczonej dla elit finansowych, gdzie wychowanie chłopców miało się odbywać w duchu naturalizmu i ateistycznego materializmu. Jej patronami byli Lazare Nicolas Carnot, matematyk i fizyk, zwany Wielkim Carnotem, oraz prezydent Sadi Carnot (zasztyletowany w czasie wystawy światowej w Lyonie przez włoskiego anarchistę). Lazare Carnot w czasie rewolucji francuskiej był członkiem Konwentu i Komitetu Ocalenia Narodowego (wraz z Robespierrem i Sant Justem), miał jakobińskie poglądy i oddał wielkie zasługi rewolucji. Budynek szkoły projektował Gustave Eiffel, autor Wieży Eiffela, która miała symbolicznie górować nad najwyższym punktem miasta, jakim był krzyż na kopule wieży bazyliki Sacre-Coeur. Paryżanie, dla których czasy rewolucji były największą hańbą Francji, a osoba Lazare Carnota należała do grona królobójców, mieli zwyczaj spluwania, mijając gmach tej szczególnej placówki wychowawczej. (Nie mówiono o nich inaczej jak o oszołomach i skrajnej prawicy).

Po pięciu latach spędzonych w szkole imienia Carnotów, dwunastoletni Jan Henryk Rosen zdecydował się ją opuścić i przyjąć chrzest w Kościele katolickim (w 1902 roku).

W mundurze francuskim i polskim

Ten okres jego życia obfituje w nagłe zmiany miejsc zamieszkania. Naznaczony był niepokojem. Jan Henryk

eprasa.pl 97889736ca

uczył się najpierw w Montreaux, potem we Fryburgu, gdzie został uczniem dawnej szkoły jezuickiej, katolickiego liceum Sainte Michel. Maturę zdał w Lozannie. Tutaj też studiował historię sztuki na uniwersytecie przez jeden semestr, ale już w 1911 roku wrócił do Paryża i był studentem Sorbony. Próbował sił jako autor prasy literackiej (m.in. w czasopiśmie „Revue de l' art chrétien"). Jeszcze podczas studiów w Paryżu został redaktorem naczelnym „La Revue" i „La Vasque" (to ostatnie pismo sam założył). Jednocześnie uczył się malarstwa w pracowni Luc-Oliviera Mersona. Gdy wybuchła I wojna, jako ochotnik wstąpił do armii francuskiej, walczył pod Ypres i nad Sommą. Zdobył kilka odznaczeń bojowych za męstwo, otrzymał stopień podporucznika. W 1917 roku niespodziewanie wstąpił do polskiego wojska (Błękitnej Armii gen. Hallera), które formowało się we Francji.

Nie przestał nigdy czuć się Polakiem. W latach 1919 i 1920 odnajdujemy go jako sekretarza Ignacego Jana Paderewskiego w Genewie, towarzyszył mu m.in. podczas negocjacji pokojowych w Lidze Narodów (druga żona Paderewskiego, Helena Maria Paderewska primo voto Górska z domu Rosen, była ciotką Jana Henryka).

Do Polski wrócił w 1921 roku i po krótkim pobycie w koszarach w Brodach zaczął pracować w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Równocześnie uczęszczał do Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Malarstwa, gdzie jego nauczycielem był Jan Kauzik. W listopadzie 1922 roku zadebiutował na wystawie w warszawskiej Zachęcie, prezentując obraz „Żywot św. Franciszka z Asyżu".

„Klęczał przy mnie i płakał"

Na wystawę w Zachęcie 16 grudnia 1922 roku, na której miał się pojawić prezydent Gabriel Narutowicz, Rosen wybrał się w towarzystwie Kazimiery Iłłakowiczówny, koleżanki z MSZ-u. Obydwoje znali dobrze prezydenta jako szefa tego ministerstwa. Iłłakowiczówna wspominała, że „był prosty, wielkoduszny, lojalny i sprawiedliwy, łatwy w obejściu i pełen swoistego, litewskiego humoru". Poprzedniego dnia Narutowicz objął urzędowanie. I natychmiast rozpoczęły się demonstracje.

„[...] endecja blokuje wejście do Sejmu, w Alejach Ujazdowskich dochodzi do zamieszek, jedna osoba ginie, a dwadzieścia osiem jest rannych. Gdy pojawia się Gabriel Narutowicz, tłum obrzuca go kamieniami, kijami i bryłami lodu, a jeden z mężczyzn próbuje go uderzyć w twarz laską. Prezydent relacjonował po tym zajściu: »Rozumiecie, na końcu była umocowana żelazna gałka. Pomyślałem: człowieku, czy mnie tak spokojnie zabijesz? I spojrzałem mu w oczy. Spuścił wzrok i laskę...«" (Joanna Kuciel-Frydryszak).

Rano tego samego dnia miało miejsce spotkanie prezydenta z kardynałem Kakowskim, aprobującym jego wybór. „Gdym się żegnał – wspominał kardynał – ukląkł na dwa kolana i prosił o błogosławieństwo. Rzecz niebywała! Miałem wrażenie, jakby po spowiedzi prosił mnie o rozgrzeszenie. Dałem mu rozgrzeszenie i wyszedłem wzruszony". Towarzyszący prezydentowi Stanisław Car zwrócił mu uwagę, że przechodnie kłaniają się przed samochodem, którym jechali.

W Zachęcie, w sali na wprost schodów wisiał obraz Rozena. Poetka i malarz skierowali się właśnie tam. „Mówiliśmy, że tłoczyć się razem z societą na pierwsze miejsce nie ma sensu" – wspomina Iłłakowiczówna. „»Tak«, powiedziałam, »ale wśród nas byłby bezpieczniejszy«. Chciałabym stać tuż przy nim, żeby go w razie czego zasłonić.... W tej chwili za nami padły trzy suche strzały. Twarz Rosena zrobiła się zupełnie szara: »To nie tu, to coś na ulicy...« powiedział bez cienia przekonania i oboje wpadliśmy na górną platformę schodów, którymi w pośpiechu zaczęły się tłoczyć płaczące i krzyczące panie".

Wołano księdza i doktora, ktoś dostrzegł Iłłakowiczównę, dawną sanitariuszkę frontową: „Siostro, prędzej!...". Wśród nieopisanej wrzawy ułożono prezydenta na podłodze, głowę oparto o kolana klęczącej Kazimiery Iłłakowiczównej. „Zamknęłam mu oczy i związałam mocno twarz jego własnym białym szalikiem. Bolało mnie uczucie osamotnienia tego trupa, którego barki i głowa tak bardzo ciążyły na moich kolanach. Zdawało mi się, może niesłusznie, że większa była złość i zgroza, niż żal, większości widzów tej tragicznej śmierci niewinnego. Tylko Rosen klęczał przy mnie i płakał. Modliliśmy się oboje bardzo gorąco".

Pogrzeb św. Odilona

Nie wiadomo, czy tamto wspomnienie nie zaważyło na klimacie podniosłej sceny, jaką kilka lat później umieścił Jan Henryk Rosen na ścianie prezbiterium katedry ormiańskiej we Lwowie. Ogromny fresk przedstawiał pogrzeb średniowiecznego mnicha benedyktyńskiego, św. Odilona. Jego ciało dźwiga na marach pięciu zakonników, tylko jeden z nich ukazuje swoją twarz pełną głębokiego smutku i powagi. To twarz autora fresku, jak twierdzą niektórzy krytycy. Święty Odilon był opatem Cluny, jednym z największych świętych francuskich, reformatorem zakonu i twórcą nabożeństwa do Dusz Czyśćcowych; jemu zawdzięczamy Dzień Zaduszny. Bardzo kochano go we Francji. W czasie rewolucji jego relikwie zostały zbezczeszczone i spalone.

Poddawana renowacji zabytkowa katedra ormiańska była przez blisko pięć lat ozdabiana przez Rosena monumentalnymi malowidłami. Po zakończeniu prac jej wnętrze zalśniło wspaniałymi freskami (przedstawiającymi m.in. ścięcie św. Jana Chrzciciela, Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny, ofiarę Abrahama, ukrzyżowanie, hołd pasterzy betlejemskich, ustanowienie Najświętszego Sakramentu). Była to praca gigantyczna. Artysta malował,

eprasa.pl 97889736ca

stosując własną metodę nakładania wosku na ścienne obrazy i używając jako rozpuszczalnika farb holenderskiego piwa. Freski wypełniające surowe XIV-wieczne wnętrze, wzbudziły od razu zdumienie, zachwyt, entuzjazm.

Rosen zdradza w nich nie tylko niezwykły talent, mistrzowskie opanowanie warsztatu i biegłość w historii sztuki – jego prace są przykładem udanej syntezy tradycji ormiańsko-bizantyńskiej ze sztuką secesji i zachodnioeuropejskiego modernizmu. Finezja i pewność kreski, oryginalnie zaaranżowane sceny, zdecydowana, pełna harmonii kolorystyka – wszystko to wnosi do wiekowego wnętrza świeżość i dynamizm. Poświadcza rozległą wiedzę biblijną i głębię religijnego przeżycia autora. Towarzyszy im swoboda w posługiwaniu się współczesnymi środkami wyrazu. Na wielu przedstawionych twarzach lwowianie odkrywają rysy swoich znajomych i powszechnie znane osobistości lwowskiego świata kultury i nauki.

„Janku, potrafisz!"

Mawiano, że kard. Józef Teofil Teodorowicz, arcybiskup lwowski obrządku katolicko-ormiańskiego, był tamtego pamiętnego dnia, 16 grudnia 1922 roku, w Zachęcie. Zapamiętał młodego mężczyznę, który klęczał przy ciele zamordowanego prezydenta. Może też widział niektóre jego płótna. Ale było ich niewiele i z pewnością nie zapewniały mu rozgłosu. Legenda głosi, że gdy poprosił Rosena o namalowanie fresków, ten był bezbrzeżnie zaskoczony i przekonywał, że o malowaniu fresków nie ma pojęcia. „Widzę, Janku, że sobie poradzisz!" – odpowiedzieć miał arcybiskup z niezmąconym spokojem.

W następstwie tego sukcesu Rosena zatrudniono jako profesora specjalnie dla niego utworzonej Katedry Rysunku Figuratywnego na Politechnice Lwowskiej – mimo że nie posiadał akademickiego cenzusu. Uczył studentów i sam wiele w tym czasie malował – freski m.in. w lwowskim seminarium duchownym, w klasztorze karmelitanek, w kościele św. Józefa na Kahlenbergu pod Wiedniem (1931 rok) i w kościołach w Polsce (m.in. w Podkowie Leśnej, Lesku). To abp Teodorowicz miał również opowiedzieć w Rzymie o talencie nieznanego malarza z Warszawy Piusowi XI. Papież nie wahał się, by powierzyć mu ozdobienie kaplicy w Castel Gandolfo.

Gdy Rosen wrócił do Polski po trzyletnim pobycie w Rzymie (1930–1933), okazało się, że jego katedra na politechnice została zlikwidowana. Był bez stałej pracy. Wtedy właśnie otrzymał niespodziewanie zaproszenie z Waszyngtonu, od ambasadora RP hr. Jerzego Potockiego. Ambasador prosi, by ozdobił freskami reprezentacyjną salę przyjęć w polskiej ambasadzie, a potem wykonał dekoracje polskiego pawilonu na Wystawie Światowej w Nowym Jorku. Artysta wyjeżdża „za chlebem" w 1937 roku, by nigdy już do Polski nie powrócić. Rozpoczynał się najbogatszy okres jego artystycznej biografii. Projektował i wykonywał osobiście gigantyczne mozaiki w katedrze w Saint-Louis (najprawdopodobniej są to największych rozmiarów mozaiki, jakie kiedykolwiek powstały), polichromie w katedrze w Saint-Matthew i w katedrze arcybiskupiej w Waszyngtonie, w kościołach w san Francisco, Pittsbughu, Buffalo, Filadelfii. Był doceniany i chwalony. Został wykładowcą sztuki sakralnej na katolickim uniwersytecie (1939–1949) w Waszyngtonie i otrzymał tu tytuł doktora honoris causa.

Jego biografowie nie podają jednak powodu, dla którego ten wielki religijny twórca, odbierający w swoim czasie tak wiele dowodów uznania, zmarł w zapomnieniu i ubóstwie w 1982 roku w Arlington.

Nawróceni we Francji

Gdy zastanawiano się nad inspiracją jego twórczości, podawano głównie jego gruntowną wiedzę z zakresu historii sztuki i utożsamienie się z malarstwem średniowiecznym. Profesor Joanna Wolańska, która zajmowała się twórczością Rosena, nie wahała się nawiązać do jego przełomu religijnego we wczesnej młodości. To tuż po swoim nawróceniu we Francji zetknął się z dziełami literackimi Jorisa-Karla Huysmansa, także nawróconego artysty (wcześniej autora skandalizujących powieści o demonicznych wątkach). Zwłaszcza jego książki „Katedra" i „W drodze" zostawiły głęboki ślad w umyśle malarza. Obudziły zainteresowanie żywotami świętych w czasie, gdy we Francji odbierano Kościołowi własność, ograniczano wolność zakonów, trwała brutalna rozprawa ze szkolnictwem katolickim. Zaczął wtedy chodzić na wykłady historyka sztuki średniowiecznej Émile Mâle i czytał „Złotą legendę" Jakuba de Voragine z biografiami świętych. Wśród jego nauczycieli sztuki byli także Karl Voll i Hugon von Tschudi, których spotykał w Monachium – być może, gdy odwiedzał tam ojca malującego swoje sceny bitewne dla cara.

Czym był ten cud?

Autorzy rewolucji bolszewickiej karmili się szyderstwami z wiary katolickiej i mętnymi sofizmatami podawanymi w atrakcyjnej formie, produkowanymi masowo przez intelektualnych idoli jeszcze w czasach oświecenia we Francji. Szał szyderstwa i „demaskowania" Kościoła dotarł do Rosji blisko sto lat po tym, jak we Francji, za Ludwika XVI, stał się salonową modą. „Kobiety z towarzystwa, poważni filozofowie mieli swoje własne katedry niedowiarstwa. Na koniec zostało stwierdzone, iż chrześcijaństwo jest systemem barbarzyńskim, którego upadek powinien nastąpić jak najwcześniej w imię wolności ludzkości, postępu oświecenia, rozkoszy życia i wykwintu sztuk. [...] każdy autor [antykatolickich dzieł] błogosławił

eprasa.pl 97889736ca

swój los, który sprawił, że narodził się w pięknym wieku Diderotów i d`Alambertów, kiedy to świadectwa ludzkiej mądrości zostały ułożone w porządku alfabetycznym w Encyklopedii, tej wieży Babel nauk i rozumu" – pisał z sarkazmem Chateaubriand.

Niewielu w dobie rewolucji – zarówno we Francji, jak i w Rosji – miało na tyle uczciwości intelektualnej, by dostrzec związek między tą paplaniną a uczynieniem z ludzi stada bezwolnych i bezwstydnych istot czy też okrutnych bestii zdolnych do najgorszych zbrodni. Takich, jacy runęli na Polskę w 1920 roku.

I nagle – zwycięstwo. „Skąd zwycięstwo? Wiemy dobrze, że Bóg kule nosi i bez woli Boskiej, bez łaski Boskiej zwycięstwa nie ma" – mówi ks. Walerian Meysztowicz. Ten erudyta i profesor prawa, wspominając rok 1920, przyznaje się do całkowitej bezradności w ocenie tamtych wydarzeń. Walczył wtedy na czele niewielkiego szwadronu kawalerii chłopców z dworów ziemiańskich z Litwy i Łotwy. Co się wtedy naprawdę w Polsce stało? Jak możliwe było takie zwycięstwo?

Rzecz oczywista, nie ma zwycięstwa bez wodza, co podkreślał mocno w swoich wspomnieniach. Wodzostwo marszałka Piłsudskiego, bardziej odczuwane niż zauważane w szczegółach taktyki, było dla obserwujących teatr wojny, ale i dla jej uczestników pewnego rodzaju tajemnicą. Marszałek stanowił ośrodek, wokół którego wszystko mogło się skrystalizować. Bezładne oddziały ochotników dzięki jego przywódczemu charyzmatowi i talentowi wojskowemu stawały się wojskiem, świadomym swej siły. W Polsce, której niepodległość trwała zaledwie półtora roku „[...] była jakaś organizacja, było POW, Legiony, był jakiś kościec i jakiś sztab...". Ale to za mało, by gwarantować zwycięstwo. Po wygranej słyszano słowa Marszałka, który na pytanie, kto zwyciężył (chodziło o personalną odpowiedzialność za wynik walki), odpowiedział jakby z nutą wahania: „Ja nie wiem, kto tę wojnę wygrał, ale ja wiem, kto by był głównym winowajcą, gdyby ona była przegrana".

Ksiądz Ignacy Skorupka na zdjęciu: okrągła twarz chłopca. Jasne oczy i jasne włosy, jakiś rodzaj zamyślenia czy smutku. Ten prefekt szkół warszawskich i wybitny kaznodzieja był wielką nadzieją duchowieństwa; metropolita warszawski nie zezwolił mu na wstąpienia do wojska, z obawy utraty obiecującego kapłana. Ksiądz Ignacy nie zrezygnował jednak i w końcu znalazł zrozumienie u biskupa polowego Stanisława Galla. Nominowany na lotnego kapelana garnizonu praskiego, przez pierwsze tygodnie służby, na początku sierpnia 1920 roku, niemal bez przerwy spowiadał żołnierzy w koszarach i szpitalach. Widywano go na dworcach kolejowych. Widziano „upadającego ze zmęczenia kapłana, siedzącego na stopniach wagonu i spowiadającego żołnierzy [...]. Wracał zbity, spracowany w późną noc, czasem o 5 rano do zakładu Ogniska Marii, kładł się na spoczynek i po półtorej, dwóch godzinach zrywał się, odprawiał Mszę dla sierot i znów podążał do swoich żołnierzy" (Stanisław Helsztyński).

Jako kapelan 266. Pułku Piechoty Ochotniczej im. Weteranów Powstania Styczniowego mówił do żołnierzy, którymi byli głównie harcerze i młodzież szkolna: „Czekają nas jeszcze ciężkie ofiary, ale niezadługo – bo piętnastego, w dzień Naszej Królowej losy odwrócą się w naszą stronę". Było to w czasie Mszy św. polowej przed kościołem w Ząbkach. Wcześniej odbył spowiedź generalną u ojców kapucynów i sporządził testament. Napisał w nim: „Dług za wpisy szkolne spłacam swym życiem. Za wpojoną miłość do Ojczyzny płacę miłością serca. Proszę mię pochować w albie i w ornacie". Zginął trafiony w głowę zabłąkaną kulą, gdy udzielał ostatniego namaszczenia ciężko rannemu żołnierzowi, w przeddzień 14 sierpnia 1920 roku.

▶ „Losy wojny są w ręku Boga...

...ale ludzie są po to, aby wojnie dopomóc" – mówił do swoich żołnierzy kilka miesięcy wcześniej, w Łucku, marszałek Józef Piłsudski. Ksiądz Ignacy był jednym z tych ludzi posłanych do Ochotniczej Armii, by młodzi żołnierze nie tracili ducha. Jan Henryk Rosen, malując jego postać na ścianie watykańskiej kaplicy, nie zapomniał, że maluje cud wiary młodego księdza.

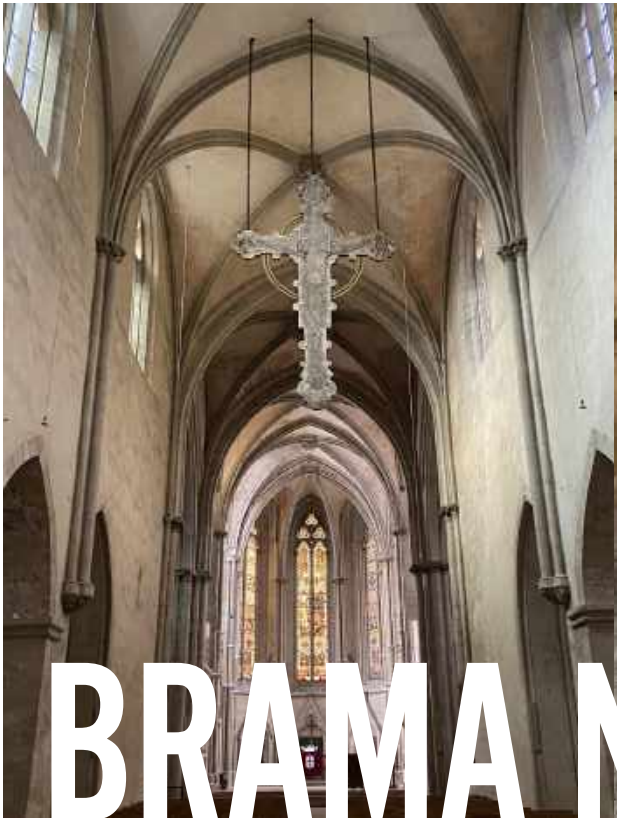
Niezwyciężona armia, która posuwała się w poczuciu swej druzgocącej przewagi liczebnej i militarnej, upojona wizją rabunku stolicy Polski, nagle, w niezrozumiały dla jej dowódców sposób, tuż pod Warszawą, 14 sierpnia, nim jeszcze rozwiały się poranne mgły, rozproszyła się. Płaszcz Maryi otulił Warszawę niczym ciepłe matczyne ramiona ochraniają małe bezbronne dzieci. Paniczna ucieczka z pola bitwy, porzucanie dział i podwód, ciężkiej broni i koni, były obrazami największej paniki w dziejach militarnych świata, jakiej uległy naraz setki tysięcy najeźdźców. Przerażonych nagłym widokiem Pani tej ziemi, Królowej Korony Polskiej, Najświętszej Marii Łaskawej, która ukazała się na niebie w otoczeniu hufców rycerskich, odpierającej pociski nieprzyjaciela, które kierowały się następnie ku bolszewikom.

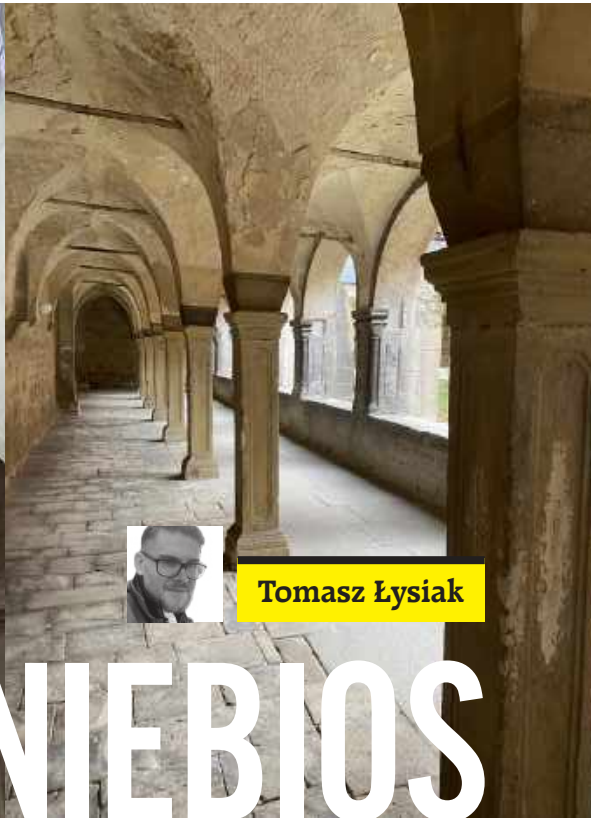
„Ofiara kapłańskiego życia, świadomie i dobrowolne złożona na ołtarzu Ojczyzny, wydała stukrotny plon. Do tej chwili Polacy uciekali przed bolszewikami, odtąd uciekali bolszewicy przed Polakami" (A. Kakowski). Machina wojenna ruszyła wstecz. ■

_____

Źródła: ks. Walerian Meysztowicz „Gawędy o czasach i ludziach", Łomianki 2008; Kazimiera Iłłakowiczówna „Ścieżka obok drogi", Warszawa 1939; F. R. de Chateaubriand „Geniusz chrześcijaństwa", Poznań, 2003; Joanna Kuciel-Frydryszak „Iłła", Warszawa 2017.

eprasa.pl 97889736ca





Tomasz Łysiak

BRAMA NIEBIOS

Los gałęzi rodu piastowskiego, którego głową był Władysław – najstarszy syn Bolesława Krzywoustego – to los wygnańców. W Niemczech ciągle znaleźć można ślady naszych Piastów. Władysław II Wygnaniec wraz z żoną Agnieszką pochowani są w przepięknym cysterskim klasztorze Pforta. Mnisi z tego właśnie klasztoru przywędrowali na Dolny Śląsk w połowie XII wieku i osiedli w Lubiążu.

Klasztor Cystersów w Lubiążu to ponad osiem wieków historii. Został założony w roku 1163, a jego fundatorem był Piast z linii śląskiej, Bolesław I Wysoki. Jest drugim co do wielkości obiektem sakralnym na świecie. Jeśli chodzi o rozmiary ustępuje „jedynie" hiszpańskiemu Eskurialowi. Sama powierzchnia dachów to około 2,5 hektara! Długość fasady to 223 metry, w budowli doliczyć się można 600 okien. Gigant! Perła! Na parkingach pod klasztorem winny stać dziesiątki autokarów, przywożących turystów z całego świata. Aby tak jednak się stało, potrzebny jest olbrzymi, liczony w miliony euro, wysiłek na prace restauratorskie, a potem odpowiednią promocję tego dolnośląskiego cudu. Przecież także historia fundatora i jego ojca Władysława – losy Piastów śląskich, wygnańców, rycerzy zdobywających chwałę pod murami Mediolanu, bijących się w pojedynkach, szukających oparcia w Fryderyku Barbarossie, okrutnych i skrzywdzonych, noszących w duszach i umysłach urazę oraz marzących o powrocie na tron senioralny w Polsce – jest tak pasjonująca,

eprasa.pl 97889736ca



że przewodnicy oprowadzający wycieczki po Lubiążu mieliby długo co opowiadać.

Brat przeciw bratu

Książę Władysław był najstarszym synem Bolesława Krzywoustego. Miał jednak „pecha" urodzić się nie z tej matki, co trzeba. Powiła go córka kijowskiego księcia Światopełka, która niedługo potem umarła. Kolejne dzieci Bolesława, Mieszka i Henryka dała Krzywoustemu jego druga żona Salomea. Władca zapisał swym synom w testamencie po dzielnicy. Władysław – jako najstarszy – otrzymał swoją – Śląsk – i zwierzchnictwo nad pozostałymi braćmi, co wiązało się z kąskiem najbogatszym, czyli dzielnicą senioralną (Małopolska, Wielkopolska Wschodnia, Kujawy). A był przecież jeszcze syn piąty – Kazimierz. Ten także miał pecha, bo przyszedł na świat po śmierci ojca i po „podziale tortu". Ale i on w przyszłości miał się „dopchać do swego", a nawet w jakiejś mierze podważyć ostatnią wolę Bolesława i próbować narzucić własne rządy, praktycznie dynastyczne. To dla niego pisał kronikę Mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem. To on także, niestety, w trakcie jakiejś biesiady padł po wypiciu kielicha i nigdy się nie podniósł.

Ale to było później. Na razie Władysław otrzymał władzę zwierzchnią i dzielnicę senioralną, co razem z „własnym" Śląskiem składało się na całkiem piękne władztwo. Rzecz w tym jednak, że gdzie chodzi o władzę i wpływy, przestają się liczyć więzy rodzinne – i brat bratu może być wilkiem. Oraz macocha. Jedną z głównych postaci, rozgrywających politycznie kwestie dynastyczne aż do swej śmierci w roku 1144, stała się bowiem owa druga żona Krzywoustego – Salomea. To ona robiła wszystko, by zmotywować swoich synów do sięgnięcia po władzę senioralną i wyrwania tronu polskiego z rąk Władysława. I tak zaczęło się piekło rozbicia dzielnicowego. Przy czym warto pamiętać, że podobnych sporów, swarów wynikających z problemów związanych z dziedziczeniem w tym i w następnym wieku doświadczała cała Europa. Doszło i u nas do scen strasznych – konfliktów seniora z juniorami, wojen. Władysław oślepił swego palatyna Piotra Włostowica. W roku 1146 obległ w Poznaniu dwóch młodszych braci, Bolesława i Mieszka. I tam został pokonany. Finałem było... wygnanie z kraju.

Na wygnaniu

Umykał z Polski Władysław razem z żoną i synami. Żona Agnieszka była córką margrabiego austriackiego Leopolda III. Znalazł się więc Wygnaniec najpierw w Pradze, a stamtąd ruszył do króla niemieckiego i cesarza, Konrada III z rodu Hohenstaufów, któremu złożył hołd i którego poprosił o pomoc. Od tej pory gałąź rodu piastowskiego wychodząca od najstarszego syna Bolesławowego związała się ze Staufami. Protektorem interesów Władysława i jego syna Bolesława miał się stać jeden z najsłynniejszych cesarzy w historii Niemiec, Fryderyk Barbarossa. Dwukrotnie miał się on wyprawić do Polski, by siłą „przywracać sprawiedliwość", a tak naprawdę podporządkowywać sobie feudalnie kraj i podsycać konflikty oraz rozbicie. Wewnętrzna „wojna polsko-polska" była mu na rękę. Jednak wynikiem wygnania Władysława było także to, że Piastowie żyli i działali w Saksonii i Turyngii przez długie dekady, choć dziś mało kto już tam o ich bytności pamięta. Altenburg to jedno z miast cesarskich w Turyngii, nazywane jest czasem miastem Barbarossy. Przewodniczka z dumą pokazuje turystom olbrzymie sale pałacowe, pełne złoceń i kolumnad. W jednej z nich na ścianie wisi spory obraz ukazujący majestat przyjmującego hołdy Barbarossy. Najstarszą częścią kompleksu pałacowego jest kościół, którego mury prawdopodobnie widziały naszego Władysława. Bo to

eprasa.pl 97889736ca

tutaj, w Altenburgu, z nadania Fryderyka właśnie, była jego siedziba. Być może w jednej z wielkich białych wież przechadzał się polski książę, trawiony gorączką uraz i żalu, ciągle myślący o powrocie do Polski i odzyskaniu tego, co w jego oczach było po prostu kradzieżą, słusznie należącej mu się z woli ojca, władzy? Tego już nigdy się nie dowiemy, zbyt mało pozostało śladów mówiących o tym, jak wyglądało życie Władysława II na altenburskim zamku, gdzie wychowywał dzieci i gdzie planował kolejne polityczne poczynania.

Córka Chrobrego

W leżącej o godzinę drogi od Altenburga (licząc oczywiście obecnie, a nie w czasie, gdy odległość pokonywało się konno) katedrze w Naumburgu, zbudowanej na planie katedr niemieckich z absydami i prezbiterami z obu stron świątyni, znajduje się jedna z najsłynniejszych gotyckich rzeźb średniowiecznych przedstawiająca... „Śmiejącą się Polkę". To figura naturalnej wielkości, wchodząca w skład kilku innych rzeźb ustawionych w prezbiterium świątyni, a ukazujących ród fundatorów katedry. Regelinda (bo o niej mowa) była córką naszego pierwszego króla, Bolesława Chrobrego. Została wydana w roku 1003 za margrabię miśnieńskiego Hermana, syna Ekkeharda I. Ten to właśnie Ekkehard zbudował przepiękną katedrę, w której, zapewne około roku 1240, mistrz naumburski wykonał ową serię rzeźb. Wśród nich znalazła się „Die lächelinde Polin", czyli „Śmiejąca się Polka", która do dziś rozbawia i ujmuje wszystkich fantastycznym wyrazem twarzy, owym rozbrajającym szczerym uśmiechem – świetną wizytówką Polski radosnej.

Ale niedaleko od Naumburga znajduje się też bardzo ważne miejsce, choć rzadko przez Polaków odwiedzane – opactwo cysterskie Pforta, będące jednym z absolutnie zachwycających miejsc na szlaku romańskich zabytków w Europie. Gdy Bolesław Krzywousty zbliżał się już do końca swych dni, w Pforcie trwały prace budowlane. Wszystko odbywało się z inicjatywy biskupa Udona z Naumburga, który po spotkaniu ze św. Bernardem z Clairvaux w 1131 roku, w Liège, postanowił „zainstalować" cystersów na obszarze swojej diecezji.

Cisza klaszoru

Najpierw powstał kompleks budynków romańskich, w których rozpoczęło działalność zgromadzenie. Początkowo nazwano całość Porta Coeli, czyli Brama Niebios, co potem zostało skrócone do Pforta. Kościół gotycki w opactwie został wzniesiony zapewne około roku 1250. W tym też roku powstał wielki drewniany krzyż z namalowanym Chrystusem. I krzyż, i malowidło (choć już mocno zniszczone) zachowały się do dzisiaj. Gdy dotrze się do cysterskich zabudowań i odnajdzie świątynię, odkrywa się jej piękno, zaczynając od niezwykłej fasady z wysoko ponad ziemią umieszczoną rzeźbą Jezusa. Po naciśnięciu klamki w starych drewnianych drzwiach, które uchylają się z ciężkim jęknięciem przerdzewiałych zawiasów, oczom ukazuje się rozświetlone jasnymi smugami padającymi od witraży puste, milczące wnętrze liczącej osiem wieków świątyni. Pod sklepieniem podwieszony na łańcuchach wisi ten przepiękny krzyż. Szybuje nad przestrzenią pustej świątyni w niczym niezmąconej ciszy, jak ów krucyfiks z arcydzieła Salvadora Dalego, przenoszący widza w kosmos, w nieskończoność. Pod ścianami naw bocznych odnaleźć można epitafia, które układają się w ciągnącą się wiekami historię. Wiele z nich jest już całkiem nieczytelnych – litery zatarł nieubłagany czas. Zaklęci w kamień drzemią tu książęta, prałaci,

Klasztor Cystersów w Lubiążu to ponad osiem wieków historii. Został założony w roku 1163, a jego fundatorem był Piast z linii śląskiej, Bolesław I Wysoki.

mnisi, bogaci mieszkańcy Naumburga. Ale nie ma Władysława z Polski, syna Bolesława Krzywoustego, wnuka Władysława Hermana, potomka Chrobrego. Ani jego żony Agnieszki, córki świętego Leopolda. Pisał o nich znakomity historyk Benedykt Zientara, biograf Henryka Brodatego, wskazując, że właśnie w Pforcie zostali pochowani.

W 1162 roku, w czasie słynnego oblężenia Mediolanu przez Fryderyka Barbarossę, pewien mediolański rycerz wyzywał cesarskich ludzi na pojedynek. Jeździł pod murami miasta, wykrzykując obelgi w stronę wroga. Jednak nikt nie chciał stawić mu czoła. Rękawicę podjął dopiero pewien postawny Polak. Źle skończyła się walka dla rycerza z Mediolanu. Zwyciężył go Bolesław, syn wielkiego piastowskiego rodu. Ten sam, który lata później miał sprowadzić cystersów z Pforty do Lubiąża. Zostawił w Europie ogromne dowody śmiałości i najlepszych cech charakteru. Spoczął na wieki właśnie w Lubiążu, w klasztorze. Tak jak jego ojciec w Pforcie. Pforta znaczy Brama Niebios – cystersi potrafią ją otwierać każdemu. Nieważne, czyś Wygnaniec, czy książę, czy leżysz w obcej czy własnej ziemi. Ważne, jakim życiem żyłeś. I co po tobie zostanie. Rozmyta milionem kropli deszczu płyta nagrobna czy dobra pamięć kronikarza... ■

eprasa.pl 97889736ca



ORLEN DLA POLSKI

Gaz dla biznesu tańszy o ponad połowę

PGNiG Obrót Detaliczny z Grupy ORLEN od 15 marca 2023 r. o ponad połowę obniży ceny gazu dla firm korzystających z Cennika „Gaz dla Biznesu". Klienci nie będą musieli podejmować żadnych działań, aby płacić mniej. To efekt silnego koncernu multienergetycznego, który gwarantuje bezpieczeństwo dostaw surowców i ich atrakcyjne ceny.

Dowiedz się więcej na OrlenDlaPolski.pl

eprasa.pl 97889736ca

Piotr Lisiewicz

Lektura tekstu Adolfa Bocheńskiego z czerwca 1944 roku, opublikowanego na łamach wygnańczego pisma „Orzeł Biały", wzbudzić może w nas dwojakie reakcje. Pierwsza to ulga, że inaczej niż autor żyjemy w niepodległej Polsce i realizujemy postulowaną przez niego niepodległościową politykę, budując Międzymorze i pozostając w sojuszu z USA i Wielką Brytanią. Ale po chwili pojawia się element niepokoju. Bocheński trafnie opisując plan podboju i skomunizowania Polski, pisze, że jednym z najważniejszych celów Moskwy jest zatarcie granic pomiędzy komunistami – zwolennikami połączenia z Rosją i polskimi patriotami, czego objawem jest choćby istnienie kapelanów w armii Berlinga. I oto w 2023 roku stoimy w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, jakim jest istnienie sił działających pod fałszywymi flagami liberałów, socjaldemokratów, ludowców i narodowców, a w istocie będących lobby układów postkomunistycznych, niezdolnych do sprzeciwiania się polityce rosyjskiej. Pouczająca to lektura.

Adolf Bocheński

Polska w polityce Stalina

Przede wszystkim musimy przeciwdziałać wprowadzeniu zamieszania i zatarciu wyraźnych granic między komunistami – zwolennikami połączenia z Rosją z jednej i prawdziwymi Polakami z drugiej strony. Zatarcie tych granic jest dziś jednym z najgłówniejszych celów polityki sowieckiej.

[...] Istnieją dwie koncepcje usiłujące wyjaśnić dzisiejsze nastawienie wodza narodu rosyjskiego. Pierwsza, to twierdzenie, iż Stalin właściwie już przestał być ortodoksyjnym komunistą i że realizuje on nie wskazania międzynarodowego komunizmu, ale postulaty rosyjskiej racji stanu. Druga, to twierdzenie, iż rewolucja światowa jest nadal celem polityki Stalina i że Rosja jest tylko narzędziem zmierzającym do tego celu. [...] obie hipotezy prowadzą do podobnych wniosków. [...] Otóż starym celem nacjonalizmu rosyjskiego jest Moskwa jako „Trzeci Rzym" – po Rzymie Cezarów i Rzymie Papieży – nowy ośrodek Europy i Azji. W interesie nacjonalizmu rosyjskiego jest dziś niewątpliwie rozszerzenie się ustroju kolektywistycznego.

Rosyjski interes

W związku z powyższym twierdzeniem nasuwa się jednak pewna wątpliwość. Gdyby duża część kuli ziemskiej przyjęła dziś ten ustrój, niewątpliwie po pewnym czasie wytworzyłyby się nowe ośrodki, które by mogły zagrozić prymatowi Moskwy [...]. Kwestia, czy w interesie nacjonalizmu rosyjskiego leżałoby np. skomunizowanie Niemiec, czy też raczej osłabienie tego państwa. [...] wobec niepewności, jakie cele przeważają w polityce Rosji, nie możemy na pewno twierdzić, że skomunizowanie Niemiec nie leży dziś w zamiarach Stalina [...].

Natomiast można z całą pewnością twierdzić, że wprowadzenie ustroju kolektywistycznego w jakimkolwiek państwie położonym między Niemcami i ZSRR nie mogłoby w żadnym wypadku narażać prymatu Moskwy i równałoby się rozszerzeniu strefy wpływów kulturalnych i politycznych Rosji. Najsilniejszą jednostką narodową na tym obszarze jest niewątpliwie Polska. Otóż nie wydaje się, aby komunizm Polski był, względnie aby mógł się stać, na tyle silny, aby zagrażać bezwzględnej przewadze Rosji w jakimś zespole łączącym oba narody. Tak więc w interesie międzynarodowego kolektywizmu, jak i w interesie rosyjskiej racji stanu, zdaje się leżeć skomunizowanie grupy państw leżących między Niemcami i Rosją.

O ile chodzi o stosunek do Polski, to polityka rosyjska od wieków już oscylowała między dwoma możliwymi rozwiązaniami. Pierwszym rozwiązaniem było połączenie całej Polski z Rosją. Drugim było odebranie Polsce ziem zamieszkałych przez Białorusinów i Ukraińców i ewentualnie również pewnych części Polski etnograficznej. Ideałem dla Rosji było zawsze rozwiązanie pierwsze. Rozwiązanie drugie było natomiast zawsze rezultatem kompromisu z siłami położonymi dalej na zachód od Polski. Polityka roz-

eprasa.pl 97889736ca

biorcza Katarzyny II była właściwie polityką rezygnacji z ambitnych zamiarów wcielenia całej Polski do Rosji. [...]

Rosja komunistyczna podjęła na nowo program połączenia całości Polski z Rosją. [...] w interesie zarówno nacjonalizmu rosyjskiego jak i komunizmu jest wcielenie całości Polski do Rosji. [...] Wiedząc, jaki jest cel polityki Sowietów, możemy się zastanowić, jakie są środki, które do tego celu będą prowadziły.

Klucz do odcyfrowania polityki Sowietów

Pierwszym i najważniejszym warunkiem zrealizowania planów rosyjskich w stosunku do Międzymorza jest jego okupacja wojskowa [...] Po okupacji tych terytoriów powstałyby obiektywne warunki umożliwiające ich skomunizowanie i przyłączenie ich do Rosji. Trudność w tym okresie pochodzić będzie niewątpliwie ze strony wielkich mocarstw anglosaskich [...] Jeżeli opinia publiczna wielkich mocarstw anglosaskich zajmie zdecydowane stanowisko przeciw połączeniu państw Międzymorza z Sowietami, jest prawdopodobne, iż Rosja będzie zmuszona do wycofania się z całości lub części tych terytoriów. Polityka rosyjska musi więc być prowadzona w ten sposób, by w maksymalnej mierze oszczędzać opinię anglo-amerykańską [...]

Gdyby jednak Sowiety oświadczyły dziś wyraźnie, że pragną wcielić całą Polskę do ZSRR i wprowadzić w Polsce ustrój komunistyczny, reakcja byłaby tak silna, iż prawdopodobnie cały zamiar musiałby spełznąć na niczym. Wydaje się właśnie, że ta okoliczność jest kluczem do odcyfrowania polityki Sowietów w stosunku do Polski. Wzorem do tej polityki są niewątpliwie metody wypróbowane w roku 1939 i 1940 w stosunku do państw bałtyckich. Główne wytyczne tej polityki polegają na powolności w działaniu, na stopniowej penetracji i na początkowym zacieraniu różnic między zdecydowanymi zwolennikami unii z Rosją i zwolennikami dobrych stosunków, ale nie unii politycznej i społecznej [...]

Kiedy około r. 1930 pierwszy Murzyn wszedł do gabinetu francuskiego, w niemieckich pismach humorystycznych ukazały się karykatury przedstawiające prawdopodobny skład gabinetu francuskiego w najbliższych latach. W roku 1930 widać tam było mnóstwo brodaczy i wąsaczy białych i jednego czarnego. W r. 1935 już połowa była czarna, a druga połowa biała. Wreszcie w roku 1950 miał być już tylko jeden biały wąsacz a cała reszta czarna. Podobną ewolucję przechodzą rządy państw, które mają być wchłonięte przez ZSRR [...]

Skład „Patriotów" zdaje się wskazywać, że Sowietom zależy na wyrobieniu przeświadczenia, że nie dążą do wprowadzenia ustroju komunistycznego w Polsce, aczkolwiek rząd przez nich przygotowany ma być Rosji niezmiernie bliski.

Do tego samego celu służy to, co przedostaje się na zewnątrz ze stosunków panujących w dywizjach dowodznych przez pułk. Berlinga. Podkreślanie elementu religijnego, nabożeństwa kapelanów itd., ma na celu wyrobienie w szerokim świecie mniemania, iż nie ma to być armia komunistyczna, ale armia polska, pragnąca przyjaźni z Rosją Sowiecką [...] Następnym etapem w wysiłkach zmierzających do tego celu musi być jakaś forma połączenia między legalnym rządem polskim w Londynie, a bezwzględnymi zwolennikami unii polsko-rosyjskiej, a jeżeli by to się nie dało osiągnąć, podważenie w oczach Zachodu poczucia, iż nasz rząd legalny istotnie reprezentuje Polskę [...]

Nie potrzeba podkreślać, jak trudno by było w razie realizacji takiego planu zorientować się cudzoziemcowi, co się właściwie dzieje. Pozbawienie Polski niepodległości odbywałoby się tak powoli i tak stopniowo, że właściwie nie bardzo wiadomo, kiedy by się należało oburzyć. W rezultacie cały program mógłby zostać zrealizowany bez większego oporu czynników zachodnich.

Nasze zadania

Teraz nasuwa się pytanie, w jaki sposób my moglibyśmy utrudnić wykonanie tego planu.

Przede wszystkim musimy przeciwdziałać wprowadzeniu zamieszania i zatarciu wyraźnych granic między komunistami – zwolennikami połączenia z Rosją z jednej i prawdziwymi Polakami z drugiej strony. Zatarcie tych granic jest dziś jednym z najgłówniejszych celów polityki sowieckiej. Chodzi tu o anglosaską opinię publiczną, która w razie udania się tego manewru przestanie orientować się w postulatach polskich, w niebezpieczeństwach, które Polsce zagrażają [...]

Musimy sobie jasno zdawać sprawę, że przyszłość nasza zależy w dużym stopniu od postawy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Dlatego jest dla nas rzeczą zasadniczej wagi, aby nasi sprzymierzeńcy zdawali sobie sprawę, że wszystkimi siłami staramy się im dopomóc w walce z Niemcami i że twierdzenia sowieckie, jakoby Polacy sprzyjali „faszyzmowi" są zupełnym nonsensem [...]

Wreszcie, jeżeli pragniemy, aby nasze hasła polityczne znalazły jakiś oddźwięk na gruncie międzynarodowym, musimy je stawiać na płaszczyźnie bardziej uniwersalnej. Interes narodu polskiego jest dla nas czymś niezwykle ważnym i cennym, o wiele mniej jednak dla cudzoziemców, do których się zwracamy. Dla nich znaczenie ma pytanie, czy postulaty narodu polskiego są zgodne z ich interesem, nie zaś, czy odpowiadają jego interesowi. Dlatego jest rzeczą niezmiernie ważną, aby broniąc naszych spraw poruszać jednocześnie sprawy bliskich nam narodów, które znajdują się w podobnym albo w jeszcze gorszym położeniu, jak np. państwa bałtyckie i w ogóle państwa Międzymorza [...] ■

———————

Przedruk za „Orzeł Biały", 18 czerwca 1944, nr 107.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 97889736ca



Krzysztof Wołodźko



ROSJA JAKO PLAGA. AKTUALNOŚĆ KRASIŃSKIEGO

Jedno z najważniejszych pytań dotyczących Rosji rozpropagował w XIX wieku francuski arystokrata Astolphe de Custine. Brzmiało ono: „Czy to charakter narodu rosyjskiego ukształtował takich samowładców, czy też to właśnie ci samowładcy nadali taki charakter narodowi?”. Dla Zygmunta Krasińskiego naród i państwo rosyjskie wzajem niszczyły się i deprawowały: „Rosjanie są to potępieńcy tego świata. [...] Stąd ten u nich namiętny popęd podbojów; on jeden pozwala im zapominać o własnych mękach, bo daje nadzieję ucisku i cierpienia drugich”.

eprasa.pl 97889736ca

Słynne pytanie de Custine'a przywędrowało z głębin historii, co jeszcze lepiej uzmysławia jego znaczenie. Po raz pierwszy zadał je baron Zygmunt von Herberstein, dyplomata dworu Habsburgów, który dwukrotnie podróżował z misją do Księstwa Moskiewskiego (w 1517 i 1526 roku), na dwór wielkiego księcia Wasyla Iwanowicza. Kilkadziesiąt lat później w dziele „Rerum Moscoviticarum Commentarii" postawił pytanie, które przez wieki dręczyło rosjoznawców, filozofów dziejów, politologów. Niezależnie od udzielanych odpowiedzi sednem pytania było przekonanie, że w moskiewską/rosyjską naturę głęboko wżarta jest straszliwa despocja, rządy oparte na zniewoleniu poddanych.

Nie mniej ważne w XIX wieku było jeszcze jedno zagadnienie, które stało u podwalin pozytywnego mitu Rosji. Pruski ekonomista, baron August von Haxthausen, badacz ustroju agrarnego, stworzył wyidealizowany obraz archaicznej rosyjskiej wspólnoty gminnej, czyli „obszcziny". Haxthausen w znacznej mierze dał się uwieść rosyjskim słowianofilom, z którymi utrzymywał bezpośrednie kontakty. Opracowane w połowie XIX wieku tezy niemieckiego ekonomisty szybko stały się zarzewiem nośnych koncepcji zarówno wśród rosyjskich słowianofilów, jak i zapadników (okcydentalistów). Jedne skupiały się na uzasadnieniu odrębnej, rosyjskiej drogi rozwoju; drugie łączyły się z wczesnokomunistycznymi uniwersalistycznymi wizjami, wedle których lud rosyjski i rosyjski „komunizm agrarny" miały stać się nadzieją całej ludzkości. Z tezami von Haxthausena i ich interpretacjami polemizował choćby Henryk Kamieński, autor słynnej pracy „Rosja i Europa. Polska".

Głęboki cień imperium

Warto pamiętać o tej dwoistości zachodniego spojrzenia na Rosję, przystępując do lektury „Rosji", czyli antologii tekstów Zygmunta Krasińskiego poświęconych eurazjatyckiej despotii. Wyboru i opracowania tekstów dokonał Andrzej Fabianowski, historyk idei i biograf polskich romantyków. On również napisał erudycyjne posłowie do „Rosji", rozpoczynające się od wymownego zdania: „Głęboki cień imperium rosyjskiego kładł się na życiu Zygmunta Krasińskiego od kołyski". Ojciec wieszcza, Wincenty, zaczął znakomitą karierę u boku Napoleona. Jako generał brygady w 1812 roku ruszył z cesarzem Francuzów na Moskwę. Po klęsce Bonapartego, jak wielu polskich żołnierzy, wrócił na ojczystą ziemię. Aleksander I chętnie ich witał – ale ceną za łaskę rosyjskiego imperatora był serwilizm. Wincenty zabrnął weń daleko. Liczył na to, że syn pójdzie w jego ślady. Bohdan Urbankowski na kartach „Romantyzmu polskiego" przypomina, że w 1832 roku Wincenty przedstawił syna na carskim dworze w Sankt Petersburgu: „Młody poeta, do tego syn magnata, do tego kolaboranta, mógł poprosić o wszystko; kariera urzędnicza, dyplomatyczna, a nawet wojskowa – wszystkie drzwi stały przed nim otworem". Tymczasem Zygmunt, niemal chorobliwe posłuszny ojcu, tym razem przeciwstawił się jego ambicjom. Chciał tylko jednego – uciec z więzienia narodów. Poprosił o pozwolenie na wyjazd z Rosji. Pretekst był dobry – choroba oczu i konieczność jej leczenia za granicą.

Przenikliwe wizje nadchodzącego ze wschodu „najwścieklejszego socjalizmu, najdzikszej rzeczypospolitej, jaką świat oglądał" sprawiły, że w czasach PRL próbowano Krasińskiego strącić z piedestału. I odmówiono mu tytułu trzeciego wieszcza. Zbigniew Sudolski na kartach jego biografii mówi jednak, że to zbyt wielka postać, aby ją zapomnieć: „Głębokie poczucie tragizmu dziejowego, świadomość rozkładu współczesnej cywilizacji, profetyczne wizje zwycięstwa rewolucji i zagłady świata towarzyszyły stale Krasińskiemu w dramatycznej wędrówce przez życie. Był niezwykłym konserwatystą – przeczuwającym z lękiem nadchodzącą rewolucję i mającym świadomość zapadania się w bezpowrotną przeszłość jego świata, a jednocześnie potrafiącym w imię wyznawanych prawd moralnych, chrześcijańskich wartości, zdobyć się na rzadko spotykany obiektywizm, wielkoduszność przejawiającą się najczęściej w anonimowym wspieraniu finansowym ludzi różnych orientacji ideowych".

Nadzieją jest Rosja?

Rosja była dla Krasińskiego jednym z największych cywilizacyjnych wyzwań. I to nie tylko jako dla Polaka. Głęboka znajomość kulturowego dziedzictwa Europy, świadome zakorzenienie w chrześcijańskim uniwersum i wybitna inteligencja czyniły go prawdziwie europejskim intelektualistą. Warto jednak zwrócić uwagę, że Krasiński należał do tych, którzy wymykali się prostej dychotomii: kosmopolityzm czy sarmatyzm. Ważne było również arystokratyczne pochodzenie. Arystokratyzm, który w Polsce często dziś kojarzymy ze snobizmem, epigońskimi próbami odbudowy choćby cienia dawnego splendoru, wtedy był jeszcze czymś żywym i żywotnym. Magnackie tradycje, koneksje i obyczaje na dobre i złe wpływały na lo-

eprasa.pl 97889736ca

sy pokolenia Krasińskiego – jedni ciążyli ku nieobcym niestety magnaterii tradycjom narodowej zdrady; inni – jak poeta – uczynili z wysokiego rodowego pochodzenia fundament patriotyzmu i różnorakiej pracy na rzecz sprawy polskiej.

W XIX wieku popularna była wizja, wedle której porównywano czasy współczesne z upadkiem Rzymu. Poeci i myśliciele, pisarze i historycy, politycy i publicyści chętnie sięgali po wielkie historiozoficzne koncepcje – rzekomy zmierzch Zachodu porównywano ze schyłkiem cesarstwa rzymskiego. W Londynie, Paryżu, Berlinie, Rzymie, Warszawie, Sankt Petersburgu i Moskwie snuto analogie, sięgano po metafory Rzymu, Grecji, Wandali. Licytowano się na argumenty, mrzonki, nadzieje i rozpacze. Nie bez znaczenia było pytanie: „Kim są nowi barbarzyńcy?". Stawiano je również inaczej: „Kto ocali Europę przed rozpadem dawnych więzi społecznych i ustrojów politycznych, kryzysem chrześcijaństwa i chciwością kapitalizmu?". Jedna z popularnych odpowiedzi brzmiała: „Nadzieją jest Rosja".

Pouczająca jest w tym względzie lekcja, jaką na początku XIX wieku dał Europie Joseph de Maistre. Czternastoletni pobyt w Rosji wyleczył go skutecznie z mrzonek na temat tego państwa. Konserwatywny sabaudzki filozof polityczny i dyplomata wyruszał w podróż do Rosji przekonany, że znajdzie godną naśladowania monarchię i zachowawczy ustrój, którego lekcję z pożytkiem da się wykorzystać na Zachodzie. Wyjeżdżał stamtąd zniechęcony, jeśli nie przerażony. W jednym z listów zapisał zdania, które i dziś brzmią nader aktualnie: „Trudno byłoby mi opisać Panu obecny stan kraju: to ogromna armia, trochę chłopów i koronowany generał. Żadnej szlachty, żadnej grupy obywateli. Wewnątrz – absolutna anarchia. [...] Siedząc przy stole obok pewnej wybitnej postaci, powiedziałem: »Bardzo trudno powiedzieć, dokąd prowadzi nas ta niezliczona armia«. Odpowiedział mi: »Niestety, proszę pana, to już nie jest jedyny problem. Dochody państwa to 400 milionów i armia je pochłania w całości«. Wszyscy wielcy właściciele są zrujnowani przez wysiłek, do którego ich zmuszono".

▶ Nieustannie powracające złudzenia

Złudzenia co do Rosji powracały nieustannie. Dlatego kilkadziesiąt lat później Zygmunt Krasiński podjął podobne zadanie: ostrzegał współczesnych sobie przed imperium carów. Jego wiersze, poematy, dramaty, proza artystyczna, pisma polityczne i listy pełne są odwołań do wschodniej despotii i ostrzeżeń przed nią. „Rosja" daje nam doskonały, przeglądowy wgląd w twórczość autora „Irydiona" poświęconą państwu carów. Fabianowski podkreśla, że „Rosja, z którą na polu ideowym i historiozoficznym Krasiński walczył, była już gotowym, skończonym i spójnym wytworem najbardziej złowrogich pierwiastków w »chemii historii«. [...] Obie destrukcyjne siły, Rosja i rewolucja, w świadomości Krasińskiego przestały być siłami opozycyjnymi. Przeciwnie, zjednoczyły się, poczęły wzajemnie wspierać i wzmacniać ku zagładzie cywilizacji, religii, wartości europejskich".

Polski poeta doskonale wiedział, że do polityków trzeba mówić innym językiem niźli do artystów. Dlatego „pisanymi po francusku »Memoriałami« chciał wpłynąć na sposób myślenia i decyzje najważniejszych aktorów ówczesnej sceny politycznej". Kierował je do cesarza Francuzów Napoleona III, papieża Piusa IX i François Guizota, słynnego francuskiego historyka i polityka czasów monarchii lipcowej. Pisane w połowie XIX wieku memoriały Krasińskiego wydano w Warszawie i w Krakowie na kilka lat przed I wojną światową. Wydanie warszawskie było czterokrotnie krótsze od krakowskiego – rosyjska cenzura miała przy nich naprawdę dużo pracy. „Memoriały polityczne" poety były zakazane także w PRL – mogły ukazywać się jedynie w drugim obiegu wydawniczym. Podwójny atak – na Rosję i komunizm – nie mógł przejść bezkarnie w czasach tak zwanej demokracji ludowej.

Warto też pamiętać o pisanym w charakterystycznym dla tamtej epoki tonie piśmie politycznym „O stanowisku Polski z bożych i ludzkich względów", które wiele mówi o mesjanistycznej historiozofii Krasińskiego: „Polska poczęta w łonie Słowiańszczyzny i z niego urodzona na świat dziejów ludzkich. Jej stosunek do całej ludzkości ściśle spojon z jej stanowiskiem śród ludów słowiańskich. Naszym zdaniem ona najdobitniejszą wyobrazicielką losu im wszystkim wspólnego, ona ich dążeń zbiorowych najwyższym duchowym wykwitem. W niej te ludy mają świadomość swoją, w niej i przez nią obcują z człowieczeństwem i całą przyszłością".

▶ Z Rosji samo zło spływa na Polskę

Jedną ze znacznych zasług Krasińskiego jest to, że z o wiele większym dystansem niż Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki odnosił się do Andrzeja Towiańskiego. „Towianistyczny heroizm istnienia pociągał twórcę »Przedświtu«, choć odrzucił go jako propozycję nowej religii. Od początku odnosił

eprasa.pl 97889736ca

się krytycznie do działalności litewskiego proroka samozwańca, ale idee Towiańskiego i oddziaływanie »mistrza« na takie umysłowości, jak Mickiewicz i Słowacki, budziły nieodparcie jego zainteresowanie" – pisze Ewa Szczeglecka w artykule „Towianizm w świetle listów Zygmunta Krasińskiego". Była to jednak fascynacja przeniknięta zgrozą. Krasiński był pewien jednego: „Mam Towiańskiego dotąd za istotę zanadto potężną, by chciało się jej ajentować Moskwie na ziemi. [...] On nie Moskwy ajentem, ale wraz z Moskwą – piekła! [...] Niezawodnym to, że oś, na której wszystkie jego kręcą się rewelacje, jest, iż tylko Moskwa dobro Polsce przyniesie".

To cytat z listu do Władysława Zamoyskiego z 1851 roku. Poeta pisał go z uzdrowiska w Baden, najpewniej otoczony chmarą rosyjskich kuracjuszy, którzy upodobali sobie ten kurort. Napomknięcie o Towiańskim daje Krasińskiemu okazję do złożenia swoistego „wyznania wiary". Warto przytoczyć je w całości: „Ja zaś żyłem i umrę w wierze gorącej, iż samo zło z niej jedynie na Polskę spłynąć może, i to zarówno czy z niej carskiej, czy z niej ludowej! Innych albowiem stanów przypuścić dla Moskwy nie mogę: musi być albo w kształcie caratu, albo też w kształcie najwścieklejszego socjalizmu, najdzikszej rzeczypospolitej, jaką świat oglądał. Środka dla niej nie ma, równowagi nie ma, zestrojenia, harmonii nie ma i jej misją piekielną jest wiecznie być dla całej Europy tym samym zupełnie, czym we wnętrzu każdego państwa europejskiego jest demagogia – pierwiastkiem niszczącym, otruwającym, rozspołeczniającym! My dalej, jako niegdyś, świat od tego pierwiastka bronimy, bo to naszym było od wieków i pozostawa na wieki posłannictwem!".

„Doprowadzić ją do zupełnej niemocy"

Krytyka Rosji, jakiej dokonał Krasiński, jest o tyle ważna, że godzi zarówno w konserwatywne, jak i rewolucyjne mity dotyczące tego państwa. Z jednej strony autor „Nie-Boskiej komedii" nie miał złudzeń co do rosyjskiej sprawy ludowej – postrzegał ją jako niszczący żywioł. Z drugiej strony był pewien, że rosyjskie elity są przeniknięte nihilizmem i cierpią na swego rodzaju rozdwojenie, które doskonale rozpoznajemy także na początku XXI wieku: „Są dumne z ogromu i znaczenia państwa, w którym żyją, a jednocześnie głęboko zanurzone w kompleksie niższości, cywilizacyjnego zacofania i politycznego upodlenia". W memoriale do Napoleona III Krasiński wprost stwierdza, że rosyjski imperializm pozwala Rosjanom zapomnieć o własnych mękach – „daje im nadzieję ucisku i cierpienia drugich".

Tym dla Krasińskiego jest rzekomy konserwatyzm państwa rosyjskiego – wielowiekowym przyzwoleniem na niewolę: „Niech się nikt nie spodziewa, że wyrzeknie się jej kiedy czy [rosyjski – K.W.] rząd, czy [rosyjski – K.W] lud; nie wyrzekną się, bo to jest razem i forma ich bytu, i racja ich bytu". I tak konkluduje: „Jeżeli Rosja ma przestać być plagą, gotową zawsze spaść na Kościół, na cywilizację, na świat, to jest na to jeden tylko sposób: doprowadzić ją do zupełnej niemocy. Wszelki pokój, zawarty przed tym ostatecznym rezultatem, pogorszy tylko sytuację i popchnie nieprzyjaciela do nowych i straszniejszych wysileń [...]. Poda rękę wszystkim tajnym stowarzyszeniom, wszystkim konspiracjom i skrytym konszachtom. Będzie je opłacał swoim złotem, a popierał swoimi intrygami".

Rosja była dla Krasińskiego jednym z największych cywilizacyjnych wyzwań. I to nie tylko jako dla Polaka.

Krasiński nie mówi do nas językiem współczesnego socjologa, politologa, filozofa polityki. A jednak to jego intuicje, pisane często z emfazą, pełne religijnych i metaforycznych odwołań, są o wiele bardziej trzeźwe niźli rzędy rosjoznawczych prac, które powstały w Polsce i na Zachodzie w ostatnich dekadach. Głęboko historyczny, etyczny i cywilizacyjny zmysł poety dał mu niebagatelną przewagę nad fałszywymi prorokami, piewcami końca historii, którzy karmili świat fałszywymi obietnicami i metapolitycznymi kołysankami dotyczącymi Moskwy. To „Rosja" Krasińskiego jest prawdziwa. ■

_____

Zygmunt Krasiński, „Rosja. Antologia", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

eprasa.pl 97889736ca





Krzysztof Karnkowski

Filip, Tyrmand i... Filip

„Filip" swą premierę miał 3 marca tego roku i polskie kina wziął szturmem. Nic dziwnego, pod względem realizacji, aktorstwa, charakteryzacji, scenografii, muzyki – film jest dziełem kompletnym.

eprasa.pl 97889736ca

W pierwszym tygodniu od premiery, „Filipa" obejrzało w kinach prawie 55 tys. widzów, co na start dało filmowi pierwsze miejsce w polskim box office. Tydzień później widzów było już łącznie trzy razy tyle, choć na liście kinowych bestsellerów adaptacja Tyrmanda ustąpić musiała weekendowym pewniakom, „Wróżce Zębuszce" dla widowni dziecięcej i szóstej części „Krzyku", najważniejszej chyba serii horrorów naszego stulecia. Podejrzewam, że gdy będą Państwo czytać ten tekst na papierze, te wyniki będą dużo lepsze, mamy bowiem do czynienia z niewątpliwym wydarzeniem. „Filip" zbiera na ogół bardzo dobre opinie, a promocję (która niewątpliwie mogłaby być lepsza) uzupełnia szeptany marketing zachwyconej publiczności.

Wiarygodność ludzi, wiarygodność lokacji

„Filip" już we wrześniu ubiegłego roku, na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, zgarnął dużą pulę nagród. Dariusz Krysiak otrzymał nagrodę za charakteryzację, Michał Sobociński za zdjęcia, a film otrzymał Srebrne Lwy, przegrywając tylko z „The Silent Twins" Agnieszki Smoczyńskiej. Tę listę honorów uzupełnia nagroda im. Zbyszka Cybulskiego dla młodego aktora, którą otrzymał odtwórca tytułowej roli, Eryk Kulm jr. Lista ta nie jest na pewno zamknięta, wszystkie nagrody są natomiast zasłużone. Kulm, zbierający wszędzie pochwały, jest autentyczny i przekonujący, jest też wystarczająco podobny, by odgrywać bohatera, mającego przeżywać przygody oparte na życiorysie samego Leopolda Tyrmanda, który do życia go powołał, i wygłaszać przemyślenia będące odbiciem myśli pisarza. Ta wiarygodność rozciąga się też na ludzi, w których otoczeniu funkcjonuje Filip – międzynarodową ekipę kelnerów, których los i polityka Rzeszy rzuciły do hotelu we Frankfurcie nad Menem, niemiecką „górę", oficerów, wreszcie tak ważnych w opowieści kobiet, młodych buntowniczek i usychających dosłownie i w przenośni żon walczących na froncie oficerów, zbrojnej awangardy rasy panów.

Ta wiarygodność rozciąga się jednak również na lokacje – udającą świetność w czasach powszechnej reglamentacji restaurację hotelową, biedne pokoiki, w których gnieżdżą się kelnerzy, równie kluczowy w tej historii basen, miejsce łowów Filipa i jego przyjaciela Piotra, wreszcie mieszkania i pokoje odwiedzanych Niemek. Scenografia zasługuje na kolejną nagrodę. Nie jest to dziełem przypadku, filmografia Michała Kwiecińskiego, reżysera filmu, zawiera już kilka, czasem bardzo udanych, produkcji dotyczących czasów II wojny światowej. Na koncie ma Kwieciński m.in. film „Jutro idziemy do kina" czy seriale „Bodo" i „Czas honoru" (wybrane odcinki), można więc uznać, że wyspecjalizował się w pokazywaniu tego czasu, co pozwoliło mu całe doświadczenie zebrać w dziele wybitnym.

Opisując postaci i miejsca, powiedziałem już dużo o samej opowieści. Filip, którego poznajemy, gdy w getcie traci w straszny sposób ukochaną, ląduje (w sumie nie za bardzo wiemy, w jaki sposób) w niemieckim hotelu. Tam próbuje żyć najpełniej, jak się da – je i pije, jak tylko da się jeść i pić w czasach wojennego niedoboru (ale, jak można się domyślić, cwany kelner sobie poradzi, zwłaszcza że nie ma zbytnich wyrzutów sumienia, podkradając wino czy kartki żywnościowe Niemcom), korzysta też z innych uciech. Sytuacja, w której zabronione są kontakty seksualne nieczystych rasowo cudzoziemców i blondwłosych na ogół Aryjek, lecz te ostatnie są w nie mniejszej potrzebie, gdy mężowie i chłopcy biją się za Rzeszę i Hitlera tysiąc i więcej kilometrów dalej, rodzi wiele napięć. Prowadzi to do krótkotrwałego spełnienia, może też jednak zawieść na szubienicę. Dla samego Filipa, co długo wydaje się główną osią filmu, jest okazją do swego rodzaju zemsty, zdobyte Niemki zostawia rozbite i upokorzone złym słowem.

W pewnym momencie jednak na tę prawie idealną jak na te warunki egzystencję paść musi cień wojny. W hotelu wyląduje nagle dawna koleżanka z Warszawy, mogąca dekonspirować żyjącego jako Francuz bohatera, gestapo zabija jednego z kolegów za kontakty z Niemkami, zaczynają dziać się rzeczy naprawdę straszne, a finalnie, wraz ze spadającymi na miasto bombami aliantów, wejdzie w to wszystko jeszcze zgrabny wątek szpiegowski. Aby lista składników była pełna, pojawią się też rozterki związane z jedną z młodych Niemek, która będzie na tyle inna niż jej otoczenie, by stać się problemem dla uczuć i sumienia Filipa.

Dzieło kompletne

Nie chcąc opowiadać wszystkiego, na tym zakończę część poświęconą opisowi akcji. Kinowi ojkofobi chwalą „Filipa", mówiąc, że ogląda się go tak, jakby nie był filmem polskim. To złudzenie może potęgować fakt, że aktorzy cały czas posługują się językami potrzebnymi w danej sytuacji. Rozmowy toczą się prawie zawsze po niemiecku i francusku, polskiego nie usłyszymy tu za wiele. Towarzyszy on tylko kilku scenom, choć są to ujęcia kluczowe dla akcji. A jednak przecież i sam Filip, uważający się za Żyda i Polaka (więc za kogoś, kogo

eprasa.pl 97889736ca

formuła „polski Żyd" nie opisuje w pełni), i jego losy są przez Polskę właśnie determinowane, z Polski wyszedł i do Polski będzie chciał powrócić.

A film? Jest – pod względem realizacji, aktorstwa, charakteryzacji, scenografii, muzyki – dziełem kompletnym. Można już takie filmy robić polskimi siłami i tylko się z tego cieszyć. Niektórzy mają też problem z faktem, że producentem i dystrybutorem obrazu jest TVP. Stąd niekiedy opozycyjni krytycy próbują mimo wszystko pisać o „Filipie" źle, trafiają jednak w próżnię. Inni samooszukują się, że władze telewizji nie wiedziały pewnie, na co dają pieniądze. Jest to kompletna bzdura, zważywszy na fakt, że ważne dziś w TVP środowisko dawnej hipster-prawicy to właśnie Tyrmanda uważało za swego patrona. Co więcej, „Filip" wpisuje się w polską politykę historyczną, przypominając, choć idzie inną od tradycyjnych drogą, okrucieństwo Niemców wobec hatera na ekranie zaczynają się w getcie, z którego jednak trochę zbyt na skróty przechodzi, wręcz teleportuje się do bezpiecznego (do czasu) Frankfurtu, w książce mamy świat Wileńszczyzny, na swój sposób pokrewny opisom innego wielkiego pisarza tamtego i trochę wcześniejszego czasu, Sergiusza Piaseckiego. Mamy więc zastąpienie światów i początków opowieści, zmianę motywacji czy, na co zwraca uwagę sporo piszący o „Filipie" na swoim Facebooku Wojciech Mucha, odarcie narratora tej historii z przemyśleń, towarzyszących choćby dwuznaczności jego sytuacji jako obcego w bombardowanym mieście, zarazem sojusznika i ofiary aliantów, towarzysza niedoli i ofiary poddanych atakowi Niemców. „[...] dotarło do mnie – bije się z myślami, obserwujący płonące niebo Filip powieściowy – z przeraźliwą jasnością, że żaden Jurek czy Kazik, czy ktokolwiek bądź, tam na górze, pojęcia nie

„Filip" już we wrześniu ubiegłego roku, na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, zgarnął dużą pulę nagród.

nie tylko Polski, lecz także całej Europy. Może więc warto, by niektórzy porzucili swój obraz Telewizji Polskiej oparty wyłącznie na politycznych uprzedzeniach? Z drugiej strony ta powszechna pozytywna ocena filmu jest sama w sobie miarą jego sukcesu, często bowiem płynie właśnie ze środowisk, dla których pochwała czegokolwiek opatrzonego logiem znienawidzonej stacji musi być szalenie kosztowna.

▶ Nie najgorsze zmiany

Na koniec nie sposób uciec od jedynej kwestii, w której można mieć do filmu uwagi. Znawcy książki zwracają uwagę na zmiany nie tylko samej treści, uzasadnione przenoszeniem opowieści z kart książki na ekran, lecz także zmianę co najmniej akcentów w motywacjach bohatera, zwłaszcza w kontekście jego erotycznej krucjaty. Być może wymagała tego dramaturgia, Tyrmand jako postać historyczna w Filipie ekranowym na tym stracił, za to film zyskał, nie tylko przecież uzasadnione liczne i dość dosłowne sceny seksu, lecz także pewien uniwersalizm postaci. Losy bohatera, że ja jestem sercem z nimi, mimo iż siedzę tu, na dole, na Karmelitergasse, i tu, na dole, są ze mną Hella i Piotr, o których drżę i coś we mnie skowyczy na myśl, że mogłoby im się coś stać; że w drugiej linii bardzo, ale to bardzo obawiam się o pana Brütscha, który jest naprawdę porządnym człowiekiem, o baronową, która świadczyła mi bezinteresowne, rzetelne usługi, o Savina, Vesselego, Marcela i Juppa, który jest w gruncie rzeczy poczciwym chłopcem i dobrym kolegą, chociaż Niemcem, o moje parę książek, butów i krawatów, do których jestem bardzo przywiązany i które zdobyłem ciężką pracą i jeszcze cięższą pogonią za tym, co mi się naprawdę podoba".

Film skupia się na innych emocjach, zawartych raczej w kilku strzałach i kilku ujęciach, których nie sposób nazwać scenami miłosnymi. Trudno mi te wszystkie zmiany jednoznacznie ocenić, niemniej wydaje mi się, że osoby, które dopiero sięgną po książkę skuszone ekranizacją, będą w trochę lepszej sytuacji niż stanowiący pierwszą grupę widzów czytelnicy i znawcy Tyrmanda. Ponieważ jednak mamy do czynienia z filmem wybitnym, po wszystkim zadowoleni powinni być jedni i drudzy. ■

eprasa.pl 97889736ca

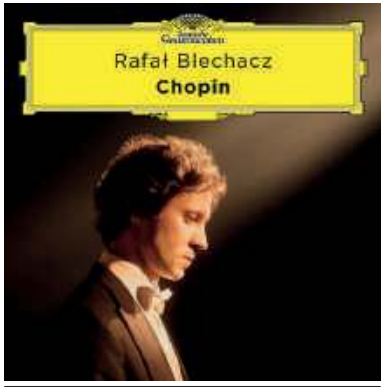
Marek Kalinowski

Wokół Chopina

Zwycięzca XV Konkursu Chopinowskiego, Rafał Blechacz, po dziesięciu latach przerwy od Chopina, powraca do studia nagraniowego z utworami polskiego kompozytora. Tym razem otrzymujemy w jego wykonaniu dwie wielkie Sonaty: b-moll i h-moll z dodanymi do nich Nokturnem fis-moll i Barkarolą. Pianista z pewnością nie uniknie porównań do najbardziej znanych wykonań, ale także tych własnych, które w 2005 roku przyniosły mu światową sławę.

W jak wielkim stopniu wygrana w konkursie chopinowskim determinuje dalszą drogę artystyczną, można by rozważać na wielu płaszczyznach. Z jednej strony to niemal gwarancja kontraktu z najbardziej prestiżową wytwórnią Deutsche Grammophon oraz dostęp do publiczności całego świata, a z drugiej, oczekiwanie słuchaczy i nieustanna potrzeba powrotu do dzieł Fryderyka Chopina, utworów, które już zaabsorbowały tak wiele pracy, emocji i myśli.

W twórczości Rafała Blechacza na pewno nie brakuje różnorodności. Znajdziemy tu wielokrotnie nagradzane nagrania Debussy'ego i Szymanowskiego, a także uwielbiany przez publiczność duet z koreańską skrzypaczką Bonsori Kim. Jest również album poświęcony twórczości Bacha, pierwszej muzycznej miłości Blechacza. Dzieła zarówno Bacha, jak i Beethovena pianista równie chętnie uwzględniał w repertuarze recitalowym. A jednak w centrum uwagi wciąż znajduje się muzyka, która zapoczątkowała jego światową karierę.



Rafał Blechacz, CHOPIN, Deutsche Grammophon

Chopin był oczywistym debiutem Blechacza w hanowerskiej wytwórni. Nagrane za namową Krystiana Zimermana preludia ukazały się już dwa lata po brawurowym wykonaniu na konkursie chopinowskim. Kolejny album z dziełami polskiego kompozytora zawierał dwa koncerty fortepianowe, a po nim, znów z kilkuletnim odstępem, polonezy. Choć Chopin wciąż był obecny w koncertowym repertuarze, na najnowszą płytę trzeba było czekać aż 10 lat. Wreszcie jednak ukazały się nagrania Sonaty b-moll połączonej z Nokturnem fis-moll i Sonaty h-moll zamkniętej Barkarolą.

O ile Sonata h-moll od dawna obecna była w repertuarze pianisty, Sonata nr 2 długo czekała na swoją kolej. Jak dowiadujemy się z wypowiedzi artysty, plany fonograficzne były zupełnie inne, a ponowne zmierzenie się z sonatami wymusiła sytuacja zewnętrzna. To czas pandemii okazał się właściwym momentem, w którym pianiście udało się odnaleźć klucz do Sonaty b-moll, której wszak główną część stanowi „Marsz żałobny".

Jak zmieniła się przez lata, wykonywana przez Blechacza Sonata h-moll? Oczywiście dla porównania możemy sięgnąć po konkursowe nagrania z 2005 roku, ale już sam artysta przyznaje się do znacznie większej odwagi w wyrażaniu emocji. Jego gra po wielu latach nowych doświadczeń na pewno się zmienia, to oczywiste. Wystarczy jednak choćby na chwilę odtworzyć finał tego samego utworu w rozdzierającym serce wykonaniu Marthy Argerich, by dostrzec różnicę. Rafał Blechacz wciąż pozostaje niezwykle uważnym, czułym i precyzyjnym artystą, ale też nie tak łatwo wpadającym w podniosłe nastroje. I bardzo dobrze, bo taki odbiór Chopina dla wielu słuchaczy będzie właściwy. Na tym polega cała przyjemność obcowania z muzyką, że każdy z wykonawców przynosi coś zupełnie innego, a odkrywanie tych różnic i wybór właściwych dla siebie, to właśnie największa muzyczna przygoda. ■

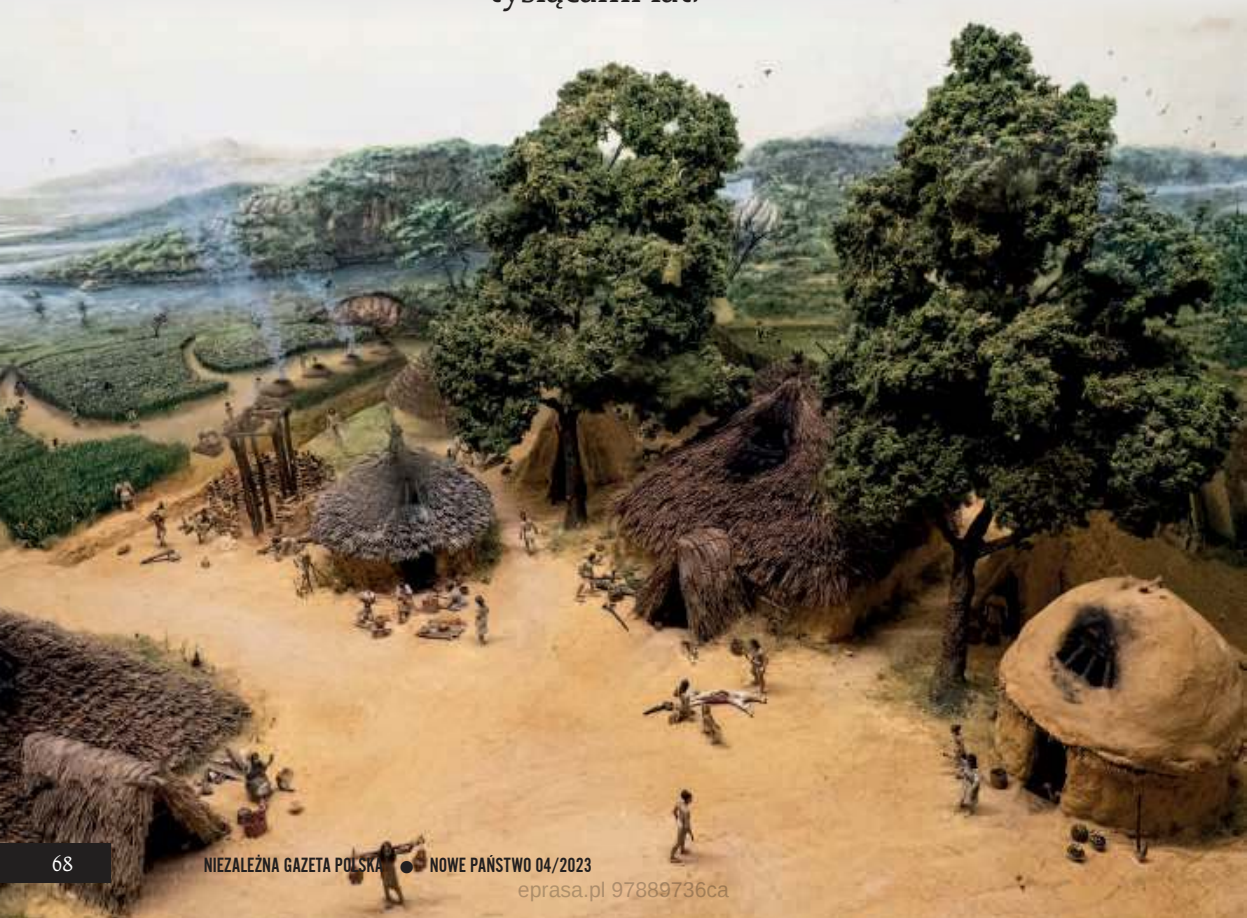
eprasa.pl 97889736ca



Jakub Augustyn Maciejewski

ROLNICTWO JAKO ZBRODNIA PRZECIWKO LUDZKOŚCI

To nie jest żart – ostatnie dyskusje zachodnich antropologów i archeologów sprowadzają się do wniosków, że ludzkość powinna porzucić państwa, miasta, a nawet rolnictwo i znów polować w lasach na dziką zwierzynę, żyjąc jak łowcy i zbieracze przed tysiącami lat.



eprasa.pl 97889736ca

Autorami takich tez są nietuzinkowi autorzy – czytani, rozpoznawani i tłumaczeni na dziesiątki języków. Taki Yuval Harari jest jednym z najpopularniejszych autorów współczesnego świata, inni – jak na przykład David Graeber i David Wengrow – rzucili wyzwanie całej obecnej archeologii, przekonując, że świat już dawno poszedł w złą stronę i trzeba go rewolucyjnie, totalnie naprawić. Cały ten nurt humanistów bierze na celownik na przykład decyzję człowieka o rozpoczęciu uprawy zbóż – Harari nazywa to pierwszą zbrodnią ludzkości w dziejach.

Nowa historia wszystkiego

Żeby było jasne – Graeber i Wengrow to nie są bagatelni badacze. Ich prace to naukowe badania wspólnot ludzkich na wiele wieków przed wynalezieniem pisma, a więc przed rozpoczęciem się historii właściwej. W najnowszej książce „Narodziny wszystkiego. Nowa historia ludzkości" przyglądają się rdzennym ludom Ameryki sprzed Krzysztofa Kolumba albo wspólnotom w Europie, Azji czy na Bliskim Wschodzie, sięgając nawet do przykładów sprzed 10 tysięcy lat. Ich interpretacja odkryć archeologicznych jest fascynująca, świeża i pełna różnych perspektyw – gdy jednak przekuwają oni to na współczesne wnioski, to zaczyna się tworzenie komunistycznych manifestów nie mniej radykalnych niż ten marksistowski. Oni sami zresztą pozytywnie wyrażają się o marksizmie, o tezach Engelsa, patrzą też po marksistowsku na religie, zwłaszcza monoteistyczną, a w niej – chrześcijańską. O „Księdze Rodzaju" piszą, że jest pełna nienawiści wobec kobiet, a o katolickim duchowieństwie mówią w znanych nam oświeceniowych stereotypach. Jednak stereotypy dotyczące pierwszych tysiącleci ludzkości kwestionują oni z otwartym umysłem, odkrywając na nowo dzieje człowieka – i to naprawdę jest warte omówienia.

Przede wszystkim Graeber i Wengrow stawiają jedną wielką tezę, z której wynikają dziesiątki pomniejszych: ludzkość przed wynalezieniem pisma i przed zastosowaniem na wielką skalę rolnictwa była równie różnorodna, świadoma i upolityczniona, jak i czasy historyczne, po wynalezieniu pisma. Intelektualiści kruszą wizerunek „człowieka pierwotnego" jako „szlachetnego" czy „głupiego" dzikusa i twardo kwestionują pogląd, że zbieracze i łowcy, koczownicy pierwszych tysiącleci istnienia homo *sapiens* żyli jak zwierzęta i mieli nikłą społeczną świadomość. Opisują oni więc bardzo wiele wariantów ustrojów tamtejszych społeczności: coś jak monarchie, republiki, dziesiątki wariantów anarchii i klanów, odkrywają zupełnie nowe relacje międzyludzkie, które dziś są trudne do wyobrażenia – na przykład bardzo ludne miasta, którymi nikt nie zarządza. Autorzy „Nowej historii..." wręcz oburzają się, że my, ludzie XXI wieku, ale też nasi przodkowie ostatnich 300 lat, uzurpujemy sobie prawo do oceniania historii z perspektywy budowniczych państw, biurokracji, tyranii, podatków i własności prywatnej, gdy ich zdaniem ludzkość miała wiele opcji ułożenia stosunków społecznych, a po prostu wybrała ten jeden, znany nam dzisiaj.

Jak „dzicy" ucywilizowali Europę

Dzieje świata wedle Graebera i Wengrowa prezentują się więc następująco: ludzie rozwijali się na dziesiątki sposobów, tworzyli wspólnoty, kultury, cywilizacje, klany itd., aż w końcu wynaleziono pismo, wybrano uprawianie ziemi jako najważniejszy sposób pozyskiwania pożywienia, po czym zaczęła się dominacja jednej wizji polityki: tworzenie państw, władz, imperiów i systemów administracyjnych. Gdy ta koncepcja zwyciężyła w Europie i Azji, ludzie ze Starego Kontynentu odkryli obie Ameryki i tam zetknęli się z cywilizacją inną niż ta rolnicza i państwowa: z rdzenną ludnością o rozmaitych ustrojach. Teraz autorzy „Nowej historii..." formułują jeszcze bardziej zaskakujące tezy: zetknięcie się Europy i świata przedkolonialnego intelektualnie eksplodowało w postaci pojawienia się oświecenia! Jak to możliwe? Otóż badacze odkryli, że twórcy ideowych prądów XVIII wieku byli zafascynowani koncepcjami przekazanymi im przez Indian różnych części świata zaatlantyckiego. Przełomem miało okazać się przywiezienie do Francji indiańskiego filozofa (sic!) Kandiaronka, któremu Europa miała się bardzo nie spodobać. Myśliciela z Ameryki miał poznać żołnierz Lahontan, który później spisał dialogi z tym osobliwym intelektualistą, czym rozpoczął wędrówkę koncepcji pozaeuropejskich do elit intelektualnych Europy. Kandiaronk miał uważać nasz kontynent za dziwaczny, państwa za niepotrzebne, władze (na przykład francuską) za okrutną, system pracy za niewolniczy. „Trudno mi sobie wyobrazić, jak moglibyście być bardziej nieszczęśliwi niż jesteście. Jaki człowiek, jaka istota – chyba tylko Europejczycy – musi być przymuszana do robienia dobra i powstrzymać się przed czynieniem zła jedynie z obawy przed karą". Z tej mowy wynika, że dosłownie cały system wartości i wyobrażeń o świecie, człowieku i relacjach międzyludzkich jest w Europie ślepym zaułkiem, który prowadzi do niewoli. Indianin tłumaczy więc Lahontanowi: „Zauważyłeś, że u nas brak sędziów. Z jakiego powodu? Nigdy się nie pozywamy.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 97889736ca

A dlaczego nigdy się nie pozywamy? Cóż, bo postanowiliśmy ani nie przyjmować, ani nie wykorzystywać pieniędzy" – mędrzec więc po kolei wylicza, co jego zdaniem w naszym świecie jest bez sensu: prawa, urzędnicy, podatki, pieniądze, armie, kapłani – dosłownie wszystko.

Graeber i Wengrow idą jeszcze dalej – uważają, że dziesiątki kluczowych autorów XVIII-wiecznej Europy zetknęło się z różnymi egzotycznymi punktami widzenia i naprawdę zaczęło się zastanawiać, czy współczesna im Europa z królestwami, armiami i dworami ma po prostu sens. I tak oto powstawały dzieła, w których oświeceniowi filozofowie wprowadzali do dialogu tajemniczych rozmówców z daleka, aby przeforsować właśnie nie nowoczesne autorskie koncepcje, ale aby przekazać odkryte poza Starym Kontynentem wartości. „Monteskiusz wybrał Persa, markiz d'Argens Chińczyka, Diderot Tahitańczyka, Chateaubriand Naczeza, a »Prostaczek« Woltera był pół-Wandyotą [czyli zapewne Kandiaronkiem! – przyp. J.A.M.], pół-Francuzem" – czytamy w „Nowej historii...". W ten sposób autorzy odwracają historię – to nie Europa przyszła ze swoją wyższością do kolonizowanych ziem, lecz to kolonizowane ziemie zaszczepiły w Starym Świecie swoje idee, które wybuchły w oświeceniu, rewolucji francuskiej, a dzisiaj w lewicowych koncepcjach człowieka. Takie postawienie sprawy nie jest aż tak rewolucyjne – badacz cywilizacji i „historiozof wszech czasów" Arnold Toynbee także twierdził, że gdy jedna, dominująca cywilizacja zaczyna zbyt wiele przejmować od podbitych przez siebie ludów i kultur, to zaczyna wewnętrznie pękać. Ale o autorach tych tez o prehistorii ludzkości trzeba rozpatrzeć pod dwoma aspektami: ich twierdzeń naukowych oraz ich wniosków ideologicznych.

▶ Stereotypy naukowe

Autorzy uważają na przykład, że termin „prehistoria" jest nieadekwatny i że dyskryminuje tysiące lat dziejów człowieka. „Termin »prehistoria« wszedł do powszechnego użycia dopiero po odkryciach w jaskini Brixham w Devon w 1858 roku, gdzie obok pozostałości niedźwiedzia [...] znaleziono siekiery kamienne, które mogły być stworzone tylko przez człowieka". Chodzi o to, że przed 1858 rokiem uważano cywilizacje Sumerów czy Egipcjan za początek historii, a tu nagle, „odpadło dno historii ludzkiej" i trzeba było okres działalności *homo sapiens* wydłużyć – stąd dodanie całej epoki, nazwanej prehistorią. Graeber i Wengrow kwestionują też inne terminy współczesnego dyskursu. Drwią z podziału (zaproponowanego w 1962 roku) rozwoju wspólnot na etapy: gromady, plemiona, wodzostwa i państwa. Opisują dziesiątki przykładów, gdy los jakiejś społeczności szedł inną drogą, na przykład powstawało państwo, które potem przekształcało się w anarchizujące, egalitarne gromady. Obalają teorię Roberta Braidwooda z 1957 roku, że prehistoryczni zbieracze i łowcy żyli właściwie jak zwierzęta, walcząc o byt i o ledwo starczające wyżywienie. „Badania ilościowe – piszą – obaliły takie twierdzenia. Wykazały, że w nawet dość niegościnnych rejonach, takich jak pustynie w Namibii czy Botswanie, zbieracze mogą z łatwością nakarmić wszystkich członków swojej grupy i mieć trzy do pięciu dni tygodniowo na zwykłe ludzkie zajęcia, jak kłócenie się, granie w gry, tańczenie czy plotkowanie". Z tej konstatacji znowu przebija przekonanie, że tacy łowcy czy zbieracze mieli więcej wolności (na przykład wolnego czasu) niż my, którzy pracujemy pięć–sześć dni w tygodniu, by w siódmym teoretycznie odpoczywać, a *de facto* załatwiać inne, pozazawodowe sprawy. Autorzy „Nowej historii..." nie zgadzają się też na podział Lewisa Henry'ego Morgana z 1857 roku, w którym ludzkość szła drogą od dzikich przez barbarzyńców do cywilizacji.

I na kilkuset stronach przyglądają się kolejnym przykładom bujnym grupom prehistorycznym, które znajdywały nowatorskie jak dla nas rozwiązania społeczne. Podajmy kilka z nich. Na dzisiejszych terenach Mołdawii i południowo-zachodniej Ukrainy badania archeologiczne zajmują się tzw. megastanowiskami Talianki, Majdanieckiego i Niebieliwki. Owe megastanowiska to właściwie pierwotne miasta, ale z analizy znalezionych resztek osady wynika, że choć żyły tam tysiące ludzi jednocześnie, to nie było tam hierarchii i zarządzania znanego ze znanych nam miast. Co więcej, owe megastanowiska były zaludnione 6 tysięcy lat temu, a więc na długo przed opisanymi miastami Mezopotamii i starożytnego Egiptu! To, co więc znamy z Bliskiego Wschodu, nie jest jedyną możliwą drogą ewolucji ludzkiego osiedlania się w jednym miejscu, skoro nieopodal Morza Czarnego w tym samym czasie ludzie stworzyli sobie inną cywilizację i dobrze się w niej mieli. „Wysoce egalitarna organizacja jest możliwa na skalę miejską" – przekonują autorzy.

▶ Porzucenie rolnictwa, państwa i cywilizacji

Fascynującym przypadkiem jest z kolei cywilizacja Cahokia w stanie Illinois w USA. Tysiąc lat temu miała tam istnieć wielka miejska społeczność, tzw. państwo zbożowe, bowiem uprawiające różne rośliny i handlująca ich plonami z odległymi grupami ludności. W XIV wieku, a więc 150 lat przed Kolum-

eprasa.pl 97889736ca

bem, ludność jednak miała dość zmieniającego się, ewoluującego ustroju Cahokii – zdaniem autorów rolnictwo prowadzi przecież do despotycznego państwa, zatem i tym razem tak się miało stać wśród rdzennych Amerykanów. Wtedy to grupy miały się zbuntować, obalić władzę i porzucić te tereny, pozostawiając do dziś świecące pustkami ruiny. To miałoby pokazywać, że ludy tzw. pierwotne znały na przykład rolnictwo, umiały uprawiać rośliny, robiły to często dla zabawy, dla rekreacji, sezonowo, po to, by urozmaicić sobie codzienność albo dietę, ale wiedziały, że systemowe uprawianie roślin przynosi dosłownie niewolę, bo wymaga stworzenia infrastruktury, nadzoru, handlu, podatków i wielu, wielu innych narzędzi opresji. Rolnictwo jako zbrodnia! Potwierdza to Harari, przez Graebera i Wengrowa krytykowany za wiele rzeczy, ale zgodny z nimi w tym wypadku: ludzie mieli, jego zdaniem, bogatszą dietę i mniej pracy przy polowaniach i zbieraniu dzikich roślin niż przy pracy na roli i hodowli bydła. Harari sugeruje, że uprawa pszenicy na Bliskim Wschodzie, ryżu w Chinach czy ziemniaków w Ameryce Południowej były jak zawarcie paktu z diabłem – podpisanie się pod długą listą kroków prowadzących do niewoli – wytworzenia się państw w obecnym wymiarze. Przy tym autorzy „Nowej historii…" podkreślają, że gdy ludy tzw. prehistoryczne próbowały systemowego rolnictwa, to wolały go później porzucić. I – ich zdaniem – miały rację. Przeciwko rolnictwu wytaczają jeszcze inne argumenty: „nawet w tych ramach oparte na zbożu królestwa były kruche, zawsze mogły się zapaść pod ciężarem przeludnienia, zniszczeń endemicznych, które pojawiają się zawsze, gdy w jednym miejscu pojawi się zbyt wiele osób, udomowionych zwierząt i pasożytów".

Z kart opowieści obu intelektualistów wyłania się barwny świat prehistorii – kilku tysięcy lat rozmaitych ustrojów, bitew, historii, zamachów i różnie zarządzanych wspólnot, które często – ich zdaniem – nie znały pojęcia własności ani hierarchii. Przy różnorodnych poglądach politycznych autorów, warto docenić tę rewolucyjną tezę naukową: nasi przodkowie przed egipskimi piramidami i Kodeksem Hammurabiego też byli ludźmi, też mieli swoje głębokie przemyślenia i rozmaite życiorysy, w niczym nieustępujące naszym, a jedynie po prostu nie pozostawili po tym zapisków, zdjęć czy zabytków architektury.

▶ Ludzkość zbłądziła?

Jeśli pradziadowie mieli takie elementy wspólnoty jak rolnictwo, hodowla zwierząt czy króla lub radę starszych (republika), to było to przejściowe, opcjonalne, a czasem nawet sezonowe. Skosztowali tego co dla nas oczywiste i obowiązkowe (państwo, władza, podatki), ale zdecydowali się to porzucić. I tak na przykład – znowu Indianie – ludy Czejenów, Wron, Assiniboinów i Lakotów miały królów, ale tylko na jedną porę roku. Zbierały się w jednym miejscu i oddawały się pod rozkazy charyzmatycznej jednostki, spełniając jej poważne polecania dotyczące budowy osad czy zachcianki w postaci zabaw czy podarków z żywności albo biżuterii. Wódz rządził nimi twardo, ale gdy kończył się jego czas – na przykład wraz z nadejściem lata – stawał się nie tylko zwykłym członkiem gromady, lecz czasem nawet pośmiewiskiem, błaznem, jakby równoważono jego wcześniejszą mocną pozycję. W innych plemionach, zwłaszcza Ameryki Południowej, Graeber i Wengrow odnaleźli inny model panowania – król był absolutny, ale tylko w zasięgu swojego wzroku i głosu. Gdy kogoś widział, mógł zażyczyć sobie najbardziej dziwacznych działań, mógł kazać kogoś pobić, ale poza swoją osadą, poza miejscem jego przebywania nikt nie musiał słuchać poleceń władzy, które przekazywałby jakiś urzędnik czy posłaniec. Nic dziwnego, że w pobliżu władcy nie bardzo kto chciał mieszkać. Ważne jednak, by podkreślić, że „Nowa historia…" zakłada po prostu pluralizm form współżycia społecznego, plasując nasz model życia w państwach narodowych jako jeden z wielu, wielu wariantów, który wcale nie był taki oczywisty i konieczny. I ta opowieść o różnorodności ludzkiego podejścia do władzy jest fascynu-

> Zdaniem autorów jeśli ludy z Cahokia zanegowały uprawę ziemi, bo porzuciły swoje domy i miasta, to znaczy, że cały dorobek rolnictwa jest nowotworem cywilizacji.

eprasa.pl 97889736ca

jąca – ale wnioski, jakie autorzy wysnuwają, są już kategorycznie nieracjonalne.

Badacze idą w ślad za ludźmi oświecenia, zwłaszcza Rousseau, że skoro dawni ludzie tak żyli, to znaczy, że jest to wzorem dla nas. Jeśli nie chcieli żyć w państwach – to znaczy, że państwo jest złe, jeśli nie mieli armii czy hierarchii, to znaczy, że i dziś powinniśmy je odrzucić. Odrzucają też wszelką tożsamość wspólnotową, uznając, że „zaczyna być uznawana za wartość samą w sobie" i prowadzi do odrębności, wytwarzania się kultur, państw i wojen. Rolnictwo staje się dla nich praprzyczyną wojen, pisząc na przykład o Indianach z centralnej Ameryki: „Najpierw pewne grupy zaczynają przyjmować kukurydzę jako swoją podstawową uprawę, [...] potem coraz częstsze stają się prawdziwe konflikty zbrojne". Dla nich cała historia ostatnich 5 tysięcy lat poszła w ślepy zaułek, którego początkiem było rolnictwo, dalej budowanie królestw, republik i współczesnych wspólnot politycznych, gdzie funkcjonuje własność prywatna, rodzina i podział na płcie. Oburzają się, że znane nam cywilizacje nazywamy cywilizacjami, skoro tacy zbieracze czy łowcy też powinni być tak określani.

▶ Podejrzane wnioski

Ostatecznie z tych zachwytów nad przeszłością wyłania się wizja na współczesność czysto lewacka, odrzucająca dorobek Zachodu. Pochwała koncepcji wolności ludów, które zbierały owoce z drzew i polowały włóczniami na antylopy, prowadzi obu intelektualistów do kuriozalnych wniosków. Ich zdaniem, jeśli ludy z Cahokia zanegowały uprawę ziemi, bo porzuciły swoje domy i miasta, to znaczy, że cały dorobek rolnictwa jest nowotworem cywilizacji. Jeśli niektóre ludy szanowały władzę tylko przez jedną porę roku, a dalej wybierały anarchię, to obaj pisarze uznają istnienie trwałej władzy w instytucji państwa za błąd ludzkości, jeśli widzą ślady po dawnych miastach, gdzie nie było rady miejskiej czy burmistrza, to sugerują, że i dziś powinna istnieć formuła osiedli, gdzie nie ma rządów, a podatki płaci się nie w pieniądzach, ale... w czynie społecznym (jak mieli robić mieszkańcy megastanowisk dzisiejszej Mołdawii i Ukrainy). Ich sceptycyzm wobec historii Europy ostatnich 2 tysięcy lat nie jest odosobniony – wspomniany wcześniej Harari jest dziś bożyszczem lewicowych i liberalnych czytelników, on sam żyje w Izraelu ze swoim partnerem w kibucu, gdzie nie uznaje się prawa własności – tak jak ich zdaniem podobało się prehistorycznym ludom. Z ich koncepcji na temat człowieka żyjącego 5 tysięcy lat temu wyciągają konkluzje dotyczące polityki w XXI wieku naszej ery – to już staje się nieco niebezpieczne.

Dodajmy do tego, że taki pogląd na prehistorię wiąże się z dziwnym aktywizmem społecznym. David Graeber na przykład należał do ruchów okupujących nowojorski Wall Street, walcząc z kapitalizmem, Harari zwalcza chrześcijaństwo i proponuje transhumanistyczne rozwiązania połączenia człowieka i maszyny jako odmiany nowych bogów. Oni wszyscy też wyobrażają sobie ludzkość, która poprzez rewolucję „zrzuci jarzmo" obecnych ustrojów i wróci do pierwotnej szczęśliwości, która miałaby nie uznawać prawa własności, lekceważyć więzy rodzinne, tożsamości wspólnotowe, religię, hierarchie społeczne i wiele, wiele innych. Do złudzenia przypomina to XIX-wieczne rozwiązania Fouriera czy Saint Simona o tworzeniu małych wspólnot pracujących na wspólne dobro („falansterów"), które później bolszewicy z Rosji przerobili na kołchozy, gułagi i sowiecką administrację. Autorzy, którzy z jednej strony w fascynujący sposób starają się odkrywać zamierzchłą przeszłość, przenoszą swoje obserwacje z ludów zbieraczy na XXI wiek, jakby chcieli nas cofnąć do realiów zbieraczy jagód i łowców mamutów.

Autorzy w ogóle porzucają osiągnięcia Zachodu – nie robią na nich wrażenia sztuka, kultura, poezja, heroiczne legendy, wolne uniwersytety, wiedza, nauka i rozwój ludzkości. Fascynuje ich swoboda myśliwych z zamierzchłej Syberii, a tradycje katedr, stulecia eposów i filozofia Greków to dla nich zbędne wynalazki?

Ich zaślepienie ideologiczne aż nakazuje zadanie pytania, czy ich archeologiczne refleksje nie są gdzieś sfałszowane. Znamy przecież przypadki antropologów, takich jak Margaret Mead, która w swojej pracy sprzed 100 lat („Dojrzewanie na Samoa") konfabulowała, robiła elementarne błędy i młodym, dzikim wyspiarzom bezkrytycznie wierzyła we wszystkie seksualne opowieści – tak oto stworzyła teorie na temat płci, które dziś są podstawą teorii gender, a były po prostu wyssane z palca. Gdy ideologia przebija do nauki, to nauka bywa zafałszowana. Czy Wengrow, Graeber lub Harari także dokonali nadużyć w ocenie przeszłości? Tym powinni zająć się archeologowie i historycy. Ale czy odkrywając prahistorię, mogą tworzyć kodeksy ideologiczne dla nas, ludzi XXI wieku? To już bardzo wątpliwe – da się wyczuć pasję fanatycznych socjalistów, których eksperymenty społeczne kończyły się zwykłymi totalitaryzmami. Bądźmy ostrożni wobec badaczy przeszłości, którzy chcą nam urządzić przyszłość. ■

eprasa.pl 97889736ca

Ryszard Czarnecki

Zapiski z Filipin

Największy chrześcijański kraj Azji intryguje. Z jednej strony w stolicy, Manili, znajduje się największy na świecie katolicki uniwersytet – św. Tomasza z 40 kierunkami i 40 tys. studentów w kampusach. Z drugiej strony ma duży kryzys powołań. Pracujące tu polskie siostry opowiadają, że w ciągu dziesięciu lat ich misji mieli raptem jedną miejscową zakonnicę, ale i tak zrezygnowała. Z jednej strony Filipiny to trzeci kraj na świecie pod względem liczby katolików (tylko Brazylia i Meksyk mają więcej). Z drugiej – władze niechętnie patrzą na misjonarzy i obcych kapłanów i utrudniają im życie poprzez różne administracyjne formalności, ocierające się o szykany: można być tam nie dłużej niż dziesięć lat, wiza kosztuje około 2 tys. dolarów, a i tak trzeba ją odnawiać co trzy lata.

Spotykam naszych rodaków – księży, braci zakonnych i siostry. Rozmawiamy o kraju, któremu dali serce i swoją misję. Podkreślają, że Filipińczycy mają inne podejście do życia niż Europejczycy czy Amerykanie: są większymi optymistami i dają z siebie wszystko. Słyszę, że filipińska diaspora, licząca ponad 10 mln ludzi, jest największa na świecie po polskiej, żydowskiej czy japońskiej. Całe załogi tankowców często składają się wyłącznie z obywateli Filipin. Filipińskie pielęgniarki „podbiły" Wielką Brytanię, Szwecję i Niemcy. Z kolei w Japonii czy w Hongkongu ludzie stąd, a więc z kraju, w którym angielski jest językiem oficjalnym, są nauczycielami tegoż języka.

Jedna z moich rozmówczyń – zakonnica – pochodzi z Kępna, druga z Bochni, trzecia z Brodnicy w Warmińsko-Mazurskiem. Ksiądz jest spod Elbląga, a brat zakonny z Kujaw. Rozmawiamy m.in. o drugiej co do wielkości wyspie Filipin – Mindanao. Jest tam wioska, którą po tajfunie odbudowali ojcowie mariani. A w samej stolicy od 21 lat służą siostry misjonarki Maryi. Są tu cztery zakonnice z czterech krajów: Polski, Węgier, Nowej Zelandii i Francji (gdzie zgromadzenie powstało).

Dwie polskie zakonnice wcześniej spędziły 10–11 lat w Tanzanii. Jedna jest tu pięć lat, druga dwa. Opiekują się Polką, która za przemyt narkotyków siedzi w więzieniu już 12 (sic!) lat. Dostała wyrok dożywocia... W więzieniu całkowicie się nawróciła. Poza polskimi księżmi i zakonnicami oraz dyplomatami jest też trochę innych naszych rodaków. Ktoś pracuje w Banku Światowym, ktoś inny jest szefem biura UNICEF na Mindanao, są też dyplomaci amerykańscy, ale polskiego pochodzenia i dodatkowo jeszcze z żonami urodzonymi w Polsce.

Podstawą wyżywienia jest tu ryż. Nie wiedziałem, że istnieją dziesiątki gatunków ryżu. Popularne są też banany (słyszę, że te „kwadratowe" są dla... świń). Na ulicach Manili można spotkać mnóstwo wózków z jedzeniem. Wokół jedzenia koncentrują się w większym stopniu niż w innych krajach rozmowy: „Co jadłeś?", „Co było do jedzenia na przyjęciu?".

> Ciekawe to państwo, w którym wiele oficjalnych spotkań zaczyna się od... hymnu państwowego oraz modlitwy.

Sporo jest tu bezdomnych, w tym dzieci. Kiedy w 2015 roku przyleciał tu papież Franciszek, „oczyszczono" ulice z bezdomnych, wsadzając ich do... więzień.

Paradoksalnie ten katolicki kraj ma problem z ekstremizmem... islamskim. Na części wspomnianej już tu wyspy Mindanao wprowadzono szariat! Ale i w Manili są całe muzułmańskie dzielnice.

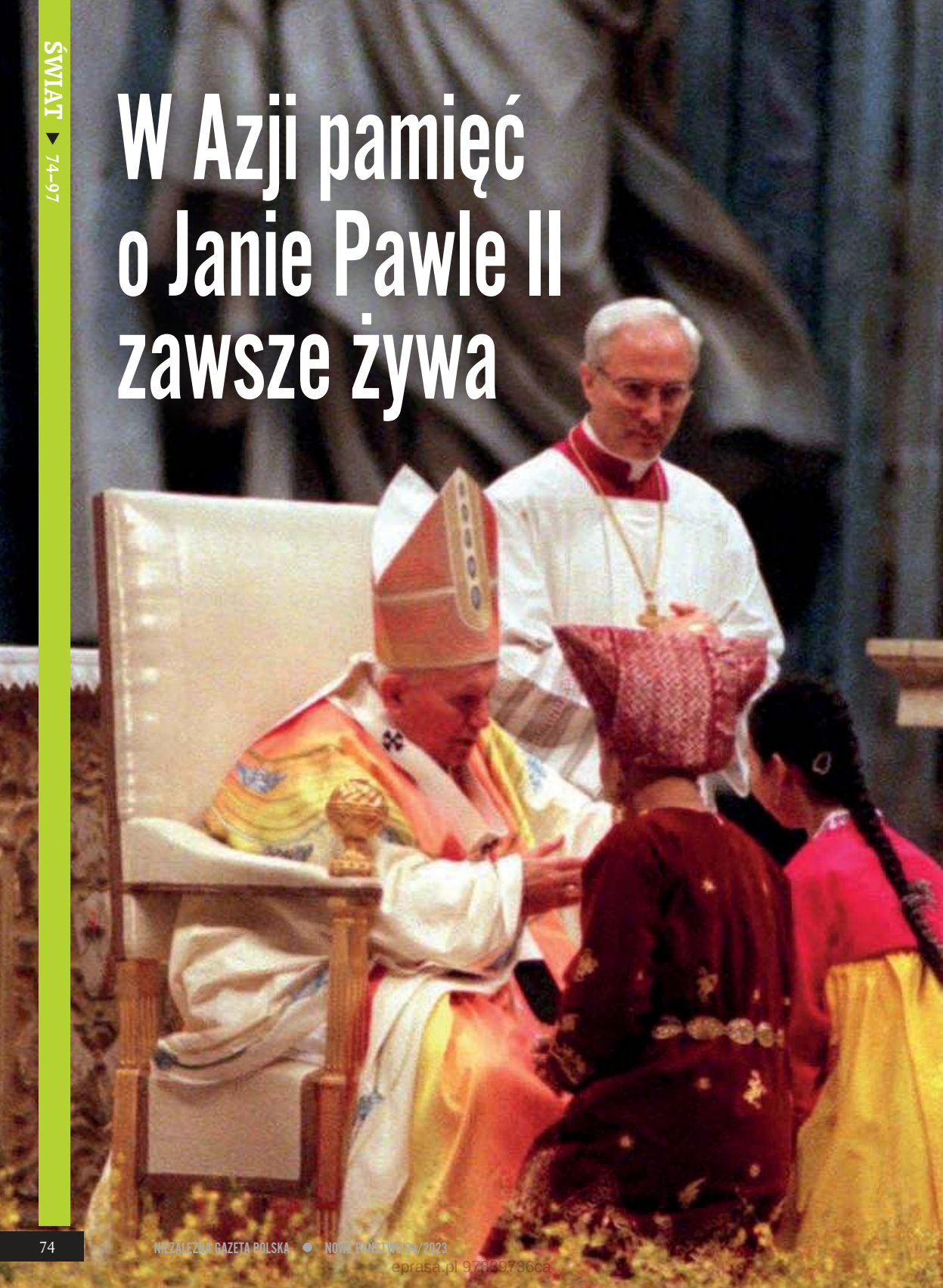
Ciekawe to państwo, w którym wiele oficjalnych spotkań na przykład z cudzoziemcami, takimi jak ja, zaczyna się od... hymnu państwowego oraz modlitwy.

Korki, korki, korki. Dlatego 22 kilometry ze stolicy do Quezon City jechaliśmy aż półtorej godziny.

Popijam piwo „San Miquel" z lokalnego browaru i ciepło myślę o Filipinach. Popierają nas w ONZ przy każdej rezolucji, gdy chodzi o Rosję. W Azji nie jest to, niestety, norma. To państwo podpisało właśnie układ militarny z USA, będą tu amerykańskie bazy. Jankesi chcą tu „azjatyckiego NATO", skierowanego wszak nie przeciw Rosji, lecz Chinom. Manila wraz z Tokio i Seulem mają być jego osią. ■

eprasa.pl 97889736ca

W Azji pamięć o Janie Pawle II zawsze żywa



eprasa.pl 97889736ca

Hanna Shen



Święty Jan Paweł II odcisnął trwałe piętno na wielu w Azji. Uratował życie przyszłemu prezydentowi Korei Płd., dał siłę w walce z ciężką chorobą tajwańskiemu kardynałowi, a dla wielu Chińczyków i Hongkończyków jest symbolem walki ze złem i wzorem chrześcijanina wiernego wartościom.

FOT. LUCIANO DEL CASTILLO/PAP/CAF-EPA PHOTO/ANSA

10 marca br. podczas nabożeństwa w intencji ofiar katastrofy smoleńskiej ks. prof. Robert Skrzypczak w homilii mówił, że „świat się dziwi, że my Polacy niszczymy ikonę światowego katolicyzmu". Duchowny wspomniał o znajomych z Włoch i Francji nierozumiejących ataku na wielkiego Polaka. Z pewnością tego ataku nie rozumie wielu w Azji, bo tu także św. Jan Paweł II jest ikoną. Zmieniał, a czasem wręcz ratował życie, niósł nadzieję i wzywał, aby nie iść na kompromis ze złem.

Janie Pawle II, uratowałeś mi życie

„Zawsze żyłem w przekonaniu, że sprawiedliwość wygrywa. Sprawiedliwość może ponieść klęskę w czasie naszego życia, ale w końcu w toku historii wygra" – mówił w 2000 roku, odbierając Pokojową Nagrodę Nobla, Kim Dae-jung (1925–2009), prezydent Korei Płd., żarliwy katolik i człowiek, któremu życie uratował św. Jan Paweł II.

Gdy wybuchła wojna koreańska (1950–1953), Kim Dae-jung wziął w niej udział. To wtedy po raz pierwszy uniknął śmierci. Schwytany przez komunistów, trafił do niewoli, udało mu się zbiec przed planowaną egzekucją. Po wojnie Kim postanowił czynnie zaangażować się w politykę. Ta decyzja splotła się z innym ważnym wyborem przyszłego prezydenta – przyjęciem katolicyzmu. W 1960 roku 35-letni Kim za namową swojego przyjaciela i mentora ks. Johna Chang-yika przyjął chrzest i imię chrześcijańskiego męczennika Thomasa More'a.

Kim nie był ulubieńcem władzy w okresie dyktatury wojskowej w Korei Płd. Próbowano go znów zabić. W 1973 roku podczas pobytu w Japonii został porwany przez południowokoreańskich agentów. Przetransponowano go na statek, skąd miał z przywiązanymi do nóg cementowymi blokami być wrzucony do morza. Kim zaczął się modlić. Nagle na niebie pojawił się duży amerykański helikopter. Dziś wiadomo, że poinformowany o porwaniu prezydent Richard Nixon nakazał wysłanie śmigłowca na ratunek, a ambasador USA w Seulu wymógł na władzach Korei Płd, aby Kimowi nie spadł włos z głowy. Udało się, Kim cały i zdrowy powrócił do Seulu. Ale największa próba dopiero miała nadejść. W 1980 roku Kim Dae-jung został aresztowany, oskarżony o organizowanie buntów oraz konspirację w celu obalenia władzy i skazany na karę śmierci. Tydzień po ogłoszeniu wyroku, w połowie grudnia 1980 roku, do rąk rządzącego Koreą Płd. generała Chuna Doo-hwana trafił list od papieża Jana Pawła II z wezwaniem o łaskę dla Kima i niekaranie go za działalność polityczną. Południowokore-

e-prasa.pl/7889736ca

ański dyktator odpowiedział Ojcu Świętemu 5 stycznia 1981 roku, twierdząc, że Kim nie został oskarżony z powodów politycznych, lecz za to, że popełnił „zbrodnię przeciw narodowi, m.in. prowadził działalność wywrotową". Ostatecznie jednak Chun uznał, że apel papieża o ułaskawienie oparty był na „przesłankach humanitarnych" i wyrok zamieniono najpierw na dożywocie, a zaraz potem na 20 lat więzienia.

Ale papież nie poprzestał na tym. Poprosił o pomoc w dalszym ratowaniu Kima nowo zaprzysiężonego prezydenta USA Ronalda Reagana. W wyniku paktu Reagana z generałem Chunem, w zamian za zgodę na wyjazd Kim Dae-junga do USA, administracja amerykańska miała nie kwestionować zasadności rządów Chun Doo-hwana.

Kim w latach 1981–1985 przebywał w Stanach. Po powrocie do Korei Płd. znów zaangażował się politycznie. W 1997 roku wygrał wybory, 25 lutego 1998 roku został zaprzysiężony na prezydenta, będąc zarazem pierwszym katolikiem na tym stanowisku w swoim kraju. Rządził do 2003 roku i w trakcie swojej kadencji w 2000 roku odwiedził Watykan, gdzie zwrócił się do Jana Pawła II tymi słowami: „Ojcze Święty, uratowałeś mi życie i za to jestem Tobie ogromnie wdzięczny".

Służyć człowiekowi do końca

Jan Paweł II odegrał bardzo ważną rolę w życiu tajwańskiego kardynała Paula Shan Kuo-hsi (1924–2012). To właśnie Jan Paweł II 21 lutego 1998 roku wyniósł 75-letniego wówczas przewodniczącego Regionalnej Konferencji Episkopatu Chin i biskupa do godności kardynalskiej, nadając mu tytuł prezbitera San Crisogno. Ale w ostatnich latach swojego życia chory na raka tajwański duchowny mówił dużo o wpływie, jaki na jego życie miały nauczanie i postawa św. Jana Pawła II. To właśnie dzięki polskiemu papieżowi słaby i schorowany kard. Paul Shan traktował chorobę nie jako utrapienie, lecz swojego rodzaju charyzmat. „Choć w ostatnich latach swojego życia Jan Paweł II był chory i bardzo słaby, to wykonywał swoją misję. Z żelazną wolą głosił sprawiedliwość społeczną i apelował o pokój na świecie. Odważnie bronił doktryny chrześcijańskiej" – mówił kard. Shan, który w czasie swojej choroby czerpał siłę właśnie z postawy Ojca Świętego. Polski święty był dla tajwańskiego duchownego drogowskazem, jak „zawsze i bez względu na okoliczności zobaczyć Boga i Chrystusa w każdym człowieku i jak służyć innym do końca".

Należy wspomnieć, że to właśnie kard. Shan był jednym z orędowników kanonizacji 120 chińskich męczenników w 2000 roku. Tajwański duchowny często wspominał, że marzeniem polskiego papieża była podróż do Chin. Mimo represji, jakie do dziś dotykają katolików w ChRL, św. Jan Paweł II był i jest dla Chińczyków drogowskazem.

Symbol walki ze złem

O tym, że postawa i nauczanie św. Jana Pawła II są ważne dla Chińczyków, mówił mi niejednokrotnie Cao Changqing, który uciekł z Chin w 1989 roku do USA, a dziś jest jednym z prawicowych komentatorów politycznych wydarzeń w Chinach i na Tajwanie w chińskojęzycznych mediach w USA. „Okres, na który przypadła posługa Jana Pawła II, miał symboliczne znaczenie: XX wiek to 100 lat najbardziej rozszalałego ateizmu, dwóch wojen światowych, rozprzestrzeniającego się po świecie komunizmu. Zawołanie Nietzschego: »Bóg umarł« odbijało się echem w obozach w nazistowskich Niemczech, komunistycznym Związku Radzieckim i czerwonych Chinach. Jan Paweł II stał się odbiciem Boga, symbolem walki ze złem. W XX wieku papież wysoko dźwigał sztandar moralności, którego blask rozproszył w końcu ciemne chmury – po zakończeniu zimnej wojny wolny świat zatriumfował. Komunizm, tak jak w przeszłości nazizm, zaczął zmierzać ku upadkowi" – twierdzi Cao. Chiński dysydent dodaje, że to dzięki postawie moralnej, jaką reprezentował Jan Paweł II, Polacy znaleźli w sobie siłę, aby skończyć z komunistycznym reżimem. Według Cao polska Solidarność, której nie byłoby bez pontyfikatu Jana Pawła II, stała się dla Chińczyków wzorem, a coraz więcej chińskich dysydentów nawraca się na chrześcijaństwo. W tej chwili w Chinach jest ponad 100 mln chrześcijan. „W imperium ciemności, jakim nadal są Chiny, przynosi to pewną nadzieję" – uważa Cao Changqing.

Nie iść na kompromis

Kiedy kard. Joseph Zen (wtedy jeszcze biskup) spotkał się z Janem Pawłem II w 1997 roku, ten mówił o swoim ogromnym marzeniu – wizycie w Chinach. Nie było to możliwe, ale kardynał rozpoczął działania, by papież udając się w 1999 roku do Indii na Synod Biskupów poświęcony Azji, mógł złożyć wizytę w Hongkongu. W połowie 1997 roku komunistyczne Chiny przejęły władzę nad byłą brytyjską kolonią i ostatecznie na propozycję pielgrzymki polskiego papieża do Hongkongu z Pekinu przyszło – jak to określił kardynał Zen – „głośne nie".

eprasa.pl 97889736ca

Urodzony w Chinach kard. Zen został w 2002 roku mianowany przez Jana Pawła II na biskupa Hongkongu. Pełnił tę posługę do 2009 roku, ale trudno powiedzieć, że przeszedł na emeryturę. Stał się wielkim wsparciem dla Hongkończyków protestujących przeciw ograniczaniu wolności przez komunistyczne Chiny. Mówi się, że KPCh bało się Jana Pawła II, a nienawidzi kardynała Josepha Zena.

Kardynał Zen jest ostrym krytykiem tajnego porozumienia, jakie papież Franciszek podpisał z Chinami w 2018 roku. Mówił, że idąc na układy z Pekinem, Watykan „sprzedał chiński Kościół katolicki". Dziś po pięciu latach wielu przyznaje hongkońskiemu duchownemu rację, bo w wyniku umowy wierny Stolicy Apostolskiej podziemny Kościół katolicki został w Chinach zniszczony. Kardynał Zen często zwraca też uwagę, że obecnie Watykan milczy w kwestii represji wobec członków Kościoła podziemnego, burzenia kościołów i usuwania krzyży oraz nadużywania władzy i łamania praw człowieka w Xinjiangu i Hongkongu.

Hongkoński duchowny jednocześnie mówi, jak ważny dla świata, w tym dla Chin i Hongkongu, był pontyfikat Jan Pawła II. W wywiadzie, jaki przeprowadziłam z kard. Zenem dla „Gazety Polskiej", duchowny stwierdził, że polski papież nigdy nie zawarłby umowy z Pekinem i nie milczałby w sprawie Hongkongu. „Papież Jan Paweł II rozumiał myślenie komunistów. Doznał cierpień od nazistów i pod rządami komunistów. Wiedział, gdzie leży prawda, i miał jasne poglądy" – mówił emerytowany biskup Hongkongu. Kardynał Joseph Zen podkreślił, że św. Jan Paweł II bardzo dobrze rozumiał, że komuniści w Polsce i w Chinach to prześladowcy i że ich celem jest zniszczenie Kościoła. Według duchownego, papież z Polski traktował komunizm jako zło, z którym nie można iść na kompromis.

I ta nauka Jana Pawła II, by nie iść na kompromis ze złem, towarzyszyła kard. Josephowi Zenowi przez całe jego życia. Kilka miesięcy temu 90-letni duchowny został oskarżony o nielegalną pomoc dla protestujących Hongkończyków. Tylko międzynarodowa presja doprowadziła do tego, że emerytowany biskup nie trafi do więzienia. Ostatecznie na kardynała nałożono grzywnę.

Nie lękajcie się

Kilka tygodni przed kanonizacją Jana Pawła II w 2014 roku na Tajwanie rozpoczęła się rewolucja słoneczników, protest studentów przeciwko umowie handlowej, jaką tutejszy rząd zawarł z Chinami Ludowymi. Rozmawiałam wtedy ze studentami okupującymi budynek tajwańskiego parlamentu. Kiedy powiedziałam im, że jestem z Polski, mogłam usłyszeć: „A, to z kraju Jana Pawła II". Na placu przed parlamentem jedna ze studentek o nazwisku Su złapała mnie za rękę i powiedziała: „Wasz polski papież był dla mnie zawsze święty. To dzięki niemu staram się bardziej zrozumieć chrześcijaństwo". Inny student pamiętał o słowach Jana Pawła II skierowanych do polskiej młodzieży: I jeszcze jedna historia. Kilka lat temu Michela Chang, ilustratorka i tłumaczka z języka włoskiego, opowiadała mi, jak w czasie świąt Bożego Narodzenia w 1997 roku była na placu świętego Piotra. „Obok mnie stała grupa Niemców, za chwilę plac wypełnił się wiernymi i turystami. Grupa hiszpańskich zakonnic uderzała w dzwoneczki, wołając: »Janie Pawle II, kochamy Cię!«. Nagle doszły do mnie okrzyki podekscytowanego tłumu. Ojciec Święty powoli podszedł do balkonu – widok papieża machającego do tłumu na znak powitania zelektryzował nas wszystkich. Ojciec Święty zaczął błogosławić zebranych w wielu językach. Po każdym pozdrowieniu mówiący danym językiem odpowiadali okrzykami. Kiedy usłyszałam życzenia wypowiedziane po chińsku, zaczęłam bić brawo tak mocno, jak tylko to możliwe. Odczułam wtedy uwielbienie, jakim tłum darzył papieża; nawet kilka prostych słów wypowiedzianych przez niego przykuwało uwagę wszystkich". Od tego spotkania Michela zaczęła swoją drogę do poznania Jana Pawła II. Czytała jego książki i przesłania. „Sama jestem osobą, która łatwo się poddaje. Tymczasem Ojciec Święty uświadomił mi, że w obliczu trudności i cierpienia człowiek może stać się silniejszy i stawić im czoło. Powinien pozostać wierny wartościom, a nie płynąć z prądem". ■

Mimo represji, jakie do dziś dotykają katolików w ChRL, św. Jan Paweł II był i jest dla Chińczyków drogowskazem.

eprasa.pl 97889736ca



Antoni Rybczyński

Rosyjskie intrygi nad Dniestrem

Po inwazji na Ukrainę Kreml postanowił zdestabilizować także Mołdawię. Jeśli spojrzymy na mapę, będzie wiadomo dlaczego. Jeśli w Kiszyniowie górę weźmie opcja prorosyjska, Ukraina znajdzie się w jeszcze gorszym położeniu.

eprasa.pl 97889736ca

Mołdawia to idealny cel dla rosyjskiej hybrydowej agresji. Państwo bardzo biedne, z symbolicznymi siłami zbrojnymi, uzależnione do gazu rosyjskiego. Władze w Kiszyniowie nie mają od paru dekad kontroli nad częścią kraju leżącą na lewym brzegu Dniestru – to separatystyczne Naddniestrze, utrzymywane przez Rosję, w którym stacjonuje kilka tysięcy rosyjskiego wojska. Do tego tradycyjnie prorosyjska autonomia Gagauzów, czyli prawosławnego tureckiego ludu. No i społeczeństwo podzielone mniej więcej na pół, na tych opowiadających się za integracją z Zachodem, i na tych tęskniących za sowieckimi czasami, optujących za sojuszem z Moskwą. Obecnie mamy do czynienia w Mołdawii z sytuacją wyjątkową po 1991 roku, to znaczy pełnię władzy (prezydent, rząd, parlament) sprawuje jedna polityczna opcja, ta reformatorska i prozachodnia. Ale opozycja jest nadal bardzo silna. To prorosyjscy komuniści, socjaliści i populiści z Partii Szor.

Hybrydowy atak na kilku frontach

Rosja destabilizuje Mołdawię działaniami na kilku kierunkach jednocześnie. Po pierwsze, podsycanie wewnętrznych konfliktów politycznych. Prorosyjskie siły populistyczne, kontrolowane przez zbiegłych oligarchów i zorganizowane grupy przestępcze, dążą do zatopienia obecnych władz. Wiodącą rolę odgrywa tu Partia Szor – nazwa od nazwiska lidera i założyciela. Ilan Szor ukrywa się obecnie w Izraelu przed mołdawskim wymiarem sprawiedliwości. Sąd skazał go na 7 lat więzienia za udział w oszustwie bankowym w 2014 roku. Szor współpracowała z innym zbiegłym oligarchą Vladimirem Plahotniucem, który znalazł schronienie na Cyprze Północnym. Co jednak ważniejsze, Szor od dawna współpracuje z FSB. I to na polecenie Łubianki realizuje dziś operację mającą doprowadzić do obalenia prozachodnich demokratycznych władz Mołdawii. W październiku 2022 roku USA nałożyły na Szora sankcje za zaangażowanie jego i jego partii we wspieranie rosyjskich wpływów w Mołdawii. Pomimo amerykańskich sankcji, Szorowi udaje się być aktywnym w mediach społecznościowych i bez problemu finansować od pół roku radykalne uliczne protesty w Kiszyniowie. Rządzący chcą doprowadzić do delegalizacji Partii Szor, która ma obecnie ok. 10 proc. poparcia społecznego. Ale nawet jeśli to się uda, nie rozwiąże problemu silnego i zdeterminowanego obozu prorosyjskiego. W parlamencie jest inna promoskiewska siła, dużo poważniejsza od Szora: Blok Socjalistów i Komunistów. Jego nieformalny lider, były prezydent Igor Dodon, ma zarzuty związane z przyjmowaniem pieniędzy na działalność socjalistów od Rosji. Obecnie widać, że Szor ma jedynie zdestabilizować skrajnie sytuację w kraju, po to, by otworzyć drogę do rządów socjalistom i komunistom. Ci zyskują popularność na problemach rządu z radzeniem sobie z kryzysem energetycznym i inflacją.

To właśnie problemy gospodarcze – ich nie tylko wykorzystywanie, ale przede wszystkim kreowanie i podsycanie – są tym drugim kierunkiem hybrydowej agresji Rosji. Pogarszające się warunki życia ludności, pogłębione przez kryzys energetyczny, są ważnym źródłem niestabilności w Mołdawii. Wpływ inflacji wynoszącej średnio około 30 proc. w 2022 roku wynika z kilkukrotnego (!) wzrostu stawek za energię elektryczną i gaz. Przez większość trzech dekad po uzyskaniu niepodległości Mołdawią rządziły siły prorosyjskiej lewicy i powiązanych z Moskwą oligarchów. Nic dziwnego, że kraj ten, podobnie jak Białoruś, kompletnie uzależnił się energetycznie od Rosji. Nie tylko kontraktami oznaczającymi 100 proc. importu od Gazpromu, ale też dopuszczając Rosjan do własnego sektora gazowego, gazociągów, spółek, infrastruktury. Koncern, który sprowadza ten gaz i dystrybuuje po kraju, czyli Moldovagaz, jest w 2/3 własnością... Gazpromu. Mołdawii udało się zachować stabilność dzięki pożyczkom i dotacjom o wartości do 250 mln euro od UE i innych partnerów międzynarodowych na pokrycie do połowy wartości rachunków za energię. Jednak drastyczne obniżenie poziomu życia w już i tak biednej Mołdawii robi swoje. Wielu ludzi ulega populistycznym obietnicom opozycji i chętnie przyjmuje od Partii Szor gotówkę za udział w demonstracjach.

Po trzecie, Moskwa tradycyjnie wykorzystuje separatystyczne Naddniestrze i swą obecność militarną w tym regionie jako narzędzie presji na Kiszyniów. Wystarczy przypomnieć 1 marca 2022 roku i telewizyjną relację z narady Alaksandra Łukaszenki z generałami białoruskiej armii. Mijał tydzień od pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Łukaszenka ze wskazówką stanął przy mapie Ukrainy. A na mapie kierunki uderzeń wojsk rosyjskich. Jest to z północy, ale jest też inne – które zresztą wywołało natychmiast falę komentarzy – znad Morza Czarnego w stronę Naddniestrza, separatystycznego regionu Mołdawii, w którym stacjonuje co najmniej 1500 rosyjskich żołnierzy. W sumie żadne zaskoczenie. Już w 2014 roku brano pod uwagę próbą przebicia się Rosjan z zajętej (co nie udało się ani wtedy, ani teraz) Odessy nad Dniestr. To by oznaczało powstanie kolejnego zachodniego frontu i niemalże kompletne okrążenie Ukrainy przez rosyjskie wojska i ich sojuszników – ile bowiem pozostałoby bezpiecznej

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 97889736ca

granicy? Czternaście procent zaledwie. Z Polską, Słowacją, Węgrami i częściowo Rumunią.

Neutralność... nie popłaca

Mołdawia od początku inwazji Rosji na Ukrainę, choć pełnię władzy ma tam obóz prozachodni, starała się zachowywać neutralne stanowisko. Właśnie w obawie, że Rosja się zemści, wykorzystując potężne instrumenty: od separatystów z Naddniestrza przez prorosyjską mniejszość Gagauzów po socjalistów i komunistów oraz populistycznego wywrotowca Ilana Szora, którego partia od miesięcy organizuje burzliwe demonstracje – za udział w których zresztą płaci ten oligarcha zasłaniający się izraelskim paszportem i ukrywający się w Izraelu po tym, jak skazano go za udział w „przekręcie stulecia", czyli wyprowadzeniu w 2014 roku z bankowego systemu mołdawskiego 750 mln dolarów (kwota gigantyczna jak na mołdawskie realia).

Gdy się okazało, że to nic nie da, nawet przeciwnie, Kreml uznał to za oznakę słabości Mołdawii, jej rząd zaczął zmieniać radykalnie politykę: zaczął mówić o NATO, Maia Sandu spotkała się z Joe Bidenem w Polsce, a rząd mołdawski coraz mocniej naciska na demilitaryzację Naddniestrza, czyli usunięcie stamtąd rosyjskich żołnierzy. Doniesienia o planach rosyjskich dokonania przewrotu w Kiszyniowie, nie pierwsze zresztą w ostatnich miesiącach, zbiegły się ze zmianą rządu. Co też jest oznaką wzmocnienia kursu przez obóz Sandu. Pozbyto się kilku twarzy najmocniej kojarzonych z kryzysem gospodarczym i wolnym tempem reform (z premier Natalią Gavrilitą na czele), a nowym premierem został znany z twardej ręki dotychczasowy szef MSW Dorin Recean. Wcześniej budżet sił zbrojnych na 2023 r. został zwiększony blisko dwukrotnie – wydatki na obronność będą więc odpowiadały 0,5 proc. mołdawskiego PKB.

To, co zwraca uwagę, to także zmiana postawy Kiszyniowa wobec Ukrainy. Mołdawskie władze potwierdziły autentyczność i wagę informacji z Kijowa na temat zagrożenia rosyjskiego. Połączono też systemy gazociągowe obu państw. Ukraina już zadeklarowała, że zawsze będzie gotowa pomóc Mołdawii w rozwiązaniu problemu z Naddniestrzem. W szczególności, jeśli Federacja Rosyjska wykorzysta to terytorium do otwarcia kolejnego frontu w wojnie z Ukrainą. A ostatnio pojawia się coraz więcej sygnałów wskazujących na wzrost ryzyka.

Rosja prowadzi w Mołdawii działania, które mają uderzyć w rząd i zasiać nieufność wobec Ukrainy i Zachodu. Chodzi m.in. o rozpowszechniane przez Rosję „doniesienia" o planach ukraińskiego ataku na Naddniestrze czy „zamachu" na tamtejszego separatystycznego lidera. 10 marca rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA John Kirby oświadczył, że służby amerykańskie posiadają informacje, iż rosyjskie służby starają się wzniecić protesty, które mają doprowadzić do powstania przeciwko mołdawskim władzom i zainstalowania przyjaznego Moskwie rządu. Jak dodał, osobny zespół osób związanych z Rosją ma za zadanie szkolić i pomagać w kreowaniu tych wydarzeń. Kirby porównał to do rosyjskich nieudanych starań do przeprowadzenia przewrotu w Czarnogórze w 2016 roku.

MOŁDAWIA OD POCZĄTKU INWAZJI ROSJI NA UKRAINĘ, CHOĆ PEŁNIĘ WŁADZY MA TAM OBÓZ PROZACHODNI, STARAŁA SIĘ ZACHOWYWAĆ NEUTRALNE STANOWISKO. W OBAWIE, ŻE ROSJA SIĘ ZEMŚCI.

Zwrot na Zachód

Jeszcze na początku lutego prezydent Ukrainy powiedział, że ukraiński wywiad przechwycił „rosyjski plan destabilizacji sytuacji politycznej w Mołdawii". Kijów przekazał odpowiednie informacje władzom mołdawskim. 13 lutego prezydent Sandu poinformowała, że Rosja ma plany przewrotu w Mołdawii, które przewidują ataki dywersantów na budynki rządowe, w tym wzięcie zakładników, połączone z wykorzystaniem protestów opozycji. Wskazano nawet, skąd mogą przybyć jako cywile: z Serbii, Czarnogóry i Białorusi. Wygląda na to, że kluczowym jednak celem miało być lotnisko w Kiszyniowie. Warto wspomnieć, że już rok temu władze Mołdawii planowały wysadzenie pasa startowego w celu uniemożliwienia ataku wojsk rosyjskich. – Rosjanie mogliby prze-

eprasa.pl 97889736ca

transportować tam żołnierzy i sprzęt, aby otworzyć nowy front na Ukrainie z Naddniestrza – powiedział szef MSZ Mołdawii Nicu Popescu. Teraz znów się o tym mówi. Grupy dywersyjne, które by przeniknęły na teren Kiszyniowa w cywilnych przebraniach, mogłyby obsadzić i kontrolować lotnisko, by udaremnić łączność powietrzną Mołdawii z Zachodem. I dać czas siłom prorosyjskim na przejęcie rządów w Kiszyniowie.

Zagrożenie ze strony silnego obozu prorosyjskiego jest oczywiste. Ale też coś jest na rzeczy, jeśli mowa o zagrożeniu dla lotniska. Ze strony Kiszyniowa pojawiają się ostatnio postulaty wobec Zachodu, by pomógł Mołdawii wzmocnić obronę powietrzną. W domyśle, może chodzi o zablokowanie możliwości rosyjskiego desantu? Nie jest też przypadkiem, że ostatnio z ust amerykańskich urzędników padło tyle słów na temat rosyjskiego zagrożenia dla Mołdawii co chyba przez cały poprzedni rok. – Nie możemy potwierdzić, że Rosja ma plany obalenia władz w Mołdawii, lecz z pewnością nie byłoby to poza zasięgiem i gotowością Władimira Putina – powiedział 13 lutego rzecznik amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego John Kirby.

W tym kontekście na szczególną uwagę zasługuje wizyta prezydent Mołdawii w Warszawie podczas pobytu Bidena. Słowa prezydenta USA o Mołdawii i jego spotkanie z Maią Sandu mogą sugerować jakieś gwarancje amerykańskie dla Kiszyniowa. Niewykluczone, że we współpracy z Ukrainą. Mołdawia ma słabą armię, nie poradzi sobie z separatystami z Naddniestrza. Ale gdyby oficjalnie zwróciła się do Kijowa? Wie to również Moskwa, stąd jej nerwowe reakcje. Wysyp komunikatów, jakoby Ukraina szykowała prowokację wobec Naddniestrza, by zaatakować stacjonujących tam Rosjan, może być przygotowaniem do prowokacji rosyjskiej, by zaatakować Kiszyniów. Ale może to tylko wyraz desperacji i strach przed utratą wpływów w Mołdawii?

Kreml nie odpuści, ma sojuszników

Rosja nie ma dziś możliwości, by zaatakować Ukrainę z separatystycznego regionu Naddniestrza. Ale ma narzędzia, by dokonać przewrotu w samej Mołdawii i zastąpić prozachodnie władze sojusznikami Moskwy. Putin zyskałby sojusznika na zachód od Ukrainy, tak jak ma takiego na północy, w Mińsku. *Modus operandi* Rosji w przestrzeni posowieckiej jest znany od wielu lat. Hybrydowymi działaniami, wykorzystując agenturę, korumpując elity, stosując szantaż energetyczny, Moskwa dąży do osadzenia w sąsiednich krajach lojalnych wobec Kremla liderów. Jeśli się nie udaje, sięga po nagą siłę, jak wobec Gruzji w 2008 roku, a przede wszystkim wobec Ukrainy od 2014 roku, a szczególnie przez ostatni rok. Doktryna ruskiego mira mówi: albo jesteś wasalem, albo jesteś wrogiem. Innej opcji nie ma. Dziś Ukraina jest wrogiem, Białoruś wasalem, a Mołdawia? Niemal wrogiem, ale Rosjanie podjęli starania, by zmienić go w wasala. To, co łączy bowiem Mołdawię z Białorusią, a zarazem różni od Ukrainy, to tradycyjnie silny obóz prorosyjski. I nie chodzi tylko o elity, lecz także nastawienie społeczeństwa. Sondaże pokazują duży wpływ rosyjskiej narracji na umysły Mołdawian. I tak 34 proc. z nich uważa, że Krym należy do Rosji (42 proc. uznaje półwysep za terytorium Ukrainy). Tylko 36 proc. uważa, że w trwającej wojnie rację ma Ukraina.

Agresywna polityka Rosji już skłoniła dwa tradycyjnie neutralne państwa Europy do wniosku o członkostwo w NATO. Czy do Finlandii i Szwecji dołączy również Mołdawia? Problemy gospodarcze i rozczarowanie wolnym tempem reform obiecanych przez prezydent Maię Sandu i jej partię, która ma absolutną większość w parlamencie, sprawiły, że prozachodnia Partia Akcji i Solidarności (PAS) w sondażach przegrywa już wyraźnie z prorosyjskim blokiem socjalistów i komunistów. Według lutowego sondażu Instytutu Rozwoju i Inicjatyw Społecznych, najwięcej głosów uzyskałby blok komunistów i socjalistów – 25,2 proc., PAS – 22,7 proc., a Partia Szor – 8,1 proc. Wybory dopiero w 2025 roku? Sęk w tym, że Kreml aż tak długo czekać nie będzie.

Mołdawia przygotowuje się na wiele scenariuszy, w tym na atak ze strony Rosji. Jednak mołdawska armia jest mała i niedostatecznie wyposażona. Kraje NATO zgodziły się na zwiększenie wsparcia, a w samym kraju toczy się debata o konieczności rezygnacji z zapisanego w konstytucji statusu neutralności. Problem polega na tym, że władze rozumieją, iż neutralność nie uchroni kraju przed agresją, ale większość społeczeństwa, patrząc na świat oczami rosyjskich kanałów telewizyjnych, nie chce, aby kraj przystąpił do Sojuszu Północnoatlantyckiego. To wpływało i wpływa na politykę władz. Powód zainteresowania Moskwy zmianą władzy w Kiszyniowie jest jasny. Powstanie nowego konfliktu w regionie w sąsiedztwie Ukrainy to zwiększenie zagrożenia na jej południowo-zachodnich granicach, co przyczyni się do rozproszenia sił zarówno ukraińskich, jak i Zachodu w przeciwdziałaniu rosyjskiej agresji. A jeśli proeuropejskie przywództwo Mołdawii zostanie zastąpione prorosyjskim, pozwoli to Putinowi również pochwalić się Rosjanom jakimś sukcesem w polityce zewnętrznej. ■

eprasa.pl 97889736ca



Chłopcy z Iauaretê zapomnieli marzyć

FOT. ŁUKASZ WIŚNIEWSKI MIC



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Statystyki są nieubłagane. Od stycznia do września ubiegłego roku w maleńkiej wiosce Iauaretê na granicy Brazylii z Kolumbią co miesiąc odbierało sobie życie jedno dziecko. – Zabijają się, bo nie umieją już marzyć – komentuje dramatyczną tendencję ich nastoletni kolega.



Dary zapakowane. Można ruszać.



Większość młodzieży ciągnie do miasta. Snucie się

Samuel opuszcza swobodnie nogi w dół skarpy. Stąd dobrze słychać szum przepływającej poniżej wody. Ten dzisiejszy jest jakby bardziej donośny niż zazwyczaj. Rzeka jest zdecydowanie mniej spokojna niż choćby wczoraj, kiedy chłopiec podziwiał ją siedząc w tym samym miejscu. Río Vaupés płynie dziś szybciej, a jej wzburzone wody wylewają się szerokim nurtem z wyżłobionego rzecznego koryta, zachłannie zalewając okoliczne trawiaste brzegi i zarośla. Zakrywając też czubki skalnych głazów, które jeszcze wczoraj Samuel widział ze swojej ulubionej miejscówki. Dziś te same głazy są już pod wodą. Od teraz stanowić będą udrękę dla każdego sternika prowadzącego swojego speed boats. Wszak dla motorowych łodzi, odgrywających dla mieszkańców Iauaretê rolę jedynego okna na świat, taki ukryty pod wodą głaz to zazwyczaj śmiercionośna pułapka. Samuel przez dłuższą chwilę próbuje skoncentrować wzrok na wybranym miejscu spienionej rzeki. Dokładnie tam, gdzie jeszcze wczoraj widać było potężny głaz. Ale ten już w całości jest przykryty wodą.

Nie zobaczą go także sternicy. Co może oznaczać, że przez najbliższe kilka dni z zapomnianej przez świat maleńkiej indiańskiej wioseczki brazylijsko-kolumbijskiego pogranicza nie wypłynie żadna łódź. Indianie będą czekać aż woda choć trochę się uspokoi. Nawet najbardziej doświadczeni właściciele speed boatsów nie będą chcieli opierać się na swoich wytyczonych już tyle set razy trasach. Wszak poruszony przez silny nurt kamień mógł zmienić swoje położenie, by teraz znajdować się kilka metrów dalej. Zderzenie z taką podwodną przeszkodą może dla sternika oznaczać wywrotkę. Razem ze wszystkimi pasażerami. I wiezionym towarem. Za duże ryzyko. Lepiej poczekać.

Obrazek z końca dnia

Wieczorna rosa dopiero zaczyna zwilżać okoliczne trawy i zarośla, zatem można jeszcze usiąść na ziemi. Samuel odkąd tylko pamięta, zawsze lubił to miejsce. Trasę z wioski aż tutaj rozpoznałby, idąc tu z zamkniętymi oczami. Wszak wystarczy jedynie podążać w górę Río Vaupés, minąwszy wpierw z prawej strony kościół São Miguel Arcanjo, zlokalizowany w samym centrum wioski, kilkadziesiąt metrów od brzegu rzeki, dostojna trzynawowa budowla. Tak nieprzystająca do porastającej wkoło wszystko selwy. Kościelna wieża jako jedyna w okolicy miała odwagę wyrosnąć dwadzieścia kilka metrów ponad okoliczne chodniki. Oderwać się nieco od spowitego wilgocią i parą betonowego podwórka, na którym pragmatyczni Indianie zainstalowali dwie bramki do gry w piłkę oraz tablice z koszami. O tej godzinie, gdy wieczorny mrok powoli zaczyna spadać na wioskę, na boisku nie widać już żadnego grajka. Podobnie jak drzwi kościoła wydają się być zamknięte. W środku nie pali się światło. Tak jest zresztą już od kilku tygodni, odkąd ostatni raz był w Iauaretê ojciec Sławomir, salezjanin, który zwykle raz na miesiąc przybywa nad Río Vaupés, aby przynieść okolicznym Indianom Dobrą Nowinę, razem z zapakowanymi gdzieś między bagażami kawałkami opłatków.

Minąwszy kościół Samuel mija zwykle na swej trasie ustawione nad brzegiem rzeki jeden za drugim niewiel-

eprasa.pl 97889736ca



po lasach dawno przestało być atrakcyjne.



Bez zapasu paliwa nie ma nawet co ruszać w górę rzeki.

kie chaty. Ich mieszkańcy kończą właśnie kolejny długi dzień w brazylijskiej selwie. Ostatnie porządki. Kobiety spoglądając ostrożnie w groźnie zachmurzone niebo sprawdzają, czy na pewno zdjęły już ze sznurków całe suszące się tam pranie. Ich mężowie składają w tym czasie powystawiane na ganek plastikowe krzesła, na których przez większość dnia, w niespiesznym letargu przesiadywała praktycznie cała rodzina w pewnej ludzkiej beznadziei i braku perspektywy, aby jutrzejszy dzień miał się różnić od tego, który właśnie się kończy.

Gumowe klapki i kalosze

Samuel nie lubił tego widoku. Kojarzył mu się z dorosłością, od której tak bardzo chciałby uciec. Za wiele razy nasłuchał się od babci o tym, że niedługo będzie musiał opuścić rodzinne Iauaretê i osiedlić się w mieście. Bo jedynie tam znajdzie pracę. A może i żonę, jak Bóg pozwoli – dodawała zazwyczaj przekorna babcia. Ale Samuel nie chciał zostawiać ukochanej wioski. Nie chciał iść w ślady starszego brata, którego od czasu, gdy ten opuścił dom, widuje nie częściej niż raz na dwa–trzy miesiące. Którego – pomimo ciężkiej pracy – nie stać na transport łodzią z oddalonego 320 kilometrów São Gabriel da Cachoeira. Który, gdy tylko przyjeżdża, nie ma nawet czasu na rozmowę z młodszym bratem. Ciągle tylko przyklejony do telefonu komórkowego, załatwiający jakieś dziwne, szemrane interesy. Samuelowi nie uśmiecha się taka wizja dorosłości. Mając więc przed sobą widok ludzi układających się do snu w domkach przy Río Vaupés, który to widok przywraca mu zdecydowanie złe skojarzenia, chłopiec przyspiesza jedynie kroku.

Zaraz minie jedyny w wiosce sklep. To Comercial Ponta da Águia. Z właścicielką sprowadzającą do Iauaretê gumowe klapki i kalosze. Te ostatnie przydają się zwłaszcza na wyprawy do lasu. Kąsające zazwyczaj w okolice łydek amazońskie węże nie znalazły jeszcze sposobu, aby przegryźć się przez gumę. Na szczęście. Chętnych więc na zakup nie brakuje, nawet jeśli ma być na kreskę.

Samuel lada moment opuści ostatnie z niskich zabudowań rodzinnej osady i skończy się wygodna piaszczysta ścieżka. Dosłownie kilkanaście metrów za ostatnią chałupą widać zieloną ścianę puszczy. Z tej perspektywy zielona selwa nie jest jeszcze tak sroga i nieprzystępna. Dopiero gdy Samuel podejdzie bliżej, będzie musiał mocno schylić głowę, aby wejść między zarośla i zwisające gałęzie. Nie będzie zbyt długo mocował się z żywiołem. To zbyt ciężkie, nawet dla nastolatka. Zresztą, nie zabrał z domu maczety. A bez tej eksploracja selwy mija się z celem. Chłopiec więc po minięciu kilku zarośli otulających wspomnianą zieloną ścianę skręci zaraz w lewo. By po kolejnych kilkudziesięciu metrach dotrzeć do swojego miejsca nad rzeką. Tu, gdzie po chwili wygodnie rozsiadając się nad malowniczej skarpie, będzie mógł spuścić nogi w dół i podziwiać ciemną rzekę.

Kokaina, przemytnicy i granica

Río Vaupés ma w tym miejscu ponad pół kilometra szerokości. Pomimo to za dnia przeciwległy brzeg jest dość dobrze widoczny. Z Iauaretê widać więc niewielką łąkę porastającą cypel oblewany notorycznie z obu stron rzekami. Z jednej strony większą Río

FOT. ŁUKASZ WIŚNIEWSKI MIC

eprasa.pl 97889736ca



Ukrytą w gęstej selwie nad Río Vaupés kaplicę zbudowali salezjanie.



Tutaj w dalekiej Amazonii ludzie potrafią sobie nawzajem

Vaupés. Z drugiej nieco mniejszą, bardziej meandrującą Rio Papuri. Na cyplu stoi też kilkanaście domostw. Z daleka trudno oszacować, czy zamieszkałych. Należą już do Kolumbii. Podobnie jak cały ten cypel oraz wody Rio Papuri. Od tego miejsca granica między Brazylią a Kolumbią zaczyna przebiegać wzdłuż Rio Vaupés. Odbijająca za rzeką to w lewo, to w prawo będzie tak ciągnąć się jeszcze przeszło 150 km na północ, by wreszcie w miejscu, w którym do rzeki dołączy kolejny amazoński strumień Rio Querari, odbić na prawo i pognać sobie tylko znaną trasą przez środek niedostępnej selwy.

Dla jednych niedostępność zielonej gęstwiny będzie stanowić problem. Dla innych zachętę. Choćby do ukrywania. Ukrywania siebie, a czasem wręcz całych miejsc, o których lepiej, aby policja czy wojsko nigdy się nie dowiedziały. Pogranicze kolumbijsko-brazylijskie to raj dla takich ludzi. Wyjętych spod prawa, członków karteli narkotykowych, wojskowych mających władzę nad ludźmi i stacjonujących z dala od swoich przełożonych. Dla nich Amazonia siłą rzeczy stała się wspólnym systemem naczyń połączonych. Estuarium, w którym przez zrządzenie losu płyną dziś razem. I muszą się dogadywać. Aby przeżyć.

Na pograniczu Brazylii, Kolumbii i Wenezueli nigdy nie było bezpiecznie. Choć przecież w teorii mogłoby się wydawać, że tak być powinno. Wszak to miejsce praktycznie niezaludnione. Pokryte siecią amazońskich rzek i strumieni. Połacią gęstej puszczy. Wreszcie miejsce spowite porannymi mgłami, skrywającymi najbardziej tajemnicze elementy lasu, ukryte przed wzrokiem niewtajemniczonych.

Tak jest z tajnymi kopalniami srebra w pobliskiej Wenezueli. Kopalniami, o których istnieniu wiedzą wyłącznie oficerowie z lokalnej jednostki wojskowej w wiosce Las Esmeraldas. Tak jest z tajnymi „leśnymi laboratoriami", w których przez całe dni moczone w wodzie z solą są liście koki, by następnie poprzez dodanie paliwa, cementu oraz kwasu murowego sprawić, że liście koki będą gęstnieć. Tak przetworzone będą potem długo gotowane. Do momentu aż zostanie z nich specyficzny biały proszek. Silnie uzależniający. Powodujący halucynacje, psychozę i anhedonię. A w dalszej kolejności najczęściej śmierć. To jednak wyłącznie dla jego użytkowników. Dla tych, którzy produkują i handlują, to przede wszystkim wielkie pieniądze. Wielki zysk. I wielki biznes. Fabryki kokainy są dziś szczelnie schowane w leśniej gęstwinie. Ścieżki dostępu są znane tylko kilku osobom. Wszak to tajemnica lasu.

„Różne dziwne łodzie"

Na Río Vaupés policja i wojsko pojawiają się sporadycznie. Doskonale wiedzą, że nie mogą tu wiele zrobić. Przemyt narkotyków z brazylijskiej granicy na kolumbijską i odwrotnie będzie tu trwał niezależnie od tego, ile posiłków sprowadzono by na ten odcinek. Dla przemytników nie ma lepszych warunków do uprawiania przestępczego procederu. Pod osłoną nocy czy za dnia, na bezludnych odcinkach kręcącej

eprasa.pl 97889736ca



pomagać.



W ciągu dnia boisko pod kościołem w Iauaretę tętni życiem.

się rzeki. A następnie poprzez forsowanie długimi godzinami nieprzejednanych zasieków puszczy. Tak narkobiznes wygląda tu od lat.

Samuel ma dwanaście lat. Jego tata wprawdzie opowiadał już kilka razy półgębkiem o „różnych dziwnych łodziach", które od czasu do czasu można spotkać na zakolu Río Vaupés przy ich rodzinnym Iauaretê. Póki co Samuel niewiele z tego rozumiał. „To świat dorosłych" – myślał i wracał do swoich zabaw. Jednak kropla drążyła skałę. Ojcowskie opowieści zaczęły odciskać swoje piętno na wyobraźni chłopca. Samuel stał się na swój dziecięcy sposób świadom zagrożeń. Także teraz, gdy siedzi bezpiecznie na swojej ulubionej nadrzecznej skarpie, mimowolnie bacznie przysłuchuje się najdrobniejszemu nawet szelestowi, jaki dochodzi znad rzeki, uważnie lustrując każdy ruch, jaki pojawia się na horyzoncie.

Amazońskie ciemności zapadają coraz szybciej. Tutaj, w tropikach, to zupełnie normalne. Zachód i wschód słońca trwają tyle co zgaszenie światła w pokoju. Dla Samuela to norma. Chłopiec nie zna innego świata, zmienności pór roku. Wie tyle, ile sam zdążył doświadczyć w swoim nastoletnim życiu, spędzonym tutaj – w zapomnianym przez świat amazońskim zaułku. W indiańskiej wioseczce ukrytej w cieniu gęsto zalesionej granicy brazylijsko-kolumbijskiej.

Gra nad Rio Vaupés

Już późno. Pora wracać do domu. Nad lasem zapada chwilowa cisza. Samuel miał szczęście, zdążył przed ulewą. Krótką i bardzo intensywną. Jak to w selwie. Wezbrana deszczówką rzeka płynie teraz zdecydowanie szybciej. Po kilkunastu minutach wśród ciszy słychać przebijające się pierwsze dźwięki. Wpierw dyskretnego świerszcza. Po nim bzyczenie komara. Pohukiwanie małpy. Krakanie stada papug, które wreszcie mogą opuścić bezpieczną kryjówkę w koronie drzewa. Po nich wszystkich przychodzi pora na cowieczorny koncert cykad. Muzyka traw unosi się pośród opadających powoli mgieł rzecznych w widłach między Rio Negro a Rio Vaupés.

– Diego, przestało padać. Pójdziemy na chwilkę pograć w piłkę? – prosi Samuel.

– Nie, już za ciemno. Nie trafisz w piłkę nawet... – odpowiada starszy brat. Jest zajęty graniem na telefonie.

– W co grasz? – Widząc siedzącego z grą brata, chłopiec szybko zapomina o piłce. Rzuca w kąt chaty i podbiega do koca, na którym siedzi Diego.

– Nie znasz... To gra dla starszych. Za mały jeszcze jesteś – odpowiada, burcząc pod nosem nastolatek.

– Ej... Ja też chcę... – zaczyna jęczeć malec.

– Tylko mi tu teraz nie płacz! – Unosi się starszy brat. – Nie pamiętasz rozmowy z rodzicami? Mama i tato nie pozwolili ci grać. Jak wrócą do domu, to sam się ich zapytasz, czy możesz.

– Ale Diego... – Chłopiec zalewa się nieco wymuszonymi łzami. – Ile mam czekać? Rodzice wrócą dopiero późnym wieczorem...

– Powiedziałem ci, żebyś nie jęczał – syczy w odpowiedzi zdenerwowany nastolatek. – Zaraz skończę, to ci dam chwilę pograć.

FOT. ŁUKASZ WIŚNIEWSKI MIC

eprasa.pl 97889736ca

Półmrok izby

Nad indiańską wioską nadal słychać koncert cykad. Wieczorna wilgoć ochłodziła powietrze. Samuel okrywa się bluzą z kapturem. Nic już nie mówi. Czeka aż starszy brat skończy.

– Dobra, masz – Diego ze zniecierpliwioną miną wręcza wreszcie telefon młodszemu bratu.

– Super! Ale włączysz mi tę swoją grę? – Chłopiec nie odrywa wzroku od zdobyczy.

– Tak, ale pamiętaj jeden warunek. Jak poziom baterii spadnie do 30 proc., oddajesz mi telefon.

Indiański pięciolatek siada w miejscu, gdzie przed kilkoma minutami siedział jego starszy brat, i zaczyna grać. Jest tak zafascynowany zabawą, że zapomina o całym świecie. W pokoju słychać w tej chwili jedynie wydobywające się z telefonu elektroniczne dźwięki. Starszy brat zostawiwszy telefon, wychodzi do sąsiedniego pomieszczenia.

– Diego, już 40 proc.! – malec krzyczy przez ścianę, chcąc pochwalić się bratu, że nad wszystkim czuwa i pilnuje poziomu baterii.

Po chwili znów wraca do gry. Nawet nie zważając na to, że brat w ogóle nie odpowiada. Może już gdzieś wyszedł? Może nie ma humoru? A może już śpi? Samuel nie ma czasu na zastanawianie się nad tym. Zostało mu jedynie 10 proc. baterii do dogrania.

Na blaszany domek spada kropla wody. Być może to ona wybudza z gamingowego letargu młodziutkiego Indianina. Chłopiec widzi, że na ekranie telefonu przy ikonce baterii widnieje 30 proc. Zrywa się z rozłożonego w głównej izbie koca, by pobiec w stronę sąsiedniego pokoju. Tego, do którego skierował swoje kroki zachmurzony Diego. Chłopczyk wchodzi co zacienionego pomieszczenia.

– Diego... – szepcze nieco zlęknionym głosem chłopiec. – Bateria...

Nikt nie odpowiada. Samuel przesuwa się nieco dalej. Zostawiając za sobą uchylone drzwi. Dopiero z tej perspektywy może zobaczyć swojego brata. Jego ciało wisi na klamce.

Gdy potrzeba marzyć

– Dawno się to wydarzyło? – słuchając opowiadanej przez jednego z mieszkańców Iauaretê historii dwaj duchowni pochylają głowy w dół. Ojciec Sławek zdążył już poznać Diego. Iauaretê mieści się w obszarze jego misji. Ksiądz Łukasz przyleciał niedawno z Polski. Przywiózł dary od Pomocników Mariańskich, świeckiego stowarzyszenia wspierającego misjonarzy. Nie spodziewał się, że spełniając jedno ze swoich chłopięcych marzeń i przybywając do głębokiej Amazonii, jedną z pierwszych historii, jakie tu usłyszy, będzie właśnie ta. O samobójstwie nastoletniego Diego.

– Dwa tygodnie temu – odpowiada mężczyzna. – Ale Diego nie był jedynym.

– Jak to nie był jedynym? – dopytuje marianin.

– Patrząc statystycznie: od stycznia co miesiąc odbiera tu sobie życie jedno dziecko.

– To jakaś hekatomba... – Ksiądz Łukasz zdejmuje na moment okulary, aby przetrzeć palcami kąciki oczu.

– Nie, proszę księdza, to po prostu realizm życia nastolatków w puszczy – odpowiada smutno Indianin.

– A ty? – Tym razem, jakby chcąc uciec od przytłaczającego tematu i wpuścić w rozmowę nieco świeżego powietrza, ksiądz Łukasz zwraca się do siedzącego nieopodal mężczyzn nastolatka. Ma jakieś piętnaście lat. Przyjechał do Iauaretê razem z ojcem Sławkiem. Na co dzień mieszka w São Gabriel da Cachoeira. Ubrany jest w żółtą koszulkę z niebieską dziesiątką na piersiach. Na plecach reprezentacyjnego trykotu Brazylii widać napis: „Neymar". Korzystając z okazji, że dorośli dłużej rozmawiają, chłopiec zaczął grać w piłkę na polskim betonowym boisku pod kościołem.

– Tak, ojcze... – odpowiada z radością w oczach, gdy wreszcie podbiega do rozmawiających.

– Powiedz mi, dlaczego twoi rówieśnicy odbierają sobie życie? O co tu właściwie chodzi? – Pytanie marianina sprawia, że wzrok wszystkich przechadzających się wokół kościoła w jednej chwili wędruje na chłopaka.

Przez dłuższą chwilę chłopiec nieco speszony patrzy pod siebie w ziemię.

– Masz jakiś pomysł? – próbuje mu pomóc duchowny.

– Tak, proszę księdza. Wydaje mi się, że wiem, czemu oni nie chcą żyć. Bo nie marzyli – Słowa chłopca jakby przecinają powietrze.

Gdy jutra może już nie być

Dla przeciętnego chłopca dorastającego w amazońskim Iauaretê słowo „perspektywa" praktycznie dziś nie istnieje. Jutra bowiem mogłoby już nie być. I może nawet lepiej, gdyby faktycznie nie było. Wszak ten dzień nie będzie się jakoś diametralnie różnił od tego dzisiejszego. Pod wieloma względami będzie jednakowy. Niczym lustrzane odbicie. Z tym samym mizernym posiłkiem podanym przez troskliwą mamę. Z tą samą rzeką przepływającą pod domem. Z tą samą biedą. Tym samym brakiem. Przenikliwym i nieprzerwanym.

– Dla tych ludzi nasza wizyta to prawdziwe święto – tłumaczy swoim towarzyszom ojciec Sławek – I nie chodzi tu wyłącznie o dary, które przywozimy. Ci ludzie potrzebują uwagi. Rozmowy. Odmiany, pewnej świeżości. Czasem jednak, jak widzicie, jesteśmy zwyczajnie spóźnieni. ■

eprasa.pl 97889736ca

Co kryje „Die Moskau Connection”



Olga Doleśniak-Harczuk



Po rosyjskiej napaści na Ukrainę rynek wydawniczy w Niemczech czekał na książkę, która w sposób syntetyczny i uczciwy naświetli rosyjsko-niemieckie powiązania, zależności i interesy. Tak – te wszystkie, o których w Polsce pisano i mówiono od dawna, a w Niemczech zazwyczaj pomijano niezręcznym milczeniem. Jedną z pierwszych publikacji wydanych już w reakcji na wojnę była książka Rüdigera von Fritscha, niemieckiego dyplomaty, który w latach 2010–2014 był ambasadorem Niemiec w Polsce, a następnie do 2019 roku w Moskwie. Książka pt. „Zeitenwende – wojna Putina i jej konsekwencje” ukazała się w maju 2022 roku. Autor ograniczył się głównie do możliwych scenariuszy zakończenia wojny, analizy jej przyczyn i rozważań nad „rosyjskim poczuciem zagrożenia rozszerzeniem NATO na wschód”. Wątek powiązań – nie tylko Gerharda Schrödera, lecz także całego szeregu niemieckich polityków z prawa i z lewa, z Moskwą, nawet nie został w tej książce draśnięty. Potem nastąpił wysyp publikacji o samym Putinie, następnie reportaży z Ukrainy, lecz książka zogniskowana wokół niemiecko-rosyjskiej siatki interesu ukazała się dopiero 16 marca 2023 roku. Warto było na nią czekać?

eprasa.pl 97889736ca

Die Moskau Connection – Siatka Schrödera i niemiecka droga do uzależnienia" to efekt współpracy dwóch dziennikarzy – Reinharda Bingenera i Markusa Wehnera – związanych z dziennikiem „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Bingener jest teologiem ewangelickim, Wehner uznanym w środowisku znawcą realiów i historii państw środkowo- i wschodnioeuropejskich. Obaj zaś napisali książkę, która zdecydowanie wykracza poza dotychczasowe postrzeganie stosunków niemiecko-rosyjskich. Skąd ten wniosek?

Herszt prokremlowskiego towarzystwa

Po pierwsze – autorzy kreślą powiązania na linii Niemcy–Rosja, nie uciekając się do utartego schematu, w którym jedynym winnym prokremlowskiej de facto polityki posttransformacyjnych rządów zjednoczonych Niemiec jest Gerhard Schröder, a po nim długo, długo nikt.

Po drugie – zamiast typowego wstępu wprowadzającego czytelnika w złożoność i zawiłą genealogię niemiecko-rosyjskiej zażyłości, z cofnięciem się do oświeceniowego autorytaryzmu Katarzyny II czy niemieckich fascynacji literaturą rosyjską (która nie sprowadzała się przecież wyłącznie do zachwytów Rainera Marii Rilkego rosyjskim folklorem czy do nabożnego stosunku Thomasa Manna dla analizy psychologicznej u Turgieniewa, ale na początku XX wieku w Niemczech było najzwyczajniej w dobrym tonie posiadanie dzieł zebranych Dostojewskiego wydanych przez van der Brucka, który w twórczości Dostojewskiego dopatrzył się nawet „wehikułu odrodzenia Niemiec"), dziennikarze „FAZ" od razu przechodzą do rzeczy, zaczynając od wartkiej opowieści o narodzinach Gerharda Schrödera wpierw dla niemieckiej socjaldemokracji, następnie dla hanowerskiego urzędu premiera landu, by zakończyć na jego aktywności kanclerskiej i postkanclerskiej. I owszem – Schröder jest tu kreowany na herszta prokremlowskiego towarzystwa i jego przybudówek, ale autorzy książki prześwietlają również jego środowisko i byłą małżonkę Doris Schröder-Köpf, by następnie przejść do prorosyjskich komentatorów, a nawet propagandystów Kremla, którzy dziwnym zrządzeniem losu mieli wstęp na kanapy najbardziej prominentnych programów telewizyjnych niemieckiej telewizji publicznej.

Po trzecie – poza oczywistymi punktami programu, takimi jak: budowa Nord Stream 2 z didaskaliami, rola premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego Manueli Schwesig w powołaniu do życia pseudofundacji klimatycznej, której finansowo i ideowo patronował Gazprom, czy naniesieniem na mapę Niemiec siatki powiązań między niemiecką gospodarką a moskiewską kiesą, Bingener i Wehner cofają się do źródeł Ostpolitik, wskazując na jej deformacje i hipokryzję, o czym szerzej za chwilę, ponieważ ten wątek dotyczy również stosunku socjaldemokratów do Polski. Tak czy inaczej – „Die Moskau Connection" swoim krytycznym spojrzeniem na bankructwo idei Ostpolitik bardziej wpisuje się w analityczne spojrzenie charakterystyczne do tej pory dla ekspertów miary Franka Umbacha (przy okazji serdecznie polecam analizę tego autora z magazynu „Sirius" zatytułowaną „Strategische Irrtümer, Fehler und Fehlannahmen der deutschen Energiepolitik seit 2022") czy prof. Gerharda Simona, niż dla typowej literatury przedmiotu z półki bestsellerów „Spiegla".

Doris idzie do landtagu

Już dwa dni po opublikowaniu „Die Moskau Connection" klub parlamentarny CDU w landtagu Dolnej Saksonii zwrócił się do kancelarii premiera tego landu, Stephana Weila z (SPD), z prośbą o udostępnienie wszelkich dokumentów dotyczących spotkań premiera i jego otoczenia z rosyjskimi partnerami oraz informacji o inicjatywach rosyjsko-niemieckich, jakie miały miejsce od początków rządów Weila. Kancelaria odmówiła wydania wszystkich dokumentów, zasłaniając się „brakiem doprecyzowania w zapytaniu". Sprawa jest o tyle istotna, że do tej pory jedynym urzędującym premierem, mówiąc kolokwialnie „wziętym w obroty" przez opozycję za kontakty z Rosją, była Manuela Schwesig. Premier MPV na każdy zarzut odpowiada brakiem wiedzy, nawet informacja o tym, że urzędniczka urzędu skarbowego w Schwerinie rzekomo ze strachu spaliła we własnym kominku ważne dokumenty w śledztwie dotyczącym pseudofundacji klimatycznej, miała do Schwesig dotrzeć z mediów. Pytanie, jaką linię obrony przyjmie premier Weil, opisywany w książce jako jeden z członków „kręgu hanowerskiego", czyli środowiska skupionego wokół Schrödera.

Autorzy opisując go, zwracają jednak uwagę, że Weil starał się trzymać nieco na uboczu, nie rzucać się w oczy jako piewca prorosyjskiej narracji swojego kolegi z SPD. Z drugiej strony podkreśla się, że tuż po objęciu urzędu premiera landu w 2013 roku w pierwszą podróż zagraniczną Weil udał się do St. Petersburga i Moskwy, gdzie spotkał się z zaufanymi ludźmi Władimira Putina, ale na agendzie znalazło się też spotkanie z rosyjskimi przedstawicielami organizacji obywatelskich walczących o prawa człowieka. To było pierwsze i ostatnie spotkanie tego typu. Podczas żadnej z kolejnych wypraw do Rosji Weil już nie powtórzył tego punktu programu, za to regularnie miał spotykać się w Rosji z Dmitrim Kosakiem wyznaczonym

eprasa.pl 97889736ca

w 2014 roku przez Putina do przeprowadzenia akcji „zintegrowania Krymu z Federacją Rosyjską". W podróżach do Rosji często towarzyszył Weilowi Heiko Wiese, zaufany człowiek Schrödera, uznawany za architekta wielu jego rosyjskich kontaktów.

W książce szybka kariera Weila od „zwykłego prawnika" do jednego z najważniejszych polityków SPD jest w pewnym momencie zestawiana z równie imponującym rozkwitem politycznej ścieżki byłej już dziś małżonki Schrödera, Doris. Ta była dziennikarka w 2013 roku, czyli w czasie zwycięstwa wyborczego Weila, została deputowaną do landtagu Dolnej Saksonii i zajęła miejsce posłanki Sigrid Leuschner. Sprawa z tą zamianą była o tyle nietypowa, że Leuschner dowiedziała się o zagrożeniu utraty mandatu na rzecz Schröder-Köpf, będąc w podróży służbowej po Polsce. Na wieść, że żona kanclerza jest właśnie w Hanowerze przedstawiana ważnym działaczom jako potencjalna deputowana szykowana na jej miejsce, Leuschner miała błyskawicznie wrócić do Hanoweru, by ratować swój stołek. Nie udało się. W głosowaniu na poziomie bazy partyjnej wygrała, ale kierownictwo zadecydowało na korzyść wpływowej rywalki. Po tym jak Schröder-Köpf osiągnęła swój cel, na konto lokalnej SPD zaczęły wpływać od niej darowizny o znacznej wartości, transz było kilka, ustały dopiero po rozwodzie z Gerhardem Schröderem. Ona sama została oddelegowana na odcinek migrantów i integracji. Jak sugerują autorzy książki, przydzielenie jej tego zadania miało przyciągnąć do SPD licznie zamieszkujących Dolną Saksonię przesiedleńców z byłych republik sowieckich, czyli tzw. Russlanddeutsche, których liczbę w całych Niemczech szacuje się na 2,5 mln osób. Russlanddeutsche gustowali w tamtym czasie w CDU, uważano ich za elektorat partii konserwatywnych, prorosyjskie usposobienie Schröder-Köpf, które pani poseł manifestowała a to fotografując się na moskiewskiej gali z żoną Putina i szefem Gazprom Germania, a to udzielając wywiadu Sputnikowi, gdzie zdradziła szczegóły „nocnej rozmowy z Putinem", miało być magnesem dla tej grupy wyborców. I było.

Takich opowieści na kartach „Die Moskau Connection" jest wiele, a każda z nich obnaża kulisy prokremlowskiej siatki rozpisanej na głosy i role. Z pewnością interesujący jest też opis młodzieńczych fascynacji samego Schrödera, jak chociażby wspomnienie jego udziału w wielkim kongresie młodzieży sowieckiej (jako szefa JUSOS) w 1978 roku, kiedy na łamach „Komsomolskiej Prawdy" poparł krytykę Sowietów wobec amerykańskich planów dozbrajania Europy Zachodniej. Nie była to zresztą ostatnia wizyta młodego działacza w Związku Sowieckim, Schröder jeździł do Moskwy jeszcze w marcu 1980 i styczniu 1982 roku.

Polski akcent

„Die Moskau Connection" skupia się przede wszystkim na pytaniu o to, jak Niemcy mogły uzależnić się energetycznie od Rosji i jak rozliczyć odpowiedzialnych za ten stan rzeczy, ale z perspektywy polskiego czytelnika mogą być wątki, które dotyczą bezpośrednio Polski. A jest ich kilka i można je podzielić na te, które odnoszą się do systemowego ignorowania przez Berlin ostrzeżeń płynących z Warszawy, przed możliwą agresją Federacji Rosyjskiej, przed używaniem przez Moskwę gazu jako broni, przed budową Nord Stream 2 etc. Inne dotyczą kwestii z przeszłości i świadczą dobitnie o niechętnym, żeby nie napisać – wręcz wrogim stosunku prominentnych zachodnioniemieckich socjaldemokratów do wolnościowych dążeń Polaków w czasach PRL.

Autorzy książki przywołują wypowiedź ówczesnego kanclerza, Helmuta Schmidta (SPD) z 1981 roku, który stwierdził, że „ogłoszenie stanu wojennego było konieczne". Kolejnym przykładem stosunku kierownictwa SPD do wydarzeń w Polsce początku lat 80. jest taki cytat: „Egon Bahr [współtwórca Ostpolitik] zarzucił Solidarności igranie z pokojem w Europie. Był przekonany, że destabilizacja PRL-u naruszy równowagę militarnych bloków NATO i Układu Warszawskiego". Następnie pojawia się motyw rozmowy Herberta Wehnera, ówczesnego przewodniczącego klubu parlamentarnego SPD w Bundestagu, z zaufanym człowiekiem Ericha Honeckera. Wehner miał mu przekazać, że „trzeba wdrożyć zdecydowane kroki wobec Polski" i „im szybciej, tym lepiej". Rozdział poświęcony mitom Ostpolitik jako jednej z najbardziej szlachetnych idei zachodnioniemieckich elit, jako „gestu wyciągniętej ręki do Wschodu", kończy się cytatem z Heinricha Augusta Winklera: „Polityka wschodnia nabrała swojego reprezentatywnego charakteru wyrażającego się w tym, że jej architekci faktycznie wspierali strategię ciemiężycieli". To nie są sprawy nowe, ale fakt, że przywołano je w książce mającej ambicje naświetlenia pewnej ewolucji w stosunkach niemiecko-rosyjskich, należy odnotować i docenić. Ukazanie niemieckiemu czytelnikowi (polski jest w tej kwestii z reguły dobrze zorientowany) prawdy o taktyce „Wandel durch Handel", tej samej, która pompując do swojego krwiobiegu energetycznego sowiecki gaz, odmawiała wolności Polakom, Czechom i innym narodom tzw. demoludów, jest na plus. Czy ta książka będzie kostką domina w wewnętrznym rozrachunku z decyzjami, których skutki poniekąd widzimy dziś na Ukrainie? Nie wiem. Mało na to wskazuje. Deputinizacja niemieckich elit politycznych byłaby bolesną operacją dla wszystkich środowisk. Nawet dla części Zielonych. To spore ryzyko. ■

eprasa.pl 97889736ca

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Japonia–Korea Płd.

Pierwsza od 12 lat podróż prezydenta Korei Płd. do Japonii zaowocowała porozumieniami w sprawie eksportu komponentów półprzewodników i współpracy wywiadowczej przeciwko działaniom Pjongjangu.

16 marca br. konserwatywny prezydent Korei Płd. Yoon Suk-yeol został uroczyście powitany w Tokio przez premiera Japonii Fumio Kishidę podczas dwudniowej wizyty służącej naprawie relacji pomiędzy obiema azjatyckimi demokracjami i ważnymi sojusznikami. W ostatnich latach stosunki między Tokio a Seulem nie były najlepsze. Kością niezgody były zarówno kwestie handlowe, jak i pamięć o japońskiej kolonizacji Korei i wielu nadużyciach, jakich w tym okresie dopuścił się Kraj Kwitnącej Wiśni na Koreańczykach.

Gdy w 2018 roku południowokoreański Sąd Najwyższy zdecydował, że japońska firma Nippon Steel musi wypłacić czterem Koreańczykom odszkodowania za pracę przymusową wykonywaną podczas II wojny światowej, Japonia odmówiła wykonania wyroku i napięcie na linii Tokio –Seul osiągnęło szczyt.

Na początku marca br. władze Korei Południowej postanowiły zakończyć spór z Japonią i same wypłacać odszkodowania swoim obywatelom, którzy byli ofiarami kolonialnych rządów Japończyków w latach 1910–1945. To otworzyło drzwi do spotkania prezydenta Korei Płd. i premiera Japonii oraz do rozpoczęcia procesu pogłębiania współpracy obu krajów. Zabiegały o to szczególnie Stany Zjednoczone, które chcą wspólnie ze swoimi sojusznikami – Koreą Płd. i Japonią – budować zjednoczony front przeciwko Chinom, Rosji i Korei Płn.

Podczas spotkania prezydenta Yoona i premiera Kishidy, Japonia zgodziła się na zniesienie ograniczeń eksportowych do Korei Płd. na trzy komponenty niezbędne do produkcji mikroczipów (ich produkcja jest jednym z filarów południowokoreańskiej gospodarki), na które Tokio ma niemal monopol. Jednocześnie Seul postanowił umorzyć sprawę przeciwko Japonii, którą wytoczył w Światowej Organizacji Handlu w 2019 roku. Prezydent Yoon poinformował, że uzgodniono także całkowitą normalizację porozumienia z Japonią o wymianie informacji wywiadowczych GSOMIA. Południowokoreański przywódca dodał, że „oba kraje muszą mieć możliwość wymiany informacji na temat startów i trajektorii rakiet Korei Północnej". Porozumienie GSOMIA uznawane jest za kluczowe również w kontekście współpracy trójstronnej obu krajów z USA.

Rozmowy prezydenta Korei Płd. i premiera Japonii w Tokio, których ważnym elementem były negocjacje dotyczące sektora półprzewodników, a także ogłoszenie kilka dni wcześniej informacji, że rząd Korei Płd. planuje budowę największego na świecie klastra produkcji półprzewodników, to wyraźny sygnał, że Tokio i Seul dołączyły do działań Waszyngtonu, by osłabić pozycję Chin w łańcuchu produkcji i dostawy chipów.

Tajwan

16 marca w Tajpej miał miejsce panel dyskusyjny dotyczący sektora półprzewodników, w którym wzięli udział ojciec tajwańskiego przemysłu mikroprocesorowego Morris Chang, wiceprezydent Tajwanu William Lai oraz Chris Miller – amerykański historyk i autor książki pt. „Chip War" (książka będzie dostępna w Polsce pt. „Wielka wojna o chipy"

eprasa.pl 97889736ca

od 28 kwietnia). Morris Chang powiedział, że popiera amerykańskie próby spowolnienia rozwoju sektora półprzewodników w Chinach. „Stany Zjednoczone rozpoczęły swoją politykę przemysłową dotyczącą chipów, aby spowolnić postęp Chin. Nie mam nic przeciwko temu, wręcz to popieram" – stwierdził 91-letni Chang, założyciel TSMC, największego na świecie producenta chipów.

Chiny przez lata przeznaczyły setki miliardów juanów na rozwijanie własnego łańcucha dostaw półprzewodników, aby zmniejszyć zależność od zagranicznych firm technologicznych. W międzyczasie Stany Zjednoczone zaostrzyły kontrolę eksportu wobec Chin i przekonały inne kraje, takie jak Japonia i Holandia, do ograniczenia dostępu Chin do chipów i technologii zapewniających produkcję półprzewodników.

Morris Chang powiedział, że Chiny pozostają w tyle za Tajwanem pod względem możliwości wytwarzania chipów i napotykają „trudności" w produkcji bardziej zaawansowanych chipów. „Najbardziej zaawansowanymi chipami, które teraz Chiny produkują, są półprzewodniki, które TSMC produkowało z łatwością już pięć, sześć lat temu". Ale chociaż ojciec tajwańskiego sektora półprzewodników popiera podejście Waszyngtonu do Chin w kwestii chipów, to powiedział również, że nie widać, aby Tajwan był częścią amerykańskiej kampanii onshoringu (przeniesienie działalności gospodarczej z powrotem do kraju macierzystego) i friendshoringu (tworzenie sieci produkcji oraz dostaw między współpracującymi państwami). „Friendshoring, o którym mówią, nie obejmuje Tajwanu [...] W rzeczywistości sekretarz handlu USA Gina Raimondo wielokrotnie powtarzała, że poleganie na Tajwanie jest niebezpieczne, a jej komentarze są czasami powtarzane przez [sekretarz skarbu Janet] Yellen. [...] To jest dylemat dla Tajwanu" – powiedział Chang.

Obawy przed Chinami, które uważają Tajwan za część swojego terytorium i mogą spróbować siłą przejąć wyspę, skłoniły niektórych polityków w Waszyngtonie do rozważenia nawet drastycznych środków. Wśród nich są scenariusze gier wojennych, w których wyrafinowany przemysł półprzewodników Tajwanu zostałby zniszczony, aby zapobiec jego wpadnięciu w ręce Chin.

Podczas panelu założyciel TSMC stwierdził też, że globalizacja w sektorze chipów jest „martwa", a wolny handel jest zagrożony w wyniku długoterminowych „konsekwencji" onshoringu. „Powszechność półprzewodników wynika przede wszystkim z ich coraz niższych kosztów. Jeśli zrezygnujesz z przewagi konkurencyjnej na Tajwanie i przeniesiesz się do USA – co już się stało – koszty będą dwa razy wyższe niż na Tajwanie". Wzrost kosztów spowoduje, że rosnąca wszechobecność półprzewodników „albo zatrzyma się, albo zwolni", uważa Morris Chang.

Innego zdania był Chris Miller, który twierdzi, że zróżnicowanie cen będzie z czasem maleć. „Myślę, że z biegiem czasu trzeba będzie się uczyć, jak najskuteczniej produkować w nowych krajach, ale też rozsądne wydaje się stwierdzenie, że firmy inwestujące w nowych lokalizacjach nauczą się doskonalić swoje procesy i stawać się bardziej wydajne, a więc myślę, że różnice cenowe, których można by się spodziewać, z czasem nieco się zmniejszą" – powiedział Miller. „W Stanach Zjednoczonych jest wiele firm, które produkują z zyskiem". Miller nie zgodził się też z używaniem słowa „globalizacja" odnośnie do przemysłu półprzewodników. Bardziej odpowiednie według niego jest określenie „internacjonalizacja", ponieważ przemysł chipów sprzedaje swoje produkty na całym świecie, a produkcja jest niezwykle skoncentrowana tylko w kilku krajach. Miller uważa, że zbyt duża koncentracja stwarza większe ryzyko, gdy coś pójdzie nie tak. „Można martwić się klęskami żywiołowymi, ale oczywiście dziś tło geopolityczne jest postrzegane w większości krajów jako bardziej niebezpieczne niż pięć lat temu".

Morris Chang powiedział, że rzeczywiście istnieje koncentracja, „ponieważ kraje są konkurencyjne w tym, co robią". „USA są konkurencyjne, jeśli chodzi o projektowanie. Z drugiej strony Tajwan, Japonia i Korea Płd. są konkurencyjne w kwestii produkcji". Ale według Changa zaletą Tajwanu jest też kultura pracy. Założyciel TSMC jako przykład podał sprzęt do produkcji chipów. Ponieważ maszyny te są bardzo drogie, muszą pracować 24 godziny na dobę, aby uzasadnić ich koszt. „Jeśli jakaś zepsuje się o 1 w nocy, to w USA zostanie ona naprawiona następnego ranka, a na Tajwanie o 2 w nocy. Jeśli inżynier na Tajwanie dostanie telefon w nocy, obudzi się i zacznie się ubierać. Jego żona zapyta: »Co się stało?«, a on na to: »Muszę jechać do fabryki«. Żona pójdzie spać bez słowa. To jest kultura pracy"– powiedział Chang.

Półprzewodniki to dziś „nowa ropa" przemysłu. To powietrze, bez którego gospodarki będą się dusić. To także najważniejszy obszar starcia pomiędzy USA i Chinami. Ta wojna półprzewodnikowa to tak naprawdę konflikt o dominację. „Bitwa o dominację w dziedzinie półprzewodników to jedna z najważniejszych historii dotyczących geopolityki, bezpieczeństwa narodowego i dobrobytu gospodarczego" – twierdzi Andrew McAfee, badacz na amerykańskiej uczelni Massachusetts Institute of Technology. To przemysł półprzewodników już teraz decyduje o strukturze światowej gospodarki i równowadze sił geopolitycznych. ■

eprasa.pl 97889736ca

Olga Doleśniak-Harczuk



Bałkańskie duchy 20 lat później

W marcu odeszła Dubravka Ugrešić. Można było lubić jej bezlitosny styl lub nie. O takich pisarkach mówi się „kontrowersyjna". To zresztą jeden z najbardziej nadużywanych i wydrążonych z sensu przymiotników świata. Można go przypiąć każdemu. Dla mnie Ugrešić była przede wszystkim nauczycielką chorwackiego. Tak. Można się uczyć języka, czytając trudne książki. Łatwe też. Te drugie uczą prozy życia, dzięki nim umiemy zamówić kawę, zapytać o drogę, zagaić rozmowę. Te pierwsze zostają w krwiobiegu, stapiają się z czytelnikiem, nie sposób ich przegnać. Raz „przeczytanej" Dubravki Ugrešić nie da się przegnać. Bałkanów sprzed lat, zastygłych pod powiekami duchów Sarajewa, Belgradu, Mostaru, Zagrzebia, nie da się przegnać. I kota w szare pręgi to już w ogóle się nie da. Żadną siłą.

eprasa.pl 97889736ca

Pierwsze spotkanie z Ugrešić przyszło wraz z „esejami antypolitycznymi" „Kultura Laži" [„Kultura kłamstwa"]. To był rok 2004, wycieczka studencka z Uniwersytetu Humboldta po najciekawszych zakątkach Bałkanów. Serbski Nowy Sad wyglądał mniej więcej tak jak małe polskie miasteczka na przełomie lat 80. i 90. XX wieku. Estetyka szyldów reklamowych, wystaw sklepowych, nawet kurz wirujący w sierpniowym upale, wszystko to przenosiło człowieka w czasie (i miejscu) o jakieś 13 lat. Kartki wyrwane z zeszytu w kratkę przyklejone do witryn sklepów obuwniczych głoszące, że „tu kupisz buty na raty", a kilka uliczek dalej przedstawicielstwo luksusowej marki niemieckiej porcelany i garnków ze stali nierdzewnej. Kto kupuje tu te talerze i pokrywki warte równowartość średniej pensji?

(Nie) umrzeć ze wstydu

Zachęta, by kupować na raty, dotyczyła nie tylko butów. Płatności rozkładano za wyprawki szkolne oferowane w papierniku, za książki, podręczniki. „Kultura Laži" w zielonej okładce przyciągnęła wzrok. 466 dinarów i można było zabrać do hotelu. I czytać ze słownikiem chorwacko-niemieckim w dłoni. Najlepszy podręcznik językowy globu. Przeczytana lata później wersja polskojęzyczna, bardzo dobra zresztą, wydawała się przy tamtym oryginale drogą na skróty. Ugrešić nie chodziła na skróty. I lubiła wkładać ręce w rany.

„Nie polałam się benzyną na znak protestu przeciwko wojnie i nie spaliłam publicznie. Nie zwracałam uwagi na nieustanną produkcję kłamstwa, pozwoliłam, by przepływało obok mnie niczym brudna woda. I tak dalej, i tak dalej. Moje działania są niezauważalne, na ogół pozostawały na papierze. Zbyt późno rozgniewałam pisaniem swoje środowisko. Nie udało mi się nawet umrzeć ze wstydu. To, że inni też tego nie zrobili, mnie nie usprawiedliwia" (tłum. Dorota Jovanka Ćirlić). Brzmi mocno. Nawet po tylu latach (książka ukazała się po raz pierwszy w 1995 roku w Amsterdamie) i autentycznie jak mało co. Żadnych „kontrowersji". Tylko wyznanie, które równie dobrze można by napisać dziś na niejednym murze. Tamtego, wyjątkowo uciążliwego lata w bagażu wylądowało jeszcze kilka książek, w tym dwie po rumuńsku, bo ambitny przewodnik zagnał grupkę studentów do Timişoary, a przystanek w księgarni był tak samo oczywisty jak maraton po lokalnych barach, ale żadna z książek nie miała siły „Kultury kłamstwa".

Musicie to przeczytać

To przyszło dwa lata później. Ale już w Sarajewie. W piętrowym domu należącym do muzułmańskiej rodziny, która wynajmowała go obcokrajowcom uczącym się bośniackiego w jednej z tutejszych szkół językowych. Na gości czekała położona na stoliku jakby od niechcenia książka Roberta Kaplana „Balkan Ghosts", obok mosiężne popiersie Tito i gumowy pająk. Osobliwy zestaw. Ale w Sarajewie wszystko było wtedy osobliwe. Koty urządzające dzikie harce pod oknami i ten jeden najmniejszy, który wpadał na pasztet, ten sam, którego pochowaliśmy dwa dni przed wyjazdem do Mostaru, pod drzewem. Szary, ufny, sarajewski kot żyje wciąż na zdjęciach. Tak jak minarety, bazary, restauracje z cevapcici. Reszta to wspomnienie kobiet, które nie chciały mówić o wojnie, i grymas na twarzy starszego mężczyzny, który z urazą potraktował próbę poczęstowania go gorącym jeszcze chlebem. I jeszcze rosły nauczyciel bośniackiego, typ nałogowego bywalca siłowni, ze wzruszeniem polecający tomik „Sarajewskie Marlboro" Miljenko Jergovića. „Musicie to przeczytać. Inaczej nie zrozumiecie, co tu się

> Sprawy są wielkie, jeśli przeżywamy je jako wielkie, i małe, jeśli przeżywamy je jako małe" – pisała Dubravka Ugrešić w „Ministerstwie Bólu".

działo". I przeczytaliśmy. Czy zrozumieliśmy? Może tak. A może trzeba było tam być, w oblężonym Sarajewie, by do człowieka dotarło. „Sprawy są wielkie, jeśli przeżywamy je jako wielkie, i małe, jeśli przeżywamy je jako małe" – pisała Dubravka Ugrešić w „Ministerstwie Bólu". Płakaliśmy wtedy jak dzieci, chowając bośniackiego kota pod drzewem na wzgórzach Sarajewa. To była nasza „wielka sprawa". Opuszczając miasto, mieliśmy pod powiekami obraz śladów po kulach w murach „naszego" domu, niewzruszone popiersie Tita nazwanego w związku z sąsiedztwem gumowego pająka „Tito Tarantulą", muzułmański cmentarz z charakterystycznymi kamiennymi turbanami, który mieścił się nieopodal domu, i drag queen udającego w nocnym klubie gwiazdę turbo-folku, Sekę Aleksić. I dziesiątki kotów opłakujących naszego szarego towarzysza od pasztetu. Tak to sobie wtedy tłumaczyliśmy. A dziś? Jest klatka po klatce. Bałkany zastygłe w melasie wspomnień. Jak owad w bursztynie. Spoczywaj w Pokoju, Pani Dubravko. Pewnie już czytasz książkę z dzieciństwa, „Jeżowy Domek" Branko Ćopića. Teraz już można. ■

eprasa.pl 97889736ca

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Koszmar rozpadu imperium prześladował wielu jego władców

W opublikowanym 6 marca na opozycyjnej stronie kasparov.ru artykule Aleksandr Skobow pisze o tym, dlaczego Władimir Putin na serio obawia się kryzysu i rozpadu Federacji Rosyjskiej w jej obecnym kształcie.

We wszystkim, co reżim Putina przekazuje, czy to bezpośrednio ustami swego wodza, czy członków jego najbliższej świty, jego krytycy przywykli widzieć jedynie propagandową manipulację. To prawda, lokatorzy Kremla dali aż nadto powodów, by postrzegać ich jako ludzi, którzy nigdy nie mówią tego, co myślą, i nigdy nie wierzą w to, co sami mówią. A kiedy dyktator mówił o groźbie „derusyfikacji" Rosji przez złośliwy Zachód i utracie przez Rosjan tożsamości (będą Moskale, Ural itd.), odebrano to jako kolejny straszak na rosyjskie pospólstwo, mający usprawiedliwić rozpętaną przez Putina wojnę z Ukrainą: jeśli ich nie „wyprzedzimy", to oni nas „zderusyfikują".

Autokratyczna forma rządów

Tymczasem koszmar upadku imperium prześladował wielu jego władców. I to nie tylko tych najbardziej odrażających. Na krótko przed śmiercią Aleksandra II liberalna część jego świty po raz kolejny próbowała podnieść kwestię „zwieńczenia gmachu reformy ziemstwa" ogólnorosyjskim organem przedstawicielskim. Czyli mowa o pewnym kroku w kierunku rządów konstytucyjnych. Car-reformator odpowiedział, że on osobiście nie ma awersji do porządku konstytucyjnego. Byłby wręcz gotów w każdej chwili dać Rosji jakąkolwiek konstytucję. Gdyby nie miał pewności, że następnego dnia Rosja rozpadnie się na kawałki.

Rozległość i niejednorodność terytoriów Rosji była również powodem, dla którego Katarzyna II uzasadniała konieczność utrzymania autokratycznej formy rządów. Można oczywiście tłumaczyć wszystkie te lęki niechęcią władców do rozstania się z hipnotyzującym ich „pierścieniem omnipotencji". Dlaczego jednak nie przyjąć, że naprawdę czuli oni pod swoimi stopami przepaść? Czuli kruchość całej imperialnej konstrukcji wynikającą z jakiejś nieodłącznej wady. Wady, której usunięcie było zupełnie niezrozumiałe.

Jak każde imperium, rosyjskie państwo imperialne zawsze było zbiorem heterogenicznych terytoriów i ludów zjednoczonych przemocą i utrzymywanych przemocą pod jedną władzą. W Rosji ta główna zasada imperium jest szczególnie widoczna ze względu na rozległość jej często słabo rozwiniętych terytoriów. Powiązania poziome między obszarami oddalonymi od siebie są niezwykle słabo rozwinięte. Prowadzi to do powstania na ciele społeczeństwa hipertroficznego wyrostka pasożytniczego: wojskowo-biurokratycznej klasy rządzącej zorganizowanej w „pion władzy". Wyrostek ten zaczyna żyć wyłącznie dla własnej rozszerzonej reprodukcji, wysysając zasoby z opanowanego przez siebie kraju, pozbawiając go tym samym perspektywy normalnego rozwoju.

W swoim dążeniu do podporządkowania wszystkiego kontroli pionowej, imperialna klasa rządząca bezpośrednio przeszkadza w naturalnym powstawaniu poziomych powiązań między poszczególnymi częściami imperium. Każde osłabienie jej władzy (na przykład poprzez prawne, konstytucyjne, polityczne i obywatelskie wolności) natychmiast nasiliłoby tendencje odśrodkowe, które istnieją w każdym „prefabrykowanym" państwie. Tendencje te nie mogą być kompensowane przez korzyści płynące ze wspólnej przestrzeni politycznej, prawnej i ekonomicznej istniejącej w każdym „prefabrykowanym" państwie.

Ale nie tylko przysłowiowa linia pionowa trzyma imperium w kupie. Składające się na nie ludy, poniżane i uciskane jak wszystkie inne ludy imperium, otrzymują od imperialnej klasy rządzącej poczucie przynależności do czegoś wielkiego i potężnego. Iluzję przynależności do władzy nad innymi. Poczucie wyższości nad innymi, poczucie bycia „wielkim bratem". Rodzi to wielką samowolę, która zatruwa świadomość rosyjskiego człowieka, oszpecając go moralnie. Zamieniając go w kaduka, deratyzatora, gwałciciela i w gruncie rzeczy łajdaka (Lenin), który jest pewien swojego prawa do zmuszania do miłości i posłuszeństwa tych,

eprasa.pl 97889736ca

których uważa za „braci mniejszych". Czerpiącego przyjemność z tłamszenia i poniżania innych.

Zagrożenie: tożsamość regionalna

Organiczny związek między imperialnym charakterem państwa rosyjskiego a autorytarną tradycją przenikającą cały system stosunków społecznych jest oczywisty. Wiąże się on również z trwałym antyzachodnim nastawieniem Rosji. Co więcej, Zachód postrzegany jest nie tylko jako geopolityczny konkurent, z którym toczy się walka o zasoby, lecz także jako nosiciel pożywka dla fałszywych (heretyckich, satanistycznych) wartości suwerenności jednostki i ograniczonej władzy. Wartości te postrzegane są jako bezpośrednie zagrożenie dla patriarchalno-autorytarnego imperium i rzeczywiście tak jest.

Ze stanu „oblężonej twierdzy" imperialna Rosja łatwo przechodzi w stan „krucjaty", aby zniszczyć „gniazdo grzechu i podłości". Ale próby porzucenia zarówno autorytaryzmu, jak i antyzachodniości zawsze rodziły w państwie rosyjskim potężne procesy dezintegracyjne. Dążenie elity rządzącej do stłumienia tych procesów nieuchronnie sprowadzało kraj z powrotem zarówno do autorytaryzmu, jak i do antyzachodniej postawy. I tak to się kręci w kółko. Imperium Rosji nie może być liberalne. I nie może stać się częścią zachodniej wspólnoty cywilizacyjnej. W każdym razie nie wchodzi całkowicie w obręb Zachodu, mimo że kultura rosyjska była i jest europejska. Tutaj kustosze imperialnych zszywek mogą się nie martwić. Ale co z fragmentarycznością?

To jest prawdziwa zmora strażników imperializmu. Strasząc lud Moskalami i Uralami, Putin mówi, czego tak naprawdę się boi. Nie krwawych sporów wewnętrznych, które mogłyby nastąpić po rozpadzie. Putin obawia się, że tożsamość imperialna zostanie łatwo wyparta przez tożsamość regionalną bez wsparcia autorytarnego rządu. A wtedy „przeklęty Zachód" będzie wciągał „rosyjski świat" kawałek po kawałku. Wspominanie przez Putina o perspektywie włączenia części Rosji do Zachodu nie jest straszeniem ludzi. To jest prawdziwy, leżący u podstaw Putina strach. I to właśnie nienawiść do Zachodu jako cywilizacji odrzucającej permisywizm siły jest najważniejsza.

Powstanie Moskali, Urali itp. nie jest samo w sobie czymś nienaturalnym czy tragicznym. Nikt nie unieważnił procesów etnogenezy. Wspólnoty etniczno-kulturowe i językowe rodzą się, zmieniają i znikają. Mieszają się, łączą i, odwrotnie, rozdzielają. Mogą istnieć jako konstelacja całkowicie niezależnych podmiotów politycznych. „Świat hiszpański" istnieje w postaci ponad dwóch tuzinów państw. Każde z nich ma swoje cechy charakterystyczne, swoją własną tożsamość, ale setki milionów ludzi nadal posługują się językiem hiszpańskim. To samo można powiedzieć o świecie arabskim.

W obecnych specyficznych okolicznościach historycznych upadek Imperium Rosyjskiego może przybrać najbardziej katastrofalne formy. Haniebna klęska militarna i upadek instytucji państwowych. Po tym wszystko jest możliwe. Może dojść do sporów wewnętrznych, a następnie do wypędzenia z konkretnych terytoriów tych, którzy byli w mniejszości. I lokalne państewka, rządzone przez stalinowskie „trojki".

Postputinowski rząd

Czy można tego uniknąć? Czy można wymyślić i odbudować Rosję nie na zasadach imperialnych, ale demokratycznych, parlamentarnych i prawdziwie federalnych? Właśnie taką drogę proponują dziś najbardziej autorytatywni liderzy obozu antyputinowskiego, Garri Kasparow i Michaił Chodorkowski we wspólnym artykule w „Foreign Affairs" oraz Aleksiej Nawalny w jego platformie programowej znanej jako „15 punktów". Jednak wielu przeciwników reżimu Putina sceptycznie podchodzi do proponowanego programu. Rzeczywiście, budzi on wiele wątpliwości. Przede wszystkim jest to pytanie o jego praktyczną wykonalność. Kto ma powiedzieć, że zwolennicy tego programu utrzymają władzę, która wypadła z rąk Putina, gdyby upadł jego reżim? To nie jest kwestia tego, że hipotetyczny Girkin czy Prigożyn ją podniosą. Jest całkiem możliwe, że nikt nie będzie w stanie jej podnieść. Upadnie i zostanie rozbita na kawałki.

Jest to przecież pytanie o to, w jakim stopniu każdy postputinowski rząd będzie w stanie kontrolować procesy polityczne. I jak szybko nierozwinięte, zawsze tłumione więzi poziome w społeczeństwie, będą mogły zastąpić rozpadające się więzi pionowe. Niewątpliwie lepszy jest „miękki", niekatastroficzny scenariusz demokratycznego ponownego montażu Rosji niż niekontrolowany rozpad połączony z zamieszaniem. Program takiego ponownego montażu mógłby być jednoczącym „programem minimum" dla obozu antyputinowskiego, ale tylko wtedy, gdy wszyscy jego uczestnicy bezwarunkowo uznają absolutny priorytet eliminacji imperialnego modelu państwa. Niezależnie od tego, jaką drogę ostatecznie wybierze historia, by do tej likwidacji doprowadzić.

Dopóki rosyjska państwowość zachowa swój imperialny charakter, Rosja pod reżimami o dowolnym zabarwieniu politycznym – czerwonym, białym, zielonym, a nawet niebieskim – będzie reprodukować ten sam model stosunków społecznych. Model oparty na zasadach wojskowej diedowszczyny i jej więzienno-obozowych analogów. Model oparty na chamstwie, arbitralności, tłamszeniu i poniżaniu jednostek, ich moralnym zepsuciu i degradacji psychicznej. I taka Rosja zawsze będzie śmiertelnym zagrożeniem dla postępu i pokoju na świecie. ■

———

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 97889736ca



Marcin Wolski

STUDIUM TYRANII

Wielcy zbrodniarze polityczni rzadko stają przed sądem. A i wtedy zazwyczaj nie doświadczają kary z ręki kata. Przypadek Saddama Husajna jest dosyć rzadki. Z przywódców III Rzeszy czterej najważniejsi – Hitler, Goebbels, Himmler i Göring (w Norymberdze) – wymierzyli sobie sprawiedliwość sami. Rewolucyjne trybunały i sądy kapturowe dopadają raczej polityczne ofermy i mordują je pod kłamliwymi zarzutami – Karol I Stuart, Ludwik XVI z małżonką czy Mikołaj II wraz z rodziną i służbą potwierdzają tę regułę. Nawet w śmierci Benito Mussoliniego jest więcej pospiesznego odwetu niż sprawiedliwego osądu. Prawdziwi tyrani jeśli giną, to przeważnie wskutek skrytobójczego zamachu lub pałacowego przewrotu. Czasem zamachu dokonuje się w świetle dnia, jak zrobili to Kasjusz Cherea i Korneliusz Sabinus, którzy zabili Kaligulę w drodze do teatru. Częściej jednak rzecz odbywa się potajemnie – nieznane są okoliczności śmierci Attyli ani nawet miejsca pochówku, za to dwóch innych supertyranów Czyngis-chan i Tamerlan umarło spokojnie w swoim łóżku. Bywa!

Na tle innych państw świata historia Polski jest wręcz idylliczna. Nie mieliśmy wśród przywódców tyranów (Chrobry niespecjalnie odbiegał od innych władców epoki), a i zabójstwa władców zdarzały się rzadko. Śmierć Leszka Białego w Gąsawie i mord na królu Przemyśle II to przypadki zbrodni z obcego poduszczenia. Zamach imć Piekarskiego na Zygmunta III nie udał się, a porwanie Stanisława Augusta przez konfederatów zakrawało raczej na farsę. Także śmierć prezydenta Narutowicza to zabójstwo malarza szaleńca na ze wszech miar przyzwoitym inżynierze.

Co innego Rosja! Wedle „Królobójców" Gąsiorowskiego, żaden z jej samowładców nie zmarł śmiercią naturalną – chyba żeby przyjąć, że pustelnik Fomicz z Tomska był w istocie carem Aleksandrem I, który w ten sposób uchylił się pod brzemieniem władzy.

Oczywiście śmierć śmierci nierówna. Piotra III zamordowali na rozkaz żony gwardziści, a jako przyczynę podano kolkę hemoroidową, sama Katarzyna II też dokonała życia w wychodku, ponoć rozerwana machiną zainstalowaną w klozecie. Ich syna Pawła I udusił szarfą orderową hrabia Pahlen bądź jeden z jego siepaczy. Wielkiego Księcia Konstantego otruto truskawkami ze śmietaną, Mikołaj I, jak mówią, w obliczu klęski w wojnie krymskiej popełnił samobójstwo, Aleksandra II zgładziła bomba rzucona przez Polaka Ignacego Hryniewieckiego. Wcześniej próbował tego samego Antoni Berezowski, co przypłacił resztą życia spędzoną na Nowej Kaledonii. Ostatni z carów Mikołaj II został rozstrzelany w piwnicy domu kupca Ipatiewa w Jekaterynburgu przez komando Jankiela (Jakowa) Chaima Jurowskiego. A jego następcy na Kremlu? Lenin zmarł, cierpiąc okrutnie (syfilis, wylewy) parę lat po zamachu Fanny Kapłan. Stalina prawdopodobnie wykończył Beria, Berię towarzysze z Politbiura. Potem umówiono się, że nie będą się już zabijać. I umowa obowiązuje do dziś. Ale... Wyobrażam sobie straszne sny Władimira Władimirowicza, któremu list gończy wydany w Hadze zmyka szansę na bezbolesne wyjście z sytuacji. Zapewne śni mu się Neron, któremu podczas tchórzliwej ucieczki w samobójstwie musiał pomóc własny wyzwoleniec, i Muammar Kadafi, którego zastrzelono jak szczura w kanale kanalizacyjnym. Jedno jest pewne, mimo licznych pałaców i strzeżonych bunkrów, nie chciałbym być w jego skórze! ■

Wyobrażam sobie straszne sny Władimira Władimirowicza, któremu list gończy wydany w Hadze zmyka szansę na bezbolesne wyjście z sytuacji.

eprasa.pl 97889736ca

Tomasz Sakiewicz

Uskok

George Friedman w swojej proroczej książce „Następne sto lat" twierdził, że do normalnych procesów społecznych uwarunkowanych geografią, poziomem rozwoju społeczeństwa, kulturą itd., dochodzą czasem zjawiska, które potrafią przełamać przewidywalne tendencje. To wielkie wojny, zarazy, kataklizmy: rzeczy nieoczekiwane, które zmieniają dosyć przewidywalny bieg dziejów. Współpraca Rosji z Niemcami kształtowała scenę europejską przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Wpływało to na politykę światową i wydawało się, że ta oś będzie trudna do zablokowania. Wojna na Ukrainie zmieniła bardzo wiele. Rosja dzisiaj wydaje się ją przegrywać, znalazła się w częściowej izolacji, a jej przywódca jest ścigany listem gończym. Dla niemieckiej polityki to kopniak w zęby i poważne ograniczenie ich wpływów. Osłabł zakres ich oddziaływania na kraje ościenne, w tym na Polskę. Osłabł, ale też zmusił do coraz bardziej radykalnych kroków. I te działania widzimy w różnych dziedzinach. Lobby niemieckie czuje, że znowu władza w Polsce wymyka mu się z rąk, i zdecydowało się na bardzo radykalny krok, jakim jest atak na Jana Pawła II. Zrobiono to rękami stacji, która pośrednio ma kapitał amerykański, ale gra w drużynie niemieckiej. Zamach na polskiego papieża wywołał kolejne trzęsienie ziemi i doprowadził do uskoku, który zmieni polskie życie polityczne i społeczne. Co się takiego dzieje?

Polacy przez dziesiątki pokoleń stworzyli kod kulturowy – pewien wizerunek społeczeństwa, które w razie zagrożenia mobilizuje się i działa. Ten kod został ostatnio mocno przykryty przez nawałę medialną i lewicowe ideologie, ale nie przestał istnieć. Atak na kod kulturowy doprowadził do uruchomienia mechanizmów obrony. One odświeżają działanie całego kodu. Efekt jest taki, że w swoich wyborach politycznych część osób przestaje uwzględniać dotychczasowe rozłamy i staje po stronie głębszych wartości. Nie dotyczy to wszystkich, lecz granica podziałów wyraźnie się przesuwa. Cechą tego procesu jest to, że nie jest on natychmiastowy, lecz silny i długotrwały, tak trwały jak uskoki po wstrząsach tektonicznych. Przemienia się „geografia" społeczna i zmienia się na długo, być może nieodwracalnie.

Atak na polskiego papieża wywołał kolejne trzęsienie ziemi i doprowadził do uskoku, który zmieni polskie życie polityczne i społeczne.

Przesunięcia w elektoracie już są widoczne, jednak ich skutki będą narastać. PO cieszy się, że przetrwało pierwszą nawałę. To złudzenie. Nawała dopiero nadchodzi i będzie ogromna. Nie chodzi o marsze w obronie JP II, bo one są jedynie skutkiem zachodzących procesów. Chodzi o demobilizację i zmianę poglądów części wyborców Platformy i mobilizację oraz powiększenie elektoratów partii konserwatywnych. Widać, że na tym, co się dzieje, zyskują PiS i Konfederacja. PSL nieznacznie korzysta, bo za słabo odcięło się od PO. Wcześniej czy później będzie musiało to zrobić. Proces jest nieunikniony. Trzeba patrzeć na to spokojnie, bo fala wzbiera i kto nie popłynie na niej, zostanie po prostu zatopiony. ■

eprasa.pl 97889736ca

Disney+ na start przez rok w prezencie z TV w Polsat Box

Opłata miesięczna za pakiet TV z Disney+ w pierwszym roku od 30 zł, w drugim roku od 58,99 zł, następnie od 68,99 zł.



polsat box

Wybierz swoje wszystko

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i internetowej przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe z minimalnym zobowiązaniem od pakietu S z Disney+. Aplikacja Disney+ dostępna na dekoderach polsat box | 4K i polsat box | 4K lite. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 23.03.2023 r.

© 2023 Disney i podmioty powiązane

eprasa.pl 97889736ca